

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JERZY PRZEŹDZIECKI**

# **OPOWIADANIA NIEMORALNE**

**Copyright by Jerzy Przeździecki**

**Wydawnictwo „Tower Press”**

**Gdańsk 2001**

## Ostatnia deska ratunku

**Pamięci moich przyjaciół**

**Anthony Quayle'a**

**i Michaela Powella**

Kiedy się to już działo, gdy wszystko wśród wzgórz Quantocks czy też u brzegu Blue Anchor stało się na powrót promienne i pełne nadziei, jakim było dawniej – w innych miejscach i w czasach młodości, skłonny był uznać wydarzenia ostatnich tygodni za swoisty „okres przygotowawczy”, zaaranżowany przez Boga, naturę, fatum czy jak tam jeszcze ludzie zwykli określać ów specyficzny czas poprzedzający każdy wielki przełom.

Zsumowało się naraz wszystko: propozycje nowych ról, przekazywane mu przez Larry Keena z World Famous Agency, wywiady dla prasy, radia czy telewizji, od jakich nie był w stanie się uchylić zwłaszcza po tym nowym „oszałamiającym sukcesie”, jaki niby to odniósł w *Krętych ścieżkach* B. Adamsa (swą grę w tym sztuczyciele oceniał jako wyjątkowo słabą), próby atelierowe *Klamry* C. Grooma w B.B.C. Television, bezbarwne, zdawkowe rozmowy z Lindą w czasie wspólnych posiłków (sypiali już od dawna oddzielnie), dorywcze kontakty z córką – poważniejącą w przyspieszeniu.

Znów jak dawniej, kiedy popijał, zapadł się w siebie. Tak chyba podobny stan się określa w książkach. A uprzytomnił sobie szczególnie ostro i wyraziście ów nawrót własnego wyobcowania po premierze *Krętych ścieżek* właśnie, gdy wysłuchiwać mu przyszło pompatycznych lub niby dowcipnych przemówień, wygłaszanych na jego cześć w czasie popremierowego bankietu w „New Yorkerze” przy Archer Street.

– Nie byłeś tam nigdy? Soho, ale blisko Picadilly Circus. Lokal niby to skromny, ale – tak naprawdę – intymnie ekskluzywny. Ponadto podkreślisz, że blichtr masz gdzieś – oceniła przed paroma dniami miejsce przyszłej celebracji Linda. – Będę tam z ciebie jeszcze bardziej dumna jako „koleżanka po fachu”, a głównie jako twoja żona. Szczęśliwa z naszej miłości,

oczywiście także.

Tak to dopowiedziała po sekundowej przerwie: „oczywiście także”. „Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, że już od dawna wiem o jej romansie z Ralphem O'Brienem? Czy jest świadoma, że w ciągu tych dwudziestu lat naszego małżeństwa nigdy nie zadała sobie trudu poznania mnie – prawdziwego, istniejącego poza sceną?”.

I... potoczyło się raz jeszcze: bankiet, jak gdyby powielony z dziesiątkami innych, jakie zdążył zaliczyć w swej karierze.

– Sir Francis to nie tylko wielki aktor, lecz dzięki swoim różnym zainteresowaniom, człowiek isticie renesansowy – plótl, mający już dobrze w czubie, Charles Webb, recenzent „Timesa”.

– ... W konsekwencji bowiem jego nowej kreacji, jako dyrektor teatru rozważam bardzo poważnie obsadzenie mego przyjaciela Francis w *Hamlecie*. W roli Ofelii, oczywiście – sekundował mu Peter Crane siedzący obok Glorii Barker (jak zwykle odsłoniła wszystko, co tylko mogła).

„O Boże, jak szybko nawet taki inteligentny facet jak Crane może zatracić samokontrolę. Któryż raz z rzędu on powtarza to samo? I jak niemal wszyscy się z tego „serdecznie” śmieją. Cała ta biesiada przywodzi na myśl jakiś koszmar kicz wystawiony w dodatku w amatorskim teatryku”.

– Grałeś, co tu kryć, bosko! Byłeś cudownie dojrzały. Uwielbiam cię! – szepnęła Linda w samochodzie, kierując ku blaskom wystaw swą piękną twarz w chwili, gdy wyjechawszy z Deen Street, skręcili Oxford Street ku Tottenham Cross Road Corner. Wyraźnie chciała, by rozmodlony wyraz jej oczu on, Francis dojrzał i docenił.

„Sam jesteś winien, żeś jej objawił ten swój starczy kompleks przemijania. Niech to diabli! Teraz to wykorzystuje”.

– Och, dziękuję. Może po prostu murszeję, tylko z klasą – roześmiał się. – Ty za to zrobiłaś nieprawdopodobną konkiętę. Widziałem, że uwodził cię nawet Stephen Bouling. A zagranie na zmysłach pederasty przez kobietę, to sukces niezwykły.

– A homar... jaki był? – śmiała się wyraźnie zadowolona.

– Także doskonały i na uwodzicielskim poziomie.

„Zawodowe odchylenie od normy. Mam wciąż wrażenie, że wszystkie nasze słowa brzmią jak aktorskie kwestie wypowiedane na scenie”. Byli już opodal Maida Vale. Zamknął oczy.

– Kochanie, zauważyłam z widowni, że miałeś zaczerwienione powieki – powiedziała Linda. – Boję się, że to może być kolejny nawrót tego okropnego zapalenia spojówek.

– Szminka i podrażnienie, jak zwykle – odpowiedział. – Doktor Bell dał mi dobre krople.

Znajome popiskiwanie opon zwiastowało, że jechali już aleją wiodącą między drzewami ku podjazdowi przed domem.

– Wynudziłeś się stary, prawda? – zwrócił się do szofera, gdy ten otworzył drzwi auta i uchyliwszy czapki, trwał w ukłonie. „Skoła niegdysiejszej mieszczki Lindy, pozującej na arystokratkę”.

– Och, nie, Sir Francis! Bynajmniej! Dali mi kolację w takiej małej salce obok kuchni. A przedtem widziałem przedstawienie. Jest pan wielki! Szczęśliwy jestem, że...

– Daj spokój! – przerwał mu. – Dzięki. Jutro do teatru na dziesiątą. Dobranoc.

– Tak jest, Sir Francis. Wiem. Dobranoc.

„Uśmiech, ugrzecznienie jak u wszystkich dookoła. Jeszcze jedno uprzytomnienie, że dla stykających się ze mną stałem się, nie wiedzieć kiedy, swoistym połączeniem króla Leara, Mizantropa, Macbetha, Eryka XIV, Titusa Andronicusa, a może nawet profesora Higginsa. Dopuściłem do czegoś przerażającego: moje aktorstwo przeniosło się w codzienność. Ciężar gatunkowy wszystkich wykreowanych przeze mnie postaci skoncentrował się, przygniatając sobą najbliższych, niwecząc każdą naturalność w kontaktach ze mną. W dodatku ja sam dostrzegam siebie z pozycji widza lub reżysera”.

W jakieś dwa, trzy dni później dokonał eksperymentu: zszedł bez zapowiedzi do salonu w chwili, gdy Daisy śpiewała coś akompaniując sobie na fortepianie.

– Można? Cóż za wspaniały koncert! – rzekł bez wstępu z uśmiechem.

– Och, dziękuję, tatusiu. Ale to okropna przesada.

„Teraz ona uśmiechnięta. Ja w swój uśmiech oblekłem twarz już na podeście schodów. Stojąc przed nią, uniosłem nawet brwi z wyrazem podziwu i uznania, rozwarłszy w dodatku szeroko oczy, co miało podkreślić zachwyt, którego (Bogiem a prawdą) nie czułem. Wita się ze mną, jak witał się ze swoim pachnącym tytoniem dziadkiem czteroletni Sartre. Starzec pachniał tytoniem i rozkładem. Ja – nieautentycznością”.

– Co to było?

– Jak to? Tatusiu, nie udawaj, żeś nigdy tego nie słyszał. Przecież ty znasz wszystko.

„Ten zdumiony wyraz twarzy ukochanego dziecka. Gra czy też jest autentycznie zdziwiona?”.

– Niczego już nie znam. Może zresztą... kiedyś to usłyszałem i zdążyłem zapomnieć.

– Nie wierzę.

„Koturn, cholera! Wepchnięto mnie na cokół albo zrobiłem to ja sam, bez niczyjej pomocy. Nawet własne dziecko przypisuje mi encyklopedyczną wiedzę”. Czuł narastające zniecierpliwienie.

– Powiesz wreszcie?

– To była aria Mimi... z *Cyganerii* – odparła cicho. Była wyraźnie stropiona.

– No i widzisz, nie miałem o tym pojęcia. Starzeję się i coraz mniej pamiętam – roześmiał się, był świadom, że piekielnie sztucznie. – Te piękne kwiaty to od kogo?

– To... twoje – szepnęła. – George przywiózł po premierze z teatru pełen samochód. Stały w holu, więc pomyślałam...

– I dobrze, bardzo dobrze pomyślałaś – chyba udało mu się opanować zażenowanie. – Pamiętaj córeczko, odtąd wszystkie te, tak zwane „moje” kwiaty, należą do ciebie.

– Jesteś wspaniała i bardzo kochany – siedząca przy fortepianie dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy z dziwnym wyrazem twarzy. – Ale mnie aż tylu kwiatów nie potrzeba.

„Jeszcze nie objawiły się w niej rzeczywiste uzdolnienia. Może ja je tłumię? Nienawidzi mnie albo w najlepszym razie budzę w niej niechęć. W ten sam sposób na moje wyczyny pływackie czy jogging reagują spasiony jak wieprz Robert Gibson i pijaczyna Lindon Atkins. Ustawiłem sobie poprzeczkę wysoko w różnych dziedzinach i od lat próbuję walczyć nawet w tej, związanej z kondycją fizyczną, choć to beznadziejne”.

– Tato, przybyło ci znowu fanów. Wczorajszy wywiad z tobą w telewizji wypadł po prostu... bez pudła – Daisy znowu była uśmiechnięta.

– Sam jestem stare pudło, w którym tyle się już uzbierało, że zaczyna pękać – spróbował „młodzieżowo” wyznać jej to najważniejsze. W jej oczach nie dopatrzył się współczucia.

„Dziecko kochane, chyba coś tam po mnie genetycznie przejęłaś. Przecież ty właśnie powinnaś wyczuć, jaki jestem naprawdę i jak bardzo nie znoszę tego faceta wykreowanego przez pochlebców i snobów”. Chwilę czekał na jakieś słowa, ale milczała. Pocałował ją zatem w czoło i ruszył ku schodom. Wtedy powiedziała:

– Podziwia cię masa ludzi. Płacisz za własną wielkość. To proste.

„Chryste! – pomyślał. – Ona ma rację!”. Zawrócił i wyszedł do ogrodu.

Tegoż dnia wybrał się na spacer do Regent Parku i jak zwykle został rozpoznany, lecz tym razem grupa młodzieży nie odstępowała go ani na krok. Nie miał innego wyjścia, jak tylko zawrócić do zaparkowanego samochodu i uciec.

Upływał czas widocznie niezbędny, aby wszystko dojrzało do najważniejszego wydarzenia. Zwykłość: *Kręte ścieżki* szły kompletami. Lisa Murray zachorowała i zastąpiła ją Patricia Mallet – bezbłędna, lecz pozbawiona polotu i wdzięku. Peter Whitbread kupił czy też odziedziczył dom w Hildoveston. Tom Atkins przegrał w tenisowej rozgrywce z Van Roothem. On sam – Francis Woodhouse odbębnił wreszcie w „Thames” próby tego pretensjonalnego szkaradzieństwa *Casus Ikar*, zaliczył nadprogramowo dokrętki

batalistycznego giganta *Ostatnia linia obrony*. Był w nim marsowym oficerem, nie znającym trwogi – samograj. Linda wyjechała na kilka dni do Paryża, a po tygodniu zadzwoniła niespodziewanie z Wiednia, by mu powiedzieć, że tęskni i kocha – „Nawet tutaj zbierasz pochwalne recenzje. Tym razem za swoją rolę w filmie *Nienasycecie*”. Zupełnie przypadkowo dowiedział się, że Raiph O'Brien też przebywał w Paryżu, a potem w Wiedniu. Nie czuł zazdrości. Coraz mocniej za to ogarniało go poczucie dojmującej pustki. Daisy nie zjawiała się. Telefonowała tylko ze swego mieszkania na Hamstead, relacjonując z wyraźnym wysiłkiem niektóre z wydarzeń zachodzących w jej młodzieżowym świecie. Wedle tych informacji, chodzić miała na koncerty muzyki poważnej, spotykać się z dwiema przyjaciółkami i z jakimś Tonym – „równym facetem z Cleveland, Ohio” – ponoć historykiem sztuki.

– Wiesz, tato, zaczynam się znowu, tak na poważnie, interesować historią starożytną. Takie pismo sznurowe Summerów, na przykład... Ty mnie słyszysz?...

„Kiedy wszystko dookoła stało się pozorne i tak koszmarnie sztuczne? Ku czemu zmierzam w tym swoim 57. roku życia? (Boże, o trzy lata przeżyłem własnego ojca!)”.

– Wydaje mi się, że od jakiegoś czasu dreczę w miejscu – zwierzył się najnie spodziewanej dla samego siebie własnemu agentowi. Larry Keen przyjął oczywiście to wyznanie z nie ukrywanym osłupieniem. Chyba już w jakieś trzy dni po tej rozmowie i tak niepotrzebnie objawionej otwartości ten sam Larry Keen nakłonił go do zagrania w filmie *Kanwa* według sztuki Normana Crane'a – obrazu realizowanego telewizyjnie w zamku Dunster, od wieków siedziby rodu Luttrellów.

– ... Ależ Sir Francis, własną frustrację wykorzysta pan twórczo. Poza tym, jak słyszę, nie zna pan Somersetu, więc będzie to dla pana czymś w rodzaju wycieczki.

„Ucieczki raczej” – skrzywił się, gdyż dudnienie młota pneumatycznego rozbijającego asfalt jezdni akurat na wprost wejścia do biura agencji wydało mu się nie do zniesienia. Ten młot chyba zaważył na jego decyzji.

Postanowił nie lecieć do Bristolu, jak mu radziła Daisy, lecz dojechać do samego Dunster samochodem i to mniejszym z dwóch aut, jakie posiadał. Stwierdził ze zdziwieniem, że ogarnęło go nie wiedzieć kiedy podskórne rozradowanie. Sprawy związane z niespodziewanym wyjazdem załatwiał w nastroju radosnego podniecenia sztubaka, przygotowującego się do odbycia szkolnej wycieczki. Wreszcie oderwał się od wszystkiego. Sama jazda przebiegała, co tu kryć, banalnie. Przez Reading i Newbury dojechał do Bath, by – skręciwszy później na Clutton szosą numer 39 – dotrzeć bez najmniejszych przeszkód do przedmieścia Bridgwater, gdzie w hotelu (motelu raczej) czekała na niego cała ekipa *Kanwy* z

reżyserem S. Michallem na czele. Powitano go z pompą: kwiaty, kolacja, komplementy. Uciekł do swego pokoju pod byle jakim pretekstem. „Wszędzie to samo. Po diabła się zgodziłem?”.

Już nazajutrz, w czasie przedśniadaniowej przechadzki, przestał jednak żałować, że przyjechał. Szedł wolno wzdłuż rzeczki, której wartko płynąca woda była czysta jak kryształ. Słońce już przygrzewało i tchnienie wody, zwłaszcza wionące spod łuków kamiennych mostków, było chłodne. Kwiaty w oknach domków o murach z cegieł poszarzałych ze starości i dachówkach obrzeżonych mchem, wzgórza pocięte żywopłotami, a pokryte gęstą trawą (cała roślinność kłębiła się w letniej obfitości) stanowiły dopiero forpocztę – czuł to – bujnej urody Somersetu. Cudowną naturalność pełni lata potęgowały tu, w zupełnej z naturą harmonii, kamienne domy zastale w chłodzie, ze schodami wiodącymi ku górze, z galeriami obwodzającymi ściany.

Skonstatował z ulgą, że cała, niewielka ekipa *Kanwy* składała się z zawodowców w pełnym tego słowa znaczeniu. Pracowali bez wytchnienia. Jessie Howard z najwyższym trudem wygospodarowała te dwa dni zdjęciowe. Burt Macken wracał do przerwanej roboty filmowej w Hollywood. Zamek Luttrellów, w którego wnętrzu kręcili, był na szczęście chłodny. Trudno uwierzyć, lecz chyba dzięki temu chłodowi właśnie udało się wszystkim pokonać letnie rozleniwienie. Burt ziewał, utyskiwał na wykańczającą go, jak twierdził, różnicę czasu, do której nie zdążył się przyzwyczaić, mimo to pracował na pełny gaz. Jessie nie schodziła z planu. Już pierwszego dnia, ciągnąc przed kamerami od świtu do nocy, strzelili trzy czwarte materiału.

Następnego – mimo coraz większego upału – udało się im dojechać do ostatniego klapsa, a nawet zrobić dokrętki w plenerze, to znaczy w cieniście parku zamkowym sięgającym aż po tereny zajęte przez grających w polo. Cały zespół skoncentrowany na robocie, zdawał się nie dostrzegać ani wyjątkowej urody siedziby rodu Luttrellów, ani saren spoza parkowych drzew podglądających ludzi, którzy zachowywali się raczej dziwnie.

Rzecz zakończyła się bez jakiegokolwiek specjalnej celebracji wspólnym lunchem (jakieś tam drinki, małe: „dziękuję wam, kochani” Michalla) i wszyscy rozjechali się natychmiast. Większości udało się zaraz po przylocie do Bristolu zabukować „return flight” do Londynu w dodatku „open”, więc gnali jak szaleni.

Jeszcze wszystko mogło mieć inny przebieg. Operator Jerry Woolf zaproponował, że chętnie odstąpi swoje miejsce w samolocie Sir Francisowi i wróci do Londynu Morrisem. Była to sugestia najzupełniej uzasadniona i w dodatku bardzo uprzejma. Słońce prażyło, zaczynały się korki weekendowe, przejazd nie zapowiadał się zbyt ciekawie.



– Sir Francis, radio informowało dzisiaj rano o konieczności dużych objazdów z racji robót drogowych w rejonie Newbury – dodał jeszcze sam Michall.

„Niech diabli porwą! Każdy się wtrąca”.

– Pojadę w takim razie przez Deptford i Andover – aktor rozłożył mapę. – To będzie taka moja... wycieczkowa ekstrawagancja – zakończył sprawę.

Nie miał pojęcia, dlaczego się nie zgodził, by wrócić do Londynu samolotem. To znaczy... niezupełnie odpowiada to prawdzie. Właśnie, bowiem, w czasie rozmowy z Woolfem, przeszło mu przez głowę, że może nieźle byłoby spędzić w Somerset te parę dni przestoju, jakie stały się jego udziałem w teatrze z racji premiery *Dzikiej kaczki* i kilku, po „opening”, przedstawień wstępnych tej sztuki – pierwszej od dawna, w jakiej na tej scenie on – Francis Woodhouse nie występował.

Został sam. Naraz usłyszał ciszę i przenikający ją śpiew ptaków. U podnóża zamku rozrosły się w gąszcz rododendrony. Cały stok mienił się różowością i bielą. Wyżej pięły się łagodne wzgórza w kolorze terrakoty i różnych odcieni zieloności. Jadąc wolno, minął okazałą bramę zamkową, duktem wiodącym wprost do miasteczka dotarł do rynku i minąwszy przysadzistą gontynę, zapewne pozostałość dawnych hal targowych, zaparkował w bocznej uliczce, na wprost zakładu fryzjerskiego. Przypadek? Wszystko, co się działo, zaważyć miało na późniejszych wydarzeniach. Nawet to miejsce. Czy gdyby, bowiem, gdzie indziej wysiadł, wpadłby do fryzjera, by się ogolić, i czy zdecydowałby się w konsekwencji na szaleństwo?

Najpierw zde gustowany – jeszcze przed namydleniem policzków przez właściciela „salonu” – obserwował odbicie swej twarzy w lustrze, jakby widząc ją naraz szczególnie wyraźnie. „Stałem się szkaradny. Zamazany jakiś i przerażająco stary”. Później, w miarę gdy pokrywająca brodę piana („Przypominam króla Leara”) z wolna pod ruchami brzytwy ustępowała, doszedł do wniosku, który ujął w myślach dość zabawnie: „Może jednak rewolucja coś zmieni?”.

– Przy okazji... proszę mi zgolić wąsy!

Tak oto, w Dunster właśnie, objawiło się nowe fizis wielkiego aktora. Wynajmując pokój w hotelu „Luttrell's Arms”, znowu siebie odmienionego zobaczył w lustrze. „Wyglądam idiotycznie, ale chyba młodziej. W każdym razie – inaczej”.

– Nazywam się Jerry Howard – oświadczył recepcjoniście, zdziwiony nieco, że młody człowiek za kontuarem wyraźnie go nie rozpoznaje.

Jechał ku morzu wąską drogą wijącą się między wzgórzami. Ze wzniesień niesło wonią traw i kwiatów. Drzewa najprzeróżniejsze od olch i dębów po obwieszone owocami, niby na

Sycylii, cytrynowe krzewy przywodziły na myśl ściany cieplarni. „Cudownie byłoby zamieszkać na stałe gdzieś tutaj właśnie – myślał leniwie. – O, choćby w takim domu jak ten – całym w kwiatach, z kamiennym tarasem zwróconym w kierunku szumiącego strumienia, otoczonym gęstwiną zieloności, z gościnnie rozwartymi drzwiami. Istnieć tutaj statecznie, bez szaleństw, a za to ze zrozumieniem szaleństw odległego świata, lecz bez chęci uczestniczenia w nich. Piekielnie mało zostało mi już czasu”.

Zerkając do lusterka nad głową, dodał gazu i to był błąd. Dziewczyna jadąca na rowerze wypadła zza zakrętu i krzewów, kryjących boczną drogę, zupełnie niespodziewanie. Dojrzał ją w ostatniej chwili i wykręciwszy raptownym ruchem kierownicę, zdołał jedynie potrącić koło roweru błotnikiem, samochód zaś rzucić w szaleńczy obrót w lewo ku niewysokiemu, kamienistemu wzniesieniu. Usłyszał trzask i szuranie bijącego po kamieniach podwozia. „Jeśli miski olejowej nie rozwaliłem, to jestem księciem z bajki”. Morris stanął tak raptownie, że z impetem wyrznął głową w nieszczęsne lusterko, do którego w krytycznej chwili zaglądał. Otworzył drzwi i podbiegł do podnoszącej się z ziemi dziewczyny.

– Spieprzaj! – odrzuciła ze złością jego rękę. – Jak jeździsz, bałwanie?! Ślepy jesteś? – wstając, pocierała kolano. Szorty oraz koszulka bawełniana z napisem Los Angeles Lions podkreślały tylko jej niezwykłą chudość. – Cholerny rajdowiec! – poprawiła rude włosy, lecz zaraz wróciła do masowania kolana i trwając pochylona, pocierała je dłońmi.

– Nie znasz znaków? Z jaką szybkością tu się jeździ?

– Przepraszam. Strasznie mi przykro. Moja wina – mamrotał, czując, że spada z niego jednak początkowe, to największe, pełne napięcia przerażenie. Chudej rowerzystce, konstatował z ulgą, najwyraźniej nic się nie stało.

– Proszę poruszać nogą – przykleknął. – Delikatnie. Do przodu i do tyłu – podniósł z ziemi okulary o niesamowicie grubych szklach i podał je dziewczynie.

– Bo cię „delikatnie” kopnę w tyłek! – ruda chudeuszka przerwała oblizywanie obtartego przegubu prawej dłoni, a zajęła się przecieraniem swych szkieł, odginając w tym celu bawełnianą koszulkę. Podniósł jej rower. Udało mu się też nagiąć do właściwej pozycji błotnik.

– Jechałaś też za szybko – poczuł się pewniej, a nawet ogarnęło go coś w rodzaju zniecierpliwienia pomieszanego z rozbawieniem. „W tyłek mnie kopnie – niebywała dziwa”.

– Kiedy się wyjeżdża spoza drzew, należy sprawdzić, co się dzieje na szosie – dorzucił niezbyt pewnie.

– Chryste, jak ten facet mnie wkurza! – poszkodowana teraz dopiero spojrzała na kierowcę Morrisa. – Co to za szosa, do cholery? To ma być szosa? – Grube szkła powiększały jej oczy.

– Urwałeś się z choinki?!

„Nie rozpoznała mnie! Bądź błogosławiona, ruda gidio! Gdy tak na mnie patrzysz z niechęcią, stajesz się piękna! Gotów jestem pokornie ucałować twoją dłoń!”

– A jakbyś mnie zabił, to co? – rzuciła jeszcze, lecz było to już chyba ostateczne wyładowanie złości i napięcia. – Co byś zrobił?

Chciał odpowiedzieć jakimś żartem, lecz zrezygnował, stwierdziwszy, że oczy nieznajomej zachodzą łzami.

– Nie wiem – odparł po prostu.

Wtedy, chyba po raz pierwszy, zerknęła na niego po swojemu (załzawionymi w owej chwili) oczyskami. Miał już niebawem do tych jej niby badawczych zerknięć przywyknąć.

W czasie ich pierwszego zetknięcia się ze sobą zatryumfowała tak zwana proza życia. Miska olejowa nadziana na kamień, unieruchomiony w osobliwej pozycji samochód, ich dwoje stojących bezradnie, zrazu samotnie, później już w towarzystwie kierowcy ciężarówki, która z racji tarasującego drogę Morrisa nie mogła przejechać.

– Jeszcze raz przepraszam. Jedź! Dam sobie radę. Pewno się spieszysz – ponaglił dziewczynę, kiedy byli jeszcze we dwójkę tylko.

– Nie spieszę się – odburknęła. – Zawsze mam takie zafajdane szczęście.

– Poważnie? Przykro mi to słyszeć.

– Do cholery! Przykro mu tu słyszeć! – wybuchnęła znowu. Wściekłość wyzwalała się z niej co jakiś czas, niemal rytmicznie, podobna do wytrysków gejzeru. – Ty nie bądź taki dobrze wychowany, bo to nic nie da!

– Jasne – opanowując rozbawienie, z powagą skinął głową. Zapalił papierosa.

– I nie pal, bo ten olej, co wyciekł, może wybuchnąć.

– Nie wybuchnie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– To daj fajkę. Trawki nie masz?

– Nie mam. – Obserwował, jak – zrezygnowawszy z ognia zapalniczki – odpalała od żaru jego papierosa. Palce o polakierowanych na fioletowo, poobgryzanych wyraźnie tu i ówdzie paznokciach, drżały. Nie wiedział, dlaczego ogarnęło go coś podobnego do wzruszenia.

– To cię będzie teraz kosztować masę szmalu – powiedziała, otaczając się kłębem dymu. – Może ubezpieczenie to wybuli?

– Nagle zaniósła się kaszlem, wskazując ręką na swe plecy. Pojął od razu i trzepnął ją dłonią we wskazane miejsce. Zadziało.

– Rany! Nie tak mocno! – masowała sobie chude łopatki.

– Zabijesz człowieka!

– Przepraszam – opanował złość.

– Wyrobisz się z forszą?

– Nie wiem. Chyba... wyrobię – odparł po krótkiej chwili.

– Tu są jakieś warsztaty... mam nadzieję...

– Jasne, że są – nagłym ruchem ręki poprawiła włosy. (Miał do tego jej ruchu także niebawem przywyknąć). – To znaczy, jazdy urlopowe masz na jakiś czas z głowy? Sam przyjechałeś? Nie biorę namiaru, tylko tak pytam, z ciekawości – dodała.

– Skąd wiesz, że w ogóle przyjechałem?

– Ty to jesteś... jak z księżycyca, słowo daję – zaśmiała się. Zdjęła okulary i przetarła powieki. – A tablica rejestracyjna, to niby po co? Słuchaj! – rzuciła nagle innym tonem. – Moja wina też była, bom wyjechała zza tych krzaków jak debilka, zupełnie bez patrzenia. Zresztą i tak mało co widzę. Przepraszam.

– Winien jestem ja. Zagapiłem się na ten domek w dole – oświadczył.

– Kurcze, ja też się tak często na coś zagapiam – zachichotała. – Ale cóżeś w tej ruderze zobaczył? – zwróciła głowę w stronę dolinki. – Aha, już wiem: mieszkasz albo w szeregowym domku, albo jeszcze gorzej, bo w bloku, i marzy ci się życie w gaju przy ruczaju – zrobiła zabawnie drwiącą minę.

Właśnie w tym momencie podjechała do nich ciężarówka.

Dawniej tak się działo – rozmyślał, leżąc obok niej na plaży. – Jeszcze w szkole teatralnej, a nawet w jakiś czas po ukończeniu studiów, wydarzenia, spotkania z przeróżnymi ludźmi, wałęsanie się bez celu, wypadki niespodziewane do najdziwniejszych miejsc posiadały barwę, smak niemal. Poczucie wyzwolenia i beztroski zniknęło jednak w miarę narastania ambicji. Spełnienia lub niedosyty zawodowe zdominowały urok zaskoczenia lub niespodzianki, zdarzający się niegdyś w zwykłym życiu.

– Masz żonę, dzieci... te rzeczy? – rzuciła, leżąc bez ruchu z zamkniętymi oczami.

„Jest piegowata, chuda – zwykła. Co mnie w niej pociąga?”.

– Mieliśmy o tych sprawach nie mówić – odparł niechętnie.

– Ale mówimy. Wiem, że masz – zmieniła pozycję. Leżała teraz na brzuchu.

Stwierdził, że żwir odcisnął się na jej piegowatych plecach.

– Ja ci wszystko o sobie opowiedziałam.

– Co mianowicie?

– „Co mianowicie, co mianowicie?” – przedrzeźniała go ze złośliwym grymasem. – Nie powiedziałam ci wczoraj, na przykład, że robię, wiesz co, sama ze sobą, bo nie mam chłopaka?

– I to prawda?

– Kłamałam.

– A widzisz.

– Do diabła ze wszystkim! To była prawda. Ty jesteś pieprzony przystojniaczek! Lowelas picuś glancuś! Widzisz jaka jestem, nie? Mam rude włosy nawet tam – nagłym ruchem zsunęła majteczki i wciągnęła je natychmiast na powrót. – A chudzielca większego widział? W dodatku różowego jak prosię i piegowatego? Żadna farba tym moim kudłom nie daje rady... Wiesz, jak mnie chłopaki nazywają?... – Bez pytania sięgnęła po papierosa i zapalała go teraz rozedrganymi palcami.

– Jesteś całkiem... – szukał wstrząśnięty właściwego słowa – ... całkiem fajna – spróbował wyrazić to w jej stylu.

– Bajer za frajer – prychnęła ironicznie. – Tobie mogę się przyznać i do tego. – Zdjęła okulary i przetarła powieki. „Ma chroniczne zapalenie spojówek. To nas zbliża”.

– Dlaczego właśnie mnie? – zainteresował się.

– Bo ty... ty... – teraz ona zastanawiała się nad słowem. – Boś ty też nie za przystojny i w latach, więc dla mnie... abstrakcja – rzuciła na niego okiem. – Z czego rżysz?

– Nie rżę – śmiał się szczerze, całą pierśią. – Już dawno przestałem być ogierem.

– Aleś klawy! O rany! Nie jest ogierem... Nie mogę! – Niespodziewanie dziewczyna zaczęła w ataku wesołości turlać się w stronę wody. W ten sam sposób przyturlała się z powrotem.

– Nazywają mnie „ostatnia deska ratunku” – rzuciła niby od niechcienia i niezbyt głośno. – Do dyskoteki w ogóle nie chodzę.

„Wulgarna i prymitywna. W dodatku zakompleksiona”.

– Pójdiesz dzisiaj.

– Niby z kim? – obserwowała go zmrużonymi oczyma.

„Kiedy tak patrzy, bezczelnie jak teraz, robi się właściwie całkiem ładna. Najdziwniejsze, że cała ta jej rudość zaczyna mi się podobać. Odchylenie od normy. Starcze wynaturzenie!”.

– Domyśl się.

– W życiu nie, a potem wcale! – wykrzyknęła. – Nie pójdę z tobą za Boga!

– Wstydzisz się mnie?

– A jak! – poderwała się sprężyście. – Berek! – i pognęła przed siebie.

Ruszył za nią zupełnie bez przekonania najpierw od niechcenia, zupełnie wolno, jak gdyby pokonując siłę inercji, później, stwierdziwszy, że uciekająca przed nim dziewczyna biegnie coraz szybciej, przyspieszył także. Ogarnęła go radość. Blue Anchor zasnęła biała mgiełka. Wzgórze Minehead mieniło się niebieskawo w ostrym blasku słońca. Morskie fale wibrowały pienistymi wachlarzami, szorując międlonym bezustannie zwirem. Przemieszczając stopy, czuł jego ożywczą ostrość. Czuł także słony wiatr. Wrzasnął nagle na całe gardło. „Gonię ją i – zabawne – bo coraz bardziej pragnę... złapać. A ona chce być złapana. Naśladujemy oboje zaloty Neandertalczyków. Wypadałoby ją dopaść, osiąść – pomimo jej prowokującego oporu – sprawić, by zaszła w ciążę, a potem urodziła nowego obywatela świata. Boże, co ja bredzę?”. Krzyknął znowu rozgłośnie.

– Odbija mi na stare lata, kapujesz? – rzucił w jej stylu, gdy zatrzymawszy się raptownie, obserwowała, jak się przybliżał.

– Z daleka jesteś niezły – powiedziała poprawiając okulary. – A najmłodszej ci, kiedy się śmiejesz. Wiesz, co myślałam biegnąc? Pomyślałam sobie, że jak mnie dogonisz, to ci się oddam. Że jakoś tak... będę musiała i... chciała, oczywiście, także – znowu zdjęła okulary i przetarła je powtórnie skrawkiem stanika.

„Szczęśliwa z naszej miłości oczywiście także” – przypomniał sobie naraz słowa żony. One wszystkie są dobre.

– To był wygłup – dorzuciła ruda dziewczyna, zerknąwszy na jego twarz.

– Jasne – pierwszy zawrócił ku miejscu, gdzie złożyli swoje rzeczy.

Przytulił się do niej w chwilę później. A gdy, ku jego zdumieniu, zaczęła się bronić, robiąc wszystko, by nie dopuścić do zbliżenia, zdecydował się na coś nieprawdopodobnego, na co nie zdobył się wobec jakiegokolwiek kobiety nigdy w życiu. Rzuciwszy się bowiem na leżącą, wykręcił jej rękę i zaczął całować.

– Bo cię... ugryzę! – sapała z wściekłością, wierzgając nogami i próbując zrzucić go z siebie. Zadziwiające, ale jej opór podniecał go jeszcze bardziej, doprowadzając do furii. Wiedział, że to bez sensu, ale oddychając nierówno, wypowiadał jakieś zaklęcia, wyrzucał z siebie oderwane słowa, próbując jednocześnie kolanem rozchylić jej zaciśnięte nogi. Z siłą, o jaką jej nie posądzał, udało się rudej odepchnąć wreszcie obiema rękami jego głowę. Uderzyła go w twarz krótkim wymachem ramienia i wtem – nie spodziewał się tego zupełnie – zaczęła szlochać i śmiać się jednocześnie.

Podniósł się. Zapłakana i nieszczęsna w tym swoim sztucznym grymasie uśmiechu, mającym pokryć rozpacz i rozczarowanie – nim, dojrzałym mężczyzną, siedziała na samym środku stratowanego piasku.

– Nie wiem, jak cię mam przeproszać. Zachowałem się strasznie – powiedział, czując wstyd tak dojmujący, że zapragnął naraz znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, od niej, a głównie od siebie samego. Przyklęknął i ująwszy jej dłoń, pocałował pokryte piaskiem palce.

– Spadaj! – cofnęła się raptownie. – Jesteś kawał skurwiela, jak wszyscy! – zaczerpnęła tchu. – Aleśmy tylko ludźmi, nie? – rzuciła naraz zdławionym, drżącym głosem, a było w tym podsumowaniu wybaczenie i rozgrzeszenie zarazem.

Uczuł tak wielkie wzruszenie, że nie był w stanie wyrzec nawet słowa.

– Teraz ci coś powiem... – przełknęła ślinę – ... coś ważnego. Nie wiem coś za jeden i nie chcę wiedzieć. Mnie wyrolowało wielu takich, jak ty... ważniaków... Myśleli: brzydka, to łatwo z nią pójdzie. No i rację mieli, nie da się ukryć. – Dziewczyna roześmiała się. – Ja nawet nadprogramowo... Jak raz coś z kimś miałam, to się zaraz zakochiwałam jak idiotka... Czy jest to do pojęcia? No, śmieję się! Czemu się nie śmiejesz?... Jeden sztos, a ja tęsknię jak pomyłona. Czas upływa, dużo czasu... Nieważne. Potem zjawia się facet następny i znowu następny, znowu słowa, dużo słów... Pijemy, kochamy się... wszędzie na łąkach, a trawa u nas jak materac, widziałeś? Robimy to w łóżku u mnie albo w motelach, bo to przyjezdni... Różnie, z Bristolu, z Cardiff, z Londynu. Nasi chłopcy stąd znowu tam jeżdżą na to samo... Ubaw nieziemski, prawda?... I ja wcale święta nie jestem. Odwrotnie, lubię tę robotę... nawet bardzo lubię... Tylko, że po tym którymś kolejnym czekaniu... takiej kretyńskiej nadziei, jeszcze raz odgrzanej, wydało mi się, że coś we mnie samej szlag trafia, kiedy to robię, i powiedziałam sobie wtenczas – brzydka jesteś, koszmarna, zerżnie cię raz ten czy tamten, ale nawet na powtórzenie tego jednego razu nie ma już ochoty, chyba, że na „ostatnią deskę ratunku” się skusi wyposzczony. I teraz najważniejsze – ja cię poważam. Sama nie wiem dlaczego, ale chociaż wkurzasz mnie nieraz, to szacunek dla ciebie mam, odkąd cię tylko zobaczyłam, więc nie chcę, żeby... – głos jej się załamał.

– Rozumiem – szepnął samymi wargami.

Wracali do miasteczka w milczeniu. Znał już jej adres w Hillstone. Rano zawiózł jej taksówką wielki kosz kwiatów.

Nie udało się im potraktować zdawkowo siebie wzajem. Ku własnemu zaskoczeniu uzmysłowił sobie niespodziewanie, że tęskni za rudym brzydactwem z Hillstone w Somersiecie. Ona zaś – nieważna urzędniczka maleńkiej poczty w tejże miejscinie właśnie – zajęta stemplowaniem znaczków czy też przyjmowaniem przekazów i znudzona wypowiedaniem wciąż tych samych słów pod adresem nielicznych klientów – pojęła któregoś dnia, że odczuwa brak obecności tego trudnego do wytrzymania „agenta handlowego” z

Londynu.

Politycy i kobiety wiedzą, jak dla swych celów wykorzystywać wpadki czy „omsknięcia się” przeciwnika. Od owego wydarzenia na plaży opodal Blue Achor pomiędzy Sir Francisem i rudą zaistniała i utwierdziła się dość szczególna i osobliwa forma wzajemnych relacji. Objawiane mu przez dziewczynę z Hillstone jawne lekceważenie, słowa krytyki wypowiedane pod jego adresem przyjmował aktor początkowo z rozbawieniem, później zaczęły go one złościć, lecz jeszcze później, po którymś tam kolejnym, przedłużonym weekendzie spędzonym w Somersecie – o niezbadane zakamarki ludzkiej jaźni! – zaczął się owym utyskiwaniem na swe braki delectować chyba w równym stopniu, co przekornie zachwycać koszmarnie mieszczańskim wnętrzem mieszkanka rudej urzędniczki poczty.

– Jesteś prymitywny niesamowicie! Nie znasz w ogóle kobiet – mówiła na przykład ruda dziewczyna, zajęta smażeniem soli tak, jak lubił – parniowanej i z truflami. – Twoja brutalność musiała mnie od ciebie odrzucić, to jasne. Siadaj! Gotowe! – ciągnęła w tej samej tonacji. – Otwórz wino! Boże, jak ty to robisz? Patałach! Przecież mamy tu lepszy korkociąg. Nie wiesz, gdzie leży?

„Z trudem toleruję te stałe inwektywy. Ale jednak... ten »pata-łach«... Kto mi powie coś takiego?”.

– Z trudem cię znoszę – próbował się z początku odcinać. – Już wiem, dlaczego żaden z twoich kochanków nie mógł z tobą wytrzymać.

– Ty zejdź z moich kochanków, rozumiesz?! – wrzeszczała natychmiast. – W ten sposób mi odpłacasz za moją szczerość? Jak ci smakuje? Tyle ci powiem, że żaden z nich nie próbował mnie zgwałcić.

– Bo nie musiał – odpowiadał Sir Francis z pełnymi ustami. – Solę przyrządzasz zachwycająco.

– Nie musiał, jasne – odpowiadała. – Cieszę się, że ci smakuje. Mimo wszystko twoje zdrowie!

Posiadł ją, a raczej ona jego, w czasie kolejnego swego wypadu do Somerset w celu – jak to oznajmił w Londynie wszystkim zainteresowanym – nauczenia się w zupełnej samotności wyjątkowo trudnej roli Heliosa, wiodącej, jak wiadomo, w sztuce *Igrce niebiańskie* Petera Horda.

Jesień w Somerset to pora przedziwna. Rdzewieją lub fioletowieją liście drzew i krzewów. Wszystko to zasnute niby tiulem płachtami zwiewnych pajęczyn. Zaznaczają swe istnienie czerwienią syte, przejrzałe jagody ostrężyn, których zatrząsienie. Dukty poziomo tnące stoki zapraszają do konnych przejażdżek, jakże łatwych i dostępnych każdemu z racji licznych



stables rozsianych w dolinkach. Wynajawszy tego dnia dwa wierzchowce, ruszyli od Taunton w kierunku Watchet. Grzbiety pagórków łączących się harmonijnie i nie wiedzieć kiedy przechodzących jeden w drugi, objawiały niekiedy doliny, wąwozy lub też szersze przestrzenie łąk. Na jednej z tych łąk właśnie, pośród trawy tak bujnej, że zapadli w nią oboje natychmiast stając się niewidoczni, dziewczyna zaczęła go całować, a potem zdumiony Sir Francis stwierdził, że już siedzi na nim niby na koniu, dając sobie znakomicie radę niejako bez jego pełnego współdziałania.

– Jazda konno zawsze mnie podnieca. A ty, jak na swoje lata, jesteś niezły – mówiła wkrótce potem, kiedy już znowu jechali strzemię w strzemię. – Musisz się tylko nauczyć być bardziej rozluźniony.

„Na co to sobie pozwala! Niech ją diabli wezmą!” – pomyślał.

– A chcesz wiedzieć, jak ty wypadłeś? – rzucił zaczepnie.

– Jestem do niczego, wiem – potrząsnęła głową.

„Jesteś genialna w tej robocie, ruda pało” – ocenił, ale jej tego nie objawił.

– Co to znaczy „być bardziej rozluźniony”? – rzekł niby od niechcienia. „W życiu z nikim o tych sprawach w ten sposób nie rozmawiałem”.

– Trzeba sobie... – jakby to ująć?... – twarzyczka rudej wyrażała namysł i koncentrację godne sprawy niebywalej wagi. – Trzeba, Kochając się z kimś, zawsze sobie wyobrazić, że to nie jest nic takiego, że to jest jakby zupełnie zwykłe... Sprawa jest i tak silna, rozumiesz? Więc jak się człowiek rozproszy, to jest lepiej, kapujesz?

– Kapuję – odparł po chwili. – Aż kim ci było najlepiej?

– Z takim jednym z Hull... Gregory się nazywał... – zachichotała niespodziewanie. – On zawsze ze mną wtedy rozmawiał i to było cholernie... rajcujące! „Patrz, jaki ten świat jest wredny”, potrafił na przykład powiedzieć ni przypiął ni wypiął, właśnie kiedy mnie grzmocił. On mi to mówi. Ja jeszcze jestem daleko, ale kiedy to słyszę, gwałtownie się przybliżam i łups – jestem gotowa.

„Boże, z kim ja się wdałem w komitywę?! Przecież znam setki uroczych kobiet na poziomie. A ten rudy koszmar się po prostu puszcza – pomyślał. – Ohydne to wszystko. Żegnaj, idiotko! Już mnie tu więcej nie zobaczysz!”.

„W tej poświacie palących się świec, zupełnie nieźle wyglądają kwiaty, naprawdę zdołają stół jadalny. Chyba oboje z żoną możemy już z czystym sercem oświadczyć, że *world is our oyster*, a nawet istnieć *Light foot and fancy free*” – pomyślał, rozglądając się po antycznym umeblowaniu jadalni.

– Czytałeś *Heptamerona* Małgorzaty z Nawarry? – spytała Linda w chwili, gdy podająca do stołu Lucy, nakładała na jej talerz porcję *Sirloin of beef fricassee Gundel*, przeniesioną zręcznie ze srebrnego półmiska na specjalnej, także srebrnej, łopacie. Oboje jedli kolację w dużej jadalni, z której wielkie odrzwia wiodły na taras i do ogrodu.

– Wiem o niej tylko, że znała łacinę i grekę, a działała w epoce Renesansu – odparł Sir Francis, czekając aż żona zacznie jeść pierwsza. Obserwował właśnie Lucy napelniającą kieliszki winem. Stwierdził, że Linda wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

– Znała też włoski i hiszpański. Zachwycała się Petrarą, Giovannim Boccaccio i jako jedna z niewielu szukała natchnienia w *Boskiej komedii* Dantego – dodała, kiwnięciem głowy i lekkim uśmiechem dziękując podającej do stołu.

– Imponujesz mi, jak zawsze – rzekł już jedząc. – Jeszcze tylko skądś zapamiętałem, że pisząc swój *Heptameron* wzorowała się na *Decameronie* Boccaccia. A więc istna renesansowa perwersja i szczyt wyuzdania – dodał z uśmiechem.

– Jesteś największym erudyta, jakiego znam – oświadczyła Linda. Dostrzegł jednak, że lekko strofujące spojrzenie przeniosła na Lucy. – Ale *Heptameron* to zarazem zbiór nowel o wyraźnie dydaktycznym charakterze, moralitet niemal.

– A, to przepraszam – roześmiał się. – Twoje na górze!

– Od jakiegoś czasu używasz osobliwych zwrotów. Trochę jakby... – uśmiech Lindy nie był zbyt szczery.

„Lady Dezodorant” – przypomniał sobie jedną z postaci najnowszej komedii Wella. „Powiedz, jak mnie porzucisz?” – spytała ta dziewczyna w Hillstone, kiedy cesał jej rude włosy. Jak już dawno jej nie widział...

– Co „jakby”? – rzucił tak zaczepnie, że jego samego zdumiała tego rodzaju reakcja.

– Nie wiem... W ogóle wydajesz mi się... jakiś... odmieniony – szare oczy pięknej kobiety siedzącej po drugiej stronie stołu, obserwowały go uważnie. – Już od dłuższego czasu... To głupie, wiem... Szczerze mówiąc, rada jestem, że masz dobry nastrój... Wiesz, że zawsze mi na tym zależy. Tylko, że... nie robiłeś tego od tak dawna...

– Czego, na Boga? – spojrzał na żonę ze zdumieniem.

– Ten twój nagły nawrót zamiłowania do gry w polo, do przygotowywania ról... właśnie w Somerset...

– Tam jest spokój i najlepsze tereny do gry, do pracy także, wręcz idealne. Każdy ci to powie – z trudem opanowywał zakłopotanie.

– I nie męczy cię ta... koncentracja aktywności? – Uśmiech Lindy miał być, niewątpliwie, nieśmiały. W zdenerwowaniu uznał go jednak za lekko drwiący.

– Daruj, ale nie jesteś już... – upiła ze swego kieliszka.

Nie miał pojęcia dlaczego, lecz ten jej opanowany gest wyprowadził go z równowagi.

– Jeśli chciałaś mi przypomnieć mój wiek, to dowiedz się, że upływ czasu uzmysławia mi co wieczór lustro w mojej garderobie – oznajmił spoglądając jej prosto w oczy.

– Gdybym zamierzała być aż tak nietaktowna, postarałabym się znaleźć stosowniejszą porę i okoliczności na dokonanie podsumowań tego rodzaju – Linda znowu poszukała wzrokiem podającej do stołu. – A jeśli chodzi o twój wygląd, to stwierdziłam z zadowoleniem, że właśnie ostatnio wyraźnie odmłodziłaś i wyglądasz cudownie, a nawet, jak przed wielu laty, wyśpiewujesz co rano w łazience.

„Zmiękczyć mnie potrafi bezbłędnie – pomyślał, nie potrafiąc ukryć uśmiechu. – Jest silniejsza ode mnie. A jeśli nie silniejsza, to uznać należy, że w tego rodzaju rozmowach, nie do pokonania”.

– W teatrze idzie mi nie najgorzej – rzucił niby od niechcienia.

Jadł pochylony.

– Wiem, wiem. Cieszę się – oświadczyła. – Może byś zabrał mnie kiedyś do tego twojego Somersetu? – dodała nieoczekiwanie.

– Jasne. Ależ tak, któregoś dnia... pojedziemy – spróbował zdobyć się na uśmiech choć w miarę naturalny. Był świadom, że zrobi wszystko, aby ich wspólny wyjazd nigdy nie doszedł do skutku. Nie był to koniec oczekujących go zaskoczeń.

– Tak dawno już... – Linda uśmiechnęła się naraz promiennie, a był to uśmiech ożywiający jej piękną twarz, płynący z wnętrza. – Czy nie miałbyś nic przeciw temu, abym jutro... powiedzmy... – tu ściszyła głos do szeptu – ... powiedzmy po dwudziestej drugiej, odwiedziła cię w twojej „pustelni”?

– Ależ, ależ... oczywiście – bąknął osłupiały. Odchrząknął. – Jasne. Będę szczęśliwy – dodał po chwili już zwykłym głosem.

Po tej rozmowie dopiero – jakby nią zdopingowany – rzeczywiście wrócił po latach do gry w polo i kilkakrotnie popisał się przed Rudą hasając na wynajętym pony jako czwarty w drużynie z Tranton. Istotne, że z zadanego mu przez Lindę pytania, a raczej propozycji wspólnego do Somerset wyjazdu, utwierdził się w nim zwrot „twój Somerset”, jako – jego zdaniem – najbardziej odpowiadający prawdzie. „To wszystko moje” – myślał odtąd zaborczo o staroświeckich wnętrzach hotelików pachnących pastą do podłóg, ze schnącymi u pował ziołami, o cienistych jarach, o wodzie przyływu zmaconej brzegowym mułem na beżowo, o zwiedzanych samotnie ruinach klasztoru Cystersów oraz katedry w Glastonbury.

– Nie chcę tam chodzić, bo nie lubię tych wszystkich staroci – powiedziała Ruda, podając

mu herbatę, gdy wrócił z wycieczki. – Czy takie ruiny nie przypominają ci niepotrzebnie o śmierci? Boże, ile ty słodzisz? A znowu przytyłeś. Wyglądasz okropnie!

– Dziękuję uprzejmie. Zaraz, o czym my właściwie mówimy? – próbował usystematyzować rozmowę.

– Mówimy o wszystkim, jak przyjaciele – oznajmiła z poważną miną. – Chyba, że chcesz rozmawiać tylko o jednej sprawie. Domyślam się zresztą o jakiej. Czego ty właściwie jesteś akwizytorem? Chyba z takim założeniem handlowanie nie bardzo ci idzie. Co sprzedajesz?

– Samego siebie – rzucił bez namysłu, uzmysławiając sobie jednocześnie, że wyznał prawdę.

– Szczerze mówiąc, wiele bym za ciebie nie dała – obserwowała go, jak to ona, zmrużonymi oczyma. – Daj, wytnę ci te paskudne włosy z uszu. Z nosa też by się przydało. Sama nie wiem, co ja w tobie widzę.

– A widzisz coś? – poddawał się tym zabiegom nie tylko bez protestu, lecz nawet z przyjemnością.

– Ja także zastanawiam się, dlaczego z taką brzydulą wytrzymuję – „Cały ten klimat, jaki tworzy swoim paplaniem jest mi, widać, potrzebny”.

– Dziwne to wszystko, fakt – obserwowała jego nozdrza z takim skupieniem, jakby kryło się w nich coś niezwykłego. – Dmuchnij! Boże, co z ciebie za człowiek? Nawet dmuchnąć nie umiesz – westchnęła ciężko.

– A dmuchać? – chichotał jak chyba nigdy w życiu. Nie lubiła, kiedy odwiedzał ją na poczcie. Nawet gdy w malutkiej klitce urzędu pocztowego w Hillstone znajdowali się sami, stawała się od razu nienaturalnie usztywniona. Rozumiał to uoficjalnienie i jej zachowanie budziło w nim coś podobnego do szacunku.

Na przedwiośniu nowa kreacja aktorska Sir Francisa Woodhousa w arcytrudnej roli Harona (*Względność czasu* A. Whitakera) stała się tak wielkim sukcesem, że nawet wymagający Thomas Willington napisał w „Guardianie”, że on, Sir Francis Woodhouse objawia w tej roli „pewne cechy wielkości”. – „Wysilił się zapity intelektualista. Niech go diabli wezmą! Pewne cechy...”. W tym okresie zadzwonił ze dwa razy do Rudej na jej pocztę, wysłał jakieś tam kartki, na które z poste restante odebrał lakoniczne pozdrowienia dziewczyny, wypisane równym, niemal szkolnym pismem na odwrocie kolorowych pocztówek. Nosił te kartki zupełnie bez sensu w portfelu, co było ryzykowne.

Pojawił się zatem w Somerset o wiele później, niż to zaplanowali oboje. Zapadłe wśród drzew domy ginęły w kwiatach. Kwitło zresztą wszystko dookoła. Zbocza wzniesień

promieniowały dusznym ciepłem. „Nic dziwnego, że jeszcze Rzymianie czcili te strony i uznawali krzewiące się tu ongiś puszcze za miejsca święte, a nawet tu właśnie umiejscowili swoje »Wyspy umarłych« – rzymskie Pola Elizejskie” – myślał oczarowany.

– Wiesz, kiedy cię tak długo nie było, zapomniałam zupełnie, jak wyglądasz – powiedziała dziewczyna na powitanie. – Staralam się i nic. Masz jakieś swoje zdjęcie?

– Zrobię sobie – usiadł przy stole naprzeciw niej. – No i jak ci się widzę? – rzucił niepewnie.

„Szczyt wszystkiego! Co się dzieje? Wygląda na to, że zaczęło mi naprawdę zależeć na opinii tej siusmajtki!”

– Starszy facet, który stara się na siłę odmłodzić – rzekła. – Dzinsowy zestawik już nie dla ciebie, braciszku. I nie wciągaj brzucha! Myślisz, że nie zobaczyła od razu, jakieś znowu się roztył? – W chwilę później dosiadła go, jak lubił, i zapadł się po przeżytej rozkoszy w sen głęboki i spokojny, świadom w chwili zasypiania, że za oknami śpiewają ptaki i że liście drzew szumią.

Ten jego wczesnowiosenny pobyt był cudowny. To nic, że Ruda przyznała się do przygody z jakimś Benem – graczem w polo.

– Ale był z drużyny w Crepton – mówiła, jakby klubowa przynależność jej kochanka miała istotne znaczenie. – Młody. Nic nie umiał. Sama go musiałam wszystkiego uczyć – relacjonowała nieproszona. – Kiedy już miał – wiesz co – to tak strasznie piszczał.

– Jak to „piszczał”? – próbował ukryć swe zdegustowanie. „Po diabła mi to opowiada?”

– Tak to. Z początku, to myślałam, że płacze. Ale on... on nic tylko... piszczał! Pi, pi... jak duże kurczę – Ruda zaśmiewała się tak serdecznie, że obserwując tę jej („trywialną” ocenił w myślach) wesołość – sam, nie wiedzieć kiedy, ją przejął.

– Grałeś z nim w polo w jednej czwórce. Taki czarny, pamiętasz? – dodała już poważniejąc. – Powiedziałeś, że przypomina Cygana. I miałeś rację, bo to Cygan.

„Witaj w klubie – pomyślał. – Szwagra Cygana jeszcze chyba nie miałem”.

– No i co? – zapytał.

– Nic. Zrozumiałam, że tylko ciebie kocham. Ten mi nawija, że pierwszy raz z dziewczyną, co tam ma na rudo, rozumiesz? Że go to rajcuje, że mnie kocha i różne takie... A ja... „only you”. Nawet się przestraszyłam. Jak to się tęskni, wiesz?

– Nie bardzo.

„Za żadne skarby nie wolno ci powiedzieć, żeś tęsknił za nią właśnie”.

– No i fajnie – przeciągnęła się. – Ja cię kocham, a ty śpisz.

– Myślę, że to porządny chłopak – skłamał. – Przypominam go sobie.

– Nawet „zamożny z domu” – skinęła głową. – Jego starzy mają hotelik. A ja wiersz do ciebie napisałam. Nawet kilka wierszy. Masz chęć posłuchać? – zerknęła na jego twarz. – Dobrze, nie dzisiaj. Teraz zrobimy to jeszcze raz, chcesz? O, to mi się właśnie z tobą marzyło! Tylko z tobą. To chyba jest ta tęsknota. Piszą o tym, śpiewają... – zaczęła go całować namiętnie, z ogniem, jak nigdy dotąd.

– Czy tobie czasem chodzi po głowie coś takiego, że to dobrze, że ja jestem? Że w ogóle się urodziłam i istnieję? – spytała cicho, gdy już, przysypiając, leżeli obok siebie.

– Tak nieraz myślę – powiedział.

– A ja o tobie tak samo – przytuliła się. – Nie masz takiego szmalu jak Robert ani taki znany nie jesteś. Ale myślisz, że ja nie wiem, nie czuję, że opieki ci mojej potrzeba. Ty jesteś – co tu kryć – trochę dziadzia. Taki dobry, duży, niezbyt zaradny facet.

„Chryste, co ona plecie? Miej mnie w swojej opiece! – przebiegło mu przez głowę. – Najdziwniejsze, że leżąc z nią w tym mansardowym pokoiku, czuję się jakby szczęśliwy. I kto to wszystko reżyseruje?”.

W czasie tego weekendu przez Minehead i Porlock Hill zawędrowali Morrisem aż do Lunmouth, a potem jeszcze dalej – już w hrabstwie Exmor, by się zatrzymać na nocleg przy Combe Martin. Do wyznań miłosnych już nie wróciła. Zastąpiły je zwykłe słowa krytyki, a nawet epitety pod jego adresem, wypowiedziane teraz jakby nawet ze szczególną zajadłością. Dlaczego dzięki tym inwektywom właśnie promieniał, nie miał pojęcia. „Okazało się, że jestem masochistą – próbował ocenić to dziwo. – Rudzielcze, ty wredna jędo, chyba mnie zaczarowałaś!”.

– Dobrze mi z tobą – powiedział w samochodzie, gdy już wracali.

– Uważaj, patałachu! Daj w lewo! – wykrzyknęła w odpowiedzi. – Jeździsz jak noga! O mało nie wpadliśmy do rowu. Teraz jasne kto zawinił, kiedyś się wpięprzył w mój rower!

Wręczenie Sir Francisowi Woodhouse nagrody za jego role w teatrach telewizji odbyło się ze zwykłą pompą. Nadszedł siódmy czerwca i niespodziewany odlot Lindy na kręcenie (rola Marty) w *Zasadzce* W. Keena. Jak oświadczyła podekscytowana mężowi, zdecydowała się „przy okazji” zabrać ze sobą Daisy. Obie szczęśliwe i roześmiane spakowały się pospiesznie i odjechały na lotnisko. Dekoracje do filmu, w którym miała wystąpić Linda, były autorstwa Ralpa O'Briena.

„Pełnia współpracy i harmonii także na tym polu – ocenił drwiąco Sir Francis. – Niepotrzebnie tylko Linda wciąga w ten swój związek nasze dziecko. Nie to, co moje siermiężne odchylenie od normy. Nasz przedziwny romans trwa już ponad rok, a udało się

utrzymać stan pełnego odosobnienia oraz izolacji. Niechaj błogosławiona będzie cała ta mistyfikacja mojej, wydumanej roli akwizytora handlującego częściami maszyn. Widocznie wspomaga mnie magia przypisywana okręgowi Glastonbury, a może moc świętego kielicha Graala tam właśnie mającego się znajdować”.

Zawiadomił Rudą o swym przyjeździe, telefonując do niej na pocztę, jeszcze z Heathrow, tuż po odlocie żony i córki.

„Puszczalska, ale przynajmniej niczego nie ukrywa i najważniejsze, z racji swego słabego wzroku, nie ogląda telewizji – przebiegło mu przez głowę, gdy siadał za kierownicą. – Stać mnie chyba jednak, mimo wszystko, na związek z kobietą fascynującą a jednocześnie intelektualnie nieprzeciętną. No, tak – ale taka będzie mnie windować na koturn moich osiągnięć, a tego przecież nie zniosę”.

Kiedy zjawił się w Hillstone, lało jak z cebra i Ruda rugnęła go oczywiście na powitanie, obwiniając o naniesienie błota z dworu. Zwyciężył ją niebawem w zwykły sposób. To był rytuał. Osłabła z rozkoszy, usnęła natychmiast u jego boku. Zdażyła jeszcze przedtem napalić w kominku. Refleksy ognia tańczyły na drewnianym stropie mansardy. Wiatr zawodził za oknami. Śpiąca oddychała rytmicznie. I znowu, najzupełniej niespodziewanie, naszło go uczucie wewnętrznego ukojenia i spokoju. „A więc tak zwyczajnie wygląda moje szczęście”. Delikatnie pogładził zmierzwione włosy dziewczyny, wysunął się z uścisku jej ramienia, wstał i usiadł przed ogniem, zapaliwszy fajkę od żarzącego się drowienka.

„Niesamowite, przecież to moja kobieta i mój dom – pomyślał. – Widocznie dane mi jest być sobą tylko od święta. Dzięki Bogu i za to”. Przestało padać. Ruda obudziła się. Już wkrótce – stwierdziwszy, że nic nie ma w lodówce – wypadła po zakupy. Diabeł go podkusił, by wyjść tuż za nią i niby to spotkawszy ją przypadkiem w sklepie – uczestniczyć w płaceniu. Jak na małą miścinę, sklep delikatesowy przedstawiał się wcale okazale. Stało przed nim sporo samochodów, a wewnątrz popychało zakupowe wózki jeszcze więcej klientów.

– Twoje włosy były dla mnie jak błysnięcia latarni morskiej – rzucił zatrzymując się obok dziewczyny. – Zapomnieliśmy o winie.

– Ja nie zapomniałam – pokazała mu trzymaną w dłoni karteczkę ze spisem przewidzianych do zakupu towarów. – I nie zapomnę także twojego nabijania się przy każdej okazji z koloru moich włosów. A ty za to łysiejesz i robisz się ogólnie szkaradny! – uczył, że przywiera do niego biodrem.

Wtedy właśnie to się stało, lecz nie był niczego świadom. Po tygodniu dopiero, w czasie następnej wizyty, a ściślej, gdy opalali się oboje na morskim brzegu opodal Old Cleave, rzuciła niby od niechcenia, że wie już, kim on jest naprawdę.

– ... Kiedyś to wino kupował ze mną przed tygodniem, rozpoznał cię taki jeden... nauczyciel z Mertix, Weddog się nazywa czy jakoś tak... A już kilka osób mi wspominało przedtem, że jesteś podobny... jak to powiedzieć? Do samego siebie? Nie mogę! Do samego siebie... podobny! Ale ubaw, nie? – Jej uśmiech przypominał bolesny grymas. – A właściwie, to nie, bo zaszczyt. Wielki, największy aktor wygłupia się z jakąś tam rudą kretynką. Robi taką sztukę. To się nazywa „teatr wyjazdowy”, tak?

– Przestań! – widząc, że dziewczyna ma łzy w oczach, spróbował wziąć ją w ramiona. Siedziała przez moment nadal sztywna i obojętna, lecz nagle przywarła do niego, odrzuciwszy do tyłu głowę sztucznie patetycznym ruchem.

– Całuj mnie, Sir! – szepnęła niby to namiętym tonem. – Jak robić teatr, to już na cztery fajerki!

– Posłuchaj! Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... – rzekł bardzo cicho.

– Słucham uprzejmie – odparła w niezwykle układnej tonacji. – No, grzecznie czekam. Co się dzieje? Wygłupiam się. To bez sensu – powiedziała naraz normalnym głosem. – Musiał być jakiś powód, żebyś chciał stać się kimś innym. Zawsze jest jakiś powód, prawda?

– Cieszę się, że to rozumiesz – uczył ogromną ulgę.

„Nie zapalę jeszcze fajki, choć o tym marzę. Poczekam – postanowił. – Przecież jest mi autentycznie, cholernie jej żal”.

– Strasznie mi przykro – głos mu zachrypiał. Był z tego zadowolony. Nie odchrząknął. – Stałaś mi się kimś niesłychanie bliskim, serdecznym – ciągnął dalej „na chrypcę”. „Rozumiem konwencję śpiewową Armstronga” – pomyślał przelotnie.

– Komu jestem... bliska? – rzuciła, zerkając mu prosto w oczy. – Nie! – wykrzyknęła naraz bardzo głośno, podrywając się na równe nogi. – Przecież ja wszystko kapuję. I nie truj mi tu jakichś głodnych kawałków. – Podskakiwała w miejscu, jakby nie mogąc ustać. – Byłam z tobą w ciąży i w maju przesłam skrobankę – śmiejąc się, nie przestawała wykonywać wciąż tych samych podskoków. – Założę się, że myślisz: „Czy ze mną?”. Ale to miało być... nasze dziecko. Zresztą myśl sobie, że nie nasze. To bez... znaczenia. Tylko, że... może będzie ci lżej. O, rany – moje dziecko z Sir Francisem Woodhousem! Ja nie mogę! – wróciła do knajackiego akcentu. – Powiedz: „jak nie mogę, to przez nogę”. Sir się nie boi!... Sir zagra!

– Jestem tym wszystkim wstrząśnięty. Chodź, wracamy! – Nie bronila się już, gdy ją otoczył ramieniem. Czuł, że chude plecy drżą. – Porozmawiamy w domu. Wszystko ci wytłumaczę. Wiem, że zrozumiesz. Jesteś mądra facetka.

– A jak! Genialna jestem! Superwoman ze mnie! – rzuciła jakby z roztargnieniem. A ty jesteś cudny!



– Dureń beznadziejny! – rzekł bez uśmiechu. – Raz jeszcze z całego serca proszę cię o wybaczenie!

– Zastanowię się – zaśmiała się po dawnemu. – Pobiegnę za tamtą górkę, żeby zdecydować, czy ci wybaczyć. Ty siedź i patrz w morze! *The sea, the sea, the open sea! The blue, the fresh, the ever frer... Ay, Ay, Sir!* – wykrzyknęła, robiąc szelmowską minę.

Pobiegła lekko, a on odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za wzniesieniem. Teraz dopiero zdecydował się na zapalenie fajki. „Okazało się, że jest rozsądna. Chyba da się jednak wszystko naprawić. Na przykład... – zastanawiał się. – Na przykład zostawię jej w prezencie tego Morrisa – zdecydował zadowolony z pomysłu. Widział już zdumione oczy dziewczyny. – Tak, zrobię to. Szczęście poznania ciebie zawdzięczam w jakimś stopniu temu autu właśnie. Teraz będzie twoje. Czy jeśli zasłużę, będziesz mnie nim wozila?”

Długo jakoś nie wracała. Oczyszczył wypaloną fajkę, wstał i rozejrzał się. Zerwał się wiatr. Fale szły ku brzegowi i załamując się w falbany z pian, międliły wciąż od nowa żwirek plaży.

Sir Francis uczył nagły, przesywający lęk i zaczął biec. Za wzgórzem, nawet w najdalszej perspektywie plaży, nie dostrzegał nikogo.

## Nieprzyzwoitość

Krystynie Nepomuckiej

Istne wariactwo. Bo odpowiadam jednak na ten apel. Moja prawnuczka mówi – niech babcia to opisz. „Babcia”... Odmładza mnie. Wpadnie raz na dwa tygodnie na pięć minut (każdy się dziś przecież spieszy), to opowiadam takie tam historie nieważne sprzed lat. Tę też jej, w przypiływie pragnienia wygadania się chyba na zapas, musiałam kiedyś opowiedzieć. Nie pamiętam. Kiedy kto przyjdzie, nieistotne, może to być listonoszka, hydraulik (jak się go ubłaga), sąsiadka czy ktoś z rodziny, dzieje się ze mną coś głupiego. Mówię i mówię bez ładu i składu jak nakręcona. Wiem, że to niedobre. Ludzie mają dzisiejsze sprawy, ważne problemy. Nie interesują nikogo jakieś tam banialuki sprzed pierwszej czy też drugiej (wszystko mi się miesza) wojny światowej. W dodatku kiedy je opowiada starowina. No i racja, rozumiem. Nie, to nie jest tak. Ile razy ktoś przyjdzie, to ja teatr z siebie i ze swego życia robię. Dopiero kiedy już znowu sama zostaję, to się zastanawiam, po co. Ale wiem! Takiej to ja jeszcze sklerozy nie mam, żeby nie zauważyć, kiedy ktoś się nudzi ze mną i chce uciekać. Dlatego przedstawienie, nieraz na siłę, odstawiam z samej siebie, wygłupiam się bez umiaru. Za aktorkę he, he, jestem. I to jaką! Piosenki śpiewam, deklamuję. Wszystko, żeby nie odchodzili zbyt szybko. Chociaż... Kiedy odchodzą, to zaraz pojawiają się ci inni. Z tymi to można rozmawiać bez słów albo – kiedy słowami – to krótko, urywkowo. Oni rozumieją. Bardzo dziwne dożyć takiego wieku. Trudno to przekazać. Dzisiaj wszyscy wykształceni wiedzą dużo. A ja... z duchami rozmawiam. Tak się już do tego przyzwyczaiłam, że nawet moje z nimi stosunki podlegają od dawna już tym samym przetworzeniom, co ludzkie z żyjącymi.

Podobno piękna byłam niegdyś, przed laty. Muszę to szczerze napisać, bo inaczej cała historia nie wyjdzie jak trzeba. A więc kochali się we mnie, uwodzili albo legalnie starali się o moją rękę przeróżni. Na balach, to zamęt, istny zawrót głowy. Karnety pełne wpisów. Kotyliony. Tańce zarezerwowane nieraz dla trzech jednocześnie. Zielona byłam okropnie,

śmieszka niepoprawna. Lubiłam chyba jak się ścierali, uzasadniali swe racje. Z oczu szły im – wtedy to się określało – błyskawice. Słowa padały ostre albo ozięble. Zabijali się wzrokiem i to wszystko o mnie – osiemnastolatkę! Czy mogło być coś cudowniejszego?

– Szanowny panie, musiała niewątpliwie zajść jakaś pomyłka – cedził przez zęby jeden.

– Piękna pani raczy sama wydać werdykt w tej sprawie – syczał inny w odpowiedzi, obdarzając mnie uśmiechem, który musiał mu się wydawać uwodzicielski.

Szumiały mi echa kawiarni. Och, szumiały! W resursie się bawiło albo w „Polonii”. To był czas kontrastów. Nędza a tuż obok bogactwo albo udawanie kogoś lepszego. Tylko, że... ta moja młodość obłądna, nieposkromiona, pędziła przed siebie na złamanie karku i chyba pozbawiona smutku nie starała się złych stron życia nie dostrzegać.

A nieprzyzwoitość wynikała ze smutnego faktu. Wracałam z pogrzebu ciotki, z Wilna do Warszawy. Zaraz na początku, chyba w Lidzie, wszedł do przedziału i usiadł naprzeciwko mnie kapitan lotnik – chłopak jak malowanie. Upłynęły dziesiątki lat, a ja tę chwilę jego ukazania się pamiętam, jak gdyby wszystko zdarzyło się dopiero co. Od momentu jego wejścia, przestali istnieć wszyscy ludzie w tym przedziale się znajdujący, a także inni – odleglejsi. Był tylko on – smukły, niebieskooki brunet o pięknym profilu i namiętych ustach. Nie muszę wspominać, jak leżał na nim świetnie skrojony, stalowobłękitny mundur. Jak elegancko siedział, założywszy nogę na nogę, zwrócony trochę nonszalancko w stronę okna. Doskonałość. Jestem pewna, że wszystkie kobiety od podfruwajek do leciwych matron wiedzą, co mam na myśli. I burza we mnie zaistniała, podniecenie niezwykle, jakiego do owego dnia nigdy nie zaznałam. „To ten, o którym zawsze marzyłaś – mówiło mi serce. – Ten jedyny, na wieki. Przecież ja jego pragnę, pożądam!” Oszołomiona, przerażona niemal, odbierałam intymne sygnały swego ciała. Zaciskałam uda, zmieniałam pozycję nóg. Nie pomagało. Wewnętrzne wrzenie ogarniało mnie z coraz większą mocą. „I cóż on widzi za tym oknem? Interesują go mokradła?” – wściekła na jego lekceważenie, ostentacyjnie przerzucałam najnowszy numer „Światowidu”, to znowu nerwowo i niesamowicie sztucznie – byłam tego świadoma – poprawiałam makijaż, przeglądając się w lusterku puderniczki. Na moim vis a vis nawet moje najśmielsze i wciąż nowe pozy – panie wiedzą, co mam na myśli – pokazywanie niby przypadkiem uda odrobinę dalej, niżby wypadało, rozwieranie nóg – także absolutnie „przypadkowe”, słowem wszystkie te nasze babskie sztuczki, nie robiły najmniejszego nawet wrażenia. Gwiazdor lotnik jak gdyby nigdy nic, otworzył w pewnej chwili wielką teczkę i zabrał się do przeglądania jakichś papierów. Słowem istna zgroza. Wysłałam na korytarz. Pamiętam, że zapalałam papierosa najbardziej „scenicznie”, jak potrafiłam. To było istne misterium w moim wykonaniu. Bez efektu, bo nawet nie spojrzął w

moją stronę. Wgniatając nie dopalonego „egipskiego” papierosa w popielniczkę, stwierdziłam, że drżą mi ręce. Działo się ze mną coś wielkiego, ale nie rokowało to niczego dobrego. Miałam wówczas dwadzieścia osiem lat. Zdażyłam już przeżyć (moja prawnuczka powiedziałaaby „zaliczyć”) kilka flirtów, jeden poważniejszy romans, zauroczenie kimś miłym, lecz moje natychmiastowe opętanie przystojnym kapitanem, w dodatku nieznanym facetem („facet” – znów prawnuczka) z przedziału kolejowego, to było wariactwo i odchylenie od normy. „Ukochany mój, zdobędę cię, tylko jeszcze nie wiem jak. Musisz być mój, braciszku! – powiedziałam sobie, obserwując go z korytarza. – Zakochałam się w tobie na zabój, a ty nic o tym nie wiesz, niczego się nie domyślasz i wściubiasz nos w jakieś tam papiery. Ale do Warszawy jeszcze daleko. Teraz się weź w garść, stara!”. Tak pomyślałam – „stara”. Ale w owych czasach byłam już zdecydowanie starą panną i nawet, pomimo mego powodzenia i męskiej adoracji, ogarniał mnie niekiedy lęk, że tak zostanie i że się będę rutką już zawsze. Dzisiaj, kiedy czterdziestoletnie kobiety, traktowane są jak dziewczyny, trudno to pojąć. Wróciłam do przedziału. Kapitan zsunął nogi, gdy siadałam. Niczym poza tym nie potwierdził, że mnie dostrzega. Staralam się na niego nie patrzeć wprost, a jedynie obserwować jego odbicie w oknie. Mimo to zdołałam zauważyć małą szramę na jego lewym policzku i ucałować ją w myślach wiele razy. Wariactwo zupełne. Szrama, ów znak szczególnie, łamała nieco tę jego nieskazitelność. „Ślad po stoczonym pojedynku” – oceniłam. W owych czasach fechtunek był wciąż jeszcze w modzie. Długo nic się nie działo. (Mam na myśli zewnętrzną, bo ja zatracalam się w najdzikszych pragnieniach). Dwie zakonnice, zajmujące miejsca przy oknie, dalej przesuwaly w dłoniach paciorki różańca, trwając z przymkniętymi oczyma. Chudeusz w przeciwległym rogu nie przerywał drzemki. „Mój” kapitan nie przestawał czytać jakichś tam zapisków czy też dokumentów wydobywanych z czeluści przepastnej teczki.

Nie wytrzymałam podciśnienia. Miałam chyba gorączkę. Znowu uciekłam na korytarz. Wtedy nagle pojawił się przy mnie – ON. Pstryknięcie zapalniczki (trzymałam nie zapalonego papierosa), początek rozmowy. Głos miał cudowny – miękki, głęboki. To niezwykle, że wszystko się tak pamięta! Rozmawialiśmy o Polesiu, o Pińsku, o Prypeci... Skąd wziął się ten temat?... Chyba z racji widoków za oknem pędzącego pociągu. Potem przeszliśmy na sprawy bardziej osobiste. Już przedstawiliśmy się sobie. On w chwili przedstawiania stuknął obcasami. Wspomniał, że jedzie do Warszawy w sprawie służbowej. W ogóle wydał mi się jakoś bardzo marsowy, oficerski. Mówił krótkimi zdaniami, ale z sensem, a nawet kilkakrotnie zażartował.

„W gruncie rzeczy jest nieśmiały – pomyślałam. – Pozorną szorstkością stara się bronić.

Sposób bycia ma jednak bardzo dystyngowany. Mamie spodobałby się na pewno. Poza tym – cóż za inteligencja!”.

Byłam oczarowana, uwiedziona, spragniona.

– Niestety. Mało czasu. Służba nie drużba. Inspektorat. Natychmiastowy powrót – mówił błyskając białymi zębami i wpatrując się we mnie. Drżałam pod jego spojrzeniem. Przy całej tej swojej męskości, rzęsy miał długie, prawie dziewczęce.

Rozmawialiśmy aż do samej Warszawy, a rozstając się, wymieniliśmy adresy i telefony. Miał trzydzieści cztery lata, był wolny, za kobietami się nie uganiał. Tak to ujął właśnie: „za kobietami się nie uganiam”. „Łotrze, bo pewno one uganiają się za tobą” – pomyślałam, gdy to powiedział i poczułam wściekłą zazdrość. Spieszył się. Ustaliliśmy, że w czasie następnej bytności w Warszawie (do tego inspektoratu przyjeżdżał ponoć dosyć często) na pewno do mnie zadzwoni i wtedy się spotkamy.

– Żegnam uroczą panią. – Zasalutował, stuknął obcasami i odszedł z tą swoją wielką teczką, wyprostowany jak struna. Po chwili obejrzał się, uśmiechnął i znowu zasalutował.

Stałam, pamiętam, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Byłam zakochana. Już stęskniona, a nade wszystko spragniona jego bliskości w tym stopniu, że lęk mój się pogłębił.

– Weź mnie! – szepnęłam, zamykając oczy niepomna, że trzymam swój neseser i że stoję wśród mrowia ludzi na warszawskim dworcu. I oto nastąpił osobliwy, a nawet chyba można by zaryzykować – najdziwniejszy okres mego życia – czas oczekiwania. Napięcia, sny niespokojne, pełne szalonych pragnień. Kapitan R. zadzwonił po miesiącu. Mówił najczulej i jakoś bardziej miękko, że tęskni, że nie może zapomnieć. Nie miał jednak, niestety, czasu, gdyż wprost z inspektoratu musiał wracać do jednostki, do bazy. Po dwóch miesiącach powtórzyło się dokładnie to samo. Po trzech był w Warszawie znowu, lecz także nie miał dla mnie czasu. Poprosiłam go wtedy o przysłanie mi fotografii. Zaczynałam z wolna zapominać jego twarz i to wydało mi się wręcz potworne. Zdjęcie z uroczym listem, pełnym wyznań nadeszło niebawem. Całowałam i list, i fotografię. (To były jednak egzaltowane czasy). Moja prawnuczka chichocze, gdy to opowiadam. Mówię jej: „Czekaj, kiedyś ty się też tak zakochasz”. Sama nie wiem, czy dobrze, że tak otwarcie z nią o tych sprawach rozmawiam. Ale z drugiej strony, jakie to filmy erotyczne pokazują obecnie w telewizji. Przecież opowiadam jedynie o swoich nie spełnionych pożądaniach. Tak było. I albo o tym mówić szczerze, albo wcale.

Wreszcie, po pół roku chyba, mój ukochany, wymarzony lotnik dzwoni aż z Wilna i powiada, że tego i tego dnia przyjeżdża znowu do inspektoratu wprawdzie, lecz że będzie miał czas przed południem. Ustalamy godzinę jego wizyty u mnie. (Jakoś nie przejawiał chęci

spotkania się w „Ziemiańskiej”. Co tu kryć – chciałam się chłopakiem popisać). Mieszkanko miałam małe. Pracowałam wtedy jako maszynistka w biurze architektonicznym. Nie przelewało mi się. Trudno mi będzie opisać, jak przeżyłam czas dzielący mnie od wizyty „mego” kapitana. Nie spałam w ogóle. Przygotowałam wspaniałe, wystawne śniadanie, kawior, sałatki, wędliny, trunki od Baczewskiego, tort czekoladowy. Prawnuczka śmieje się – „poszła babcia na całość”. A poszłam, poszłam. Pół pensji wydałam na peniuar – prowokujący i skromny jednocześnie. Wyglądałam w nim chyba całkiem, całkiem. W dodatku skropiłam się perfumami „Mitsuko”.

Punktualnie o ustalonej godzinie – dzwonek do drzwi. Osłabła z wrażenia (zażyłam oczywiście krople walerianowe na uspokojenie – nie pomogły), otwieram – a tam – ON z ogromnym bukietem czerwonych róż. Uśmiechnięty, salutując stuka obcasami, wchodzi, siada, coś mówi. Ja prawie nieprzytomna z napięcia dopiero po chwili – jak to nazywa moja prawnuczka – „zaskakuję”. Jemy, wypijamy kieliszek jeden, drugi. Rozmowa robi się swobodniejsza. On opowiada dowcipy: „... Prezydent Mościcki wchodzi niespodziewanie do sypialni i wtedy raptem słyszy: Beck spod Koca” – próbuję pojąć jego słowa, udaję szalone rozbawienie. Wreszcie wchodzę w rolę gospodyni – zachęcam do jedzenia, sama opowiadam zasłyszany dowcip o jakimś malarzu pokojowym – Hitlerze, który właśnie w Niemczech został kanclerzem.

– Kawę podam w pokoju – oznajmiam. – Może zechce łaskawie pan kapitan tam przejść. Zaraz przyniosę.

– Jest pani jeszcze bardziej urocza niż wtedy, w pociągu – uśmiecha się. Błyśnięcie jego białych zębów mnie poraża. Obezwładniają mnie zresztą nawet jego palce – wysmukłe, białe. Wszystko, co się na niego składa. To jakiś smok.

Mój gość wychodzi posłusznie, znika. Konstatuję, że dobrze mi robi ta krótka chwila samotności. Przygotowuję kawę. Po chwili wahania stawiam na tacy butelkę koniaku i kieliszki.

– To przerażone dziewczę na portrecie, to ja! – wołam, kładąc na talerzykach kawałki tortu. – Byłam okropnie brzydka, prawda? Miałam wtedy dwanaście lat!

Troszkę mnie wówczas zdziwiło, że nie odpowiedział. Właściwie, to zaczęłam jakby czegoś się podświadomie lękać. Mógł wtedy przecież odkrzyknąć, że to nieprawda, bo byłam piękna i że teraz jestem piękniejsza, czy inny komplement w tym rodzaju. Banał, ale coś takiego w zdenerwowaniu prowokowałam.

Niosąc wyładowaną tacę, przystanąłam w przedpokoju. Chciałam rzucić okiem na swe odbicie w lustrze, nic ponadto. Wtedy dostrzegłam w tymże lustrze coś, co przejęło mnie

ogromnym zdumieniem. Widziałam jedynie najbliższy fragment pokoju, ale to wystarczyło. Opodal krzesła stała równiutko para butów z tkwiącą w każdym z butów skarpetką. Wyżej, na oparciu krzesła znajdowała się mundurowa kurtka, a z niej zwisały, złożone pedantycznie „na kant” spodnie. Zaczepnęłam tchu. Coś niejasno sygnalizowało mi, że oto nadszedł dla mnie czas wielkiej próby. Weszłam z tacą i oniemiałam. Na moim tapczanie leżał w pozie odaliski wsparty na poduszkach, nagusieńki kapitan R. Jego zdumiewająco drobny „symbol męskości” sterczał, jak gdyby witał mnie wyprężony na baczność.

Trudno mi będzie opisać wstrząs i pomieszanie uczuć, jakie mną owładnęły. Rozczarowanie, wściekłość i rozbawienie były chyba najbardziej dominujące. „Potraktował mnie jak jedną ze śniadaniowych potraw – przebiegło mi przez głowę. – Narcyzie jeden, jeszcze nie wiesz, na kogoś trafił!”.

Niedawne napięcie i uniesienie zniknęły jak ręką odjął. Przeniknęła mnie natomiast pewność, że będę wiedziała, jak teraz postąpić.

Postawiłam tacę tuż obok leżącego nagusa i przysiadłam na brzegu tapczana.

– Taki mały i jak to się popisuje – rzuciłam uśmiechnięta, klepnąwszy lekko dłonią członeczek. Staralam się, aby wypadło to jak najbardziej żartobliwie i zdawkowo. Chyba mi się udało. Nawet własne zde gustowanie (tej głębszej natury) chyba nieźle pokryłam uśmiechem. Ptaszek położył się natychmiast. Natomiast kapitan R. powstał. Jego oczy, jak to się mówi, wyrażały „nagle rozbudzoną niechęć”, a może nawet „miotły błyskawice”. Byłam w tym momencie zbyt wzburzona, aby to zapamiętać.

– Wspomniałem, że już w południe mam stawić się w inspektoracie. – To było niemal warknięcie. Ubrał się na szczęście błyskawicznie. Zasalutował, stuknął obcasami i zniknął.

Zostałam z jego kwiatami, nietkniętym tortem czekoladowym, kawą, koniakiem i... własnymi myślami.

(Nazwisko i adres autorki znane redakcji)

## Moja Iwetta mówi o Mozarcie

Zofii i Kazimierzowi Zawadzki

Niepojęte. Dopadło ją to wreszcie w czasie maksymalnego (nazwała go w myślach „luksusowym”) oderwania się od Polski, od wspomniania czegokolwiek.

Ze swego uczestnictwa w dwutygodniowym seminarium poświęconego amerykańskiej literaturze, postanowiła wynieść jak najwięcej. „Koniec z nic nie dającymi gonitwami myśli! Teraz zawodowa koncentracja! Albo wreszcie staniesz się tłumaczką z prawdziwego zdarzenia, albo dalej będziesz przekładała dla forsy trzeciorzędne kryminały”.

W ciągu dwóch dni udało jej się w dużym stopniu opanować własne oszołomienie, co było sukcesem. Ciekawe wykłady, wytworność bytowania w salzburskim zamku Leopoldskron położonym u stóp Alp nad romantycznym jeziorem. Pospieszne, rekonesansowe zwiedzanie prześlicznego miasta zmoгло nawet straszliwie młodych uczestników i uczestniczki amerykańskiego Salzburg Seminar, przybyłych z całej – głównie tej dostatniej – Europy. Swobodny styl bycia, elegancja, powściągliwy sposób objawiania uczuć i ona – Anna Stępień, rocznik 1927, a więc zdecydowany relikwyt przeszłości w tym młodzieżowym towarzystwie. „Wapniaczka” jakimś cudem przez odpowiednie ministerstwo i komisję w Warszawie uznana, widać, za niezramolałą do cna i dającą jakąś tam gwarancję wykorzystania w przyszłości nabytej w Salzburgu wiedzy.

Z Gudrun Schenk – innsbruckczanką – zaznajomiła się zaraz PO przyjeździe i wydało się Annie wtedy, że już tę dziewczynę gdzieś widziała. Dopiero jednak w czasie wykładu profesora Bercovich *Nowe odczytywanie Emersona*, gdy towarzyska siedzącej opodal Gudrun rozjaśniona i jakby podświetlona od wewnątrz, zwróciła się nagle ku uśmiechniętemu filologowi z Edynburga, Anna poczuła, że krew uderza jej do głowy. „Jezus, Maria! Przecież to moja Iwetta! Jak mogłam nie rozpoznać jej od razu?”. Łomot serca. Dławiący skurcz gdzieś w gardle. Spróbowała się opanować. Jaka „twoja”, wariatko? Po prostu po raz pierwszy widzisz sobowtóra dziewczyny, która przed dziesiątkami lat stanowiła dla ciebie...

– Kochałam ją. Zaważyła na całym moim życiu.



– Negatywnie.

– Niech będzie. Wtedy, czekając na śmierć w celi na Rakowieckiej, my dwie stałyśmy się dla siebie wszystkim.

– Ty jako alter ego tego Ukraińca.

– Zamknij się!

O Boże, nie wytrzymam teraz na tej sali! Co mnie obchodzi jakiś tam Emerson?

„Nie należy zezwalać starym babom na uczestniczenie w choćby najlepszych seminariach, sympozjach naukowych, czy innych bajerach! Bo i tak się już, przywalone wspomnieniami ramole, niczego nie nauczą” – zapisała w notesie, siedząc tego wieczora sama w pokoju. Nie poszła z innymi na mozartowski koncert.

Najpierw przyjrzała się uważnie odbiciu swej twarzy w łazienkowym lustrze, a potem chodzić zaczęła w kółko po pałacowym pokoju. Krążąc po nim coraz szybciej i szybciej, omijała tapczan, biurko i oba stylowe fotele.

– Idiotko, próbowałaś już przecież nieraz spisać różne sprawy, jak ta, zapamiętane z przeszłości, lecz własnych przeżyć nawet najistotniejszych nigdy nie potrafiłaś przenieść na papier. To zawodowe odchylenie od normy. Stale usiłując jak najwierniej oddać styl przekładanych myśli ludzkich, zatraciłaś zdolność wypowiedzenia własnych – bezwiednie pochyliła się nad kartką papieru i zaczęła pisać:

To chyba było tak, że później już jakoś szło. Ten niby-proces i wyrok skazujący na śmierć stanowiły wstrząs. Ale nie wspominała, w ciągu siedmiu lat oczekiwania własnego zejścia ze świata, chudej sędziny z wylupiastymi oczyma odczytującej z namaszczeniem słowa uzasadniające „w majestacie Polski Ludowej i sprawiedliwości dziejowej” konieczność dania w czapę oskarżonej o próbę obalenia ustroju Annie Stępień, lat dziewiętnaście, córce Jana i Katarzyny.

Nosiła w sobie dwa obrazy i zawsze któryś z nich, do jakiegoś czasu, dręczył ją przed zaśnięciem: scena własnej egzekucji – ksiądz, kat, uśmiechnięta porucznik „Lala”, jakże rozradowana, że Annę ma wreszcie z głowy, kapitan Jean Vascalech – komunista z Francji, reemigrował do Polski z oddziałami polskiego ruchu oporu – wyprostowany jak struna i niby zasmucony, że oto rozwalają dziewczynę, „która mogłaby tyle w życiu osiągnąć, gdyby tylko zgodziła się na współpracę”.

– Da się zrobić tak, żeś niby uciekła. Nie podpadniesz swoim, gwarantuję.

– Ja kapusiem nie będę!

Wreszcie ta chwila. Ksiądz krzyż unosi. Ostatnie słowa. Jakie? Czy zdoła wziąć się w garść i nie zbłąźnić? „Niech żyje Polska?”. Banał. Jak skończy to, co tak bardzo własne,

niepowtarzalne? Dzieje się wreszcie. Śmierć. Może przedtem chwila, ułamek sekundy straszliwego bólu? Może jakaś myśl jeszcze, ta najostatniejsza?... Dusza unosi się w przestworza. Bo pogrzebu nie będzie. Zakopią jak bezpańskiego psa.

– Gadaj byle co! Nawijaj choćby pierdoły najgorsze! Byłeś stale w sufit gałów nie wybałuszała! Inaczej świra dostaniesz! – piekli się Kaśka („Łopucha”) leżąca na sienniku w rogu celi. – Zrób sobie dobrze, jak ci już odbija z tęsknoty za miłością. Albo daj, ja ci zrobię. Rozchyl nogi!

– Odpieprz się! – nagły zwrot i już Anna leży zwrócona do intruzki plecami. Takie gadki pomagały jednak i niekiedy dzięki nim ponure myśli przetwarzały się w erotyczne marzenia, a czas upływał niby to spokojniej.

W ciemnej celi X pawilonu na Rakowieckiej siedziało wtedy ich dziesięć, w tym osiem skazanych na śmierć. Anna wymierzyła kiedyś szerokość tego wnętrza: jeśli wyprostowała jedną rękę, a drugą zgięła w łokciu, to dotykała ścian leżących naprzeciwko. Kibel znajdował się na szczęście na korytarzu i to był komfort, gdyż kiedy siedziała na dwunastce, w tzw. nowym pawilonie, wstawiano do celi po prostu wiadro.

Osobliwymi torami wędrują ludzkie myśli. Nim zdarzyło się to najważniejsze, niemało się przecież i tak działo: walka podjazdowa z naczelstwem o nierozkradanie paczek czy o równość ścianek „kostki” spiętrzanej co rano z sienników. Sprawdzała słomianą budowlę swoją pałeczką ta menda podporucznik Lilka Woleś (sto kilo żywej wagi. Jak trzepnęła którąś od niechcenia bochnowatą grabą, to nie było co zbierać). A ileż opowieści przedziwnych serwowały sobie wzajem skazane! Tabu nie istniało. Opisy najwymyślniejszych ekscesów erotycznych sąsiadowały ze wspomnieniami z dzieciństwa. Te zaś mieszały się z opisami szkolnych zabaw, wycieczek, okupacyjnych przeżyć, z dyskusjami na tematy najdziwniejsze, od światoburczych, nihilistycznych po wzniosłe, dotyczące miłości lub też sensu – bezsensu istnienia.

Drugim dręczącym więźniarkę Stępniowną obrazem (kiedy to przypomnienie nachodziło ją wieczorem – sen miała z głowy), a więc owym drugim po scenie przyszłej egzekucji koszmarem stało się nawet nie wspomnianie, kiedy po rewizji dokonanej przez ubowców w domu rodzinnym, Anna widziała, jak znęcają się nad jej ojcem.

Wspomnienie najstraszliwsze łączyło się z Koszykową. Pierwsze uderzenie. Potem ciosy następne. Niespodziewane wstrząsy, błysnięcia gdzieś pod czerepem. Dzwony huczące w uszach. Słony smak krwi. Przeogromne zdziwienie, że właśnie ten elegancki, przystojny mężczyzna... Że w ogóle może się dziać niedługo po wojnie coś takiego.

W więzieniu przy Rakowieckiej jakoś człowiek już okrzepł, wszedł w to istnienie-

nieistnienie. Tam już przestawał się dziwić, iż wszelkie zasady przestrzegane na wolności, za murami nie tylko nie obowiązują, ale są z lubością łamane.

Na Koszykowej była jeszcze zielona. Nowe razy przyjmowała na wpeł przytomna. Chyba zresztą nieskazitelnie angielski przystojniak w tweedowej marynarce i krawacie w szkocką kratę na tle śnieżnobiałej koszuli znudził się biciem lub też inne miał – jeśli o Annę chodziło – instrukcje. Znow się uśmiechnął, a był to uśmiech szczerzy i sympatyczny. Coś mówił. Widziała ruch jego warg, lecz nie rozumiała ani słowa, dopiero wysunięta ku niej otwarta papierośnica... Odmówiła ruchem głowy.

– Hardzi jesteście, co? – Słowa nagle popłynęły, jakby ktoś odkorkował butelkę, w której dotąd siedziały. Ubek wyszedł i już za chwilę pojawił się znowu.

– Ja ci powiem, nawet wolę takie dziewczyny, jak to się mówi, z charakterem – wysunął ku siedzącej zwitek papieru toaletowego.

„Acha, tu obok musi być toaleta – woda”. Wzięła papier i przesunęła po wargach i podbródku.

– Nosek – obserwujący ją uważnie trzydziestolatek uśmiechnął się znowu. Nie zrozumiała.

– Z noska cieknie – wskazał palcem wciąż uśmiechnięty.

– Chciałabym do toalety – szepnęła. „Wargi mam kompletnie zdrtwiałe” – uprzytomniła sobie, konstatuując jednocześnie, że papier, którym dotknęła nosa, zabarwił się na czerwono.

– Do toalety, czy do łazienki? – zapalał papierosa. Wąskie, rasowe dłonie, długie palce. Na jednym z palców monstrualnie gruba obrączka. „Tą ręką mnie bił. Dlatego tak bolało – myśl, nie myśl, konstatacja raczej. – Ma żonę. Może ją kocha, a ona jego. Przedziwne”.

– Do łazienki.

– Łazienka będzie do dyspozycji szanownej pani. Nawet plecki umyję. Tylko... trzeba na nią... zasłużyć – znow ten uśmiech, lecz jakby nieco mniej radosny teraz. Oczy też patrzy inaczej.

– No, jak, dogadaliśmy się? Ilu jeszcze akowców miało z tobą uciekać tym samolotem? Nazwiska! Adresy niepotrzebne!

Teraz zagrać zdumienie. Na miłość Boską jak najlepiej zagrać!:

– To jakieś nieporozumienie, przysięgam! O jakim samolocie pan mówi? – Trzeba zrobić wszystko, aby zabrzmiało to przekonująco. Wargi mam zdrtwiałe. Słowa wypowiadam bełkotliwie jak pijana.

– Lotnisko wojskowe w Bydgoszczy, następny przystanek Sztokholm, co? – ubowiec zdusza w popielniczce wypalonego do połowy papierosa. – Wymyślone nawet dobrze, przyznaję... bez bicia. A propos, słowo daję, że nie lubię brutalności, przemocy. Skarcenie tak

uroczej dziewczyny, to ostateczność, ojcowskie przywołanie do porządku. Powiesz, co trzeba, malutka, pogodzimy się, a może nawet zostaniemy przyjaciółmi. Masz dziewiętnaście lat, wojnę już z głowy. Początek życia i to w kraju dającym tyle możliwości. Majątek mieliście przed wojną, tak?

– Pan przecież wszystko wie – chyba udała się jej próba uśmiechu.

– Odpowiadać! – elegant znowu warczy, przechadza się zacząjony.

– Mieliśmy. To znaczy rodzice... mieli... – Chlipnięcie dziecinne. Tak, dobrze. Teraz szloch. Trzeba iść na całość.

Kolejne uderzenie było najmocniejsze i jeszcze bardziej niespodziewane. Zemdlała chyba, bo zupełnie nie była świadoma, co się dalej działo. Ważne, że nikogo nie sypnęła. Potem już tylko przyspieszony proces – udowodnienie winy, że z premedytacją działała zbrodniczo jako wróg klasowy na szkodę ojczyzny ludowej i finał – czapa, w perspektywie „park sztywnych”. Normalka. Włodka i Elę przecież rozwalili. Dlaczegoż by ona – Anna – miała być lepsza?

I tak to szło. Wielkie oczekiwanie. Najpierw każde skrzyknięcie drzwi, kroki na korytarzu, szcęk klucza w zamku wywoływały skurcz serca. Potem dziewczyny zaczęły dowcipkować na siłę dla zdławienia tego cholernego lęku. Piękna Iwetta śmieje się: „Co to jest pierożek drewniany mięsem nadziewany? Nie wiecie? A to trumna!”. Wiele takich śmiechów wymuszonych. Zwierzeń niespodziewanych, deklamacji nagłych albo wyśpiwywania, nucenia raczej najdziwniej ze sobą powiązanych melodii *Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej sąsiadować* mogło na przykład z *Pamiętam twoje oczy czarne, z rozkoszy nieprzytomne*.

Dopiero później (to już był chyba trzeci rok odsiadki. Niewiarygodne, jak ten czas przeleciał...) zaczęło się najważniejsze. Iwetta, właśnie ona odpowiedziała na to natarczywe stukanie w ścianę. Przecież pukali często inni, a one odpowiadały. Czy Wasyl zrobił to inaczej? Czarna magia. Ale nasza piękność musiała coś wyczuć w tym stukocie płynącym z sąsiedniej, męskiej celi, bo odpowiedziała od razu, bez zachęty. I tak się zaczęła ta miłość nasza, zwariowana. Palec Boży. Mogła równie dobrze odstukać temu Ukraińcowi każda z nas. Na Celinie właśnie wykonano wyrok. Została nas w celi dziewiątka dziewczyn. W tym siedem czekających na czapę. A wypukała sobie tego Wasię właśnie ona – Iwetta.

– A nie! Bom ja tebe wystukał! Ja naczał – przekomarzał się z nią później, a ona, Iwetta, wyobrażała sobie, że chłopak za ścianą śmieje się właśnie. Wszystko mi opowiadała: ma czarne oczy, zęby białe jak śnieg, pąsowe wargi... – Stereotyp Ukraińca, ale nie było rady. Takim go widziała w marzeniach, a ja z nią.

– A jak ty wyglądasz? – zapytał któregoś dnia. (Pies go trącał! Sama nie wiem dlaczego,

zaczynałam być o Iwettę wściekle zazdrosna).

– Jestem strasznie brzydka, paskudna – odstukiwała łyżką. – Zęby wybite przy przesłuchaniu. Włosy mi wychodzą...

– Jak masz rodzinę i dostajesz paczki, to proś, żeby ci przysyłali czosnek albo cebulę. Poprosisz?

– A skąd ty jesteś?

– Poprosisz o czosnek albo o cebulę?

– Nie chcę cebuli ani czosnku, bo nie będę mogła się z tobą... całować – i skąd takie słowa u naszej świętoszki? Skąd ta śmiałość na wyrost? Po tym jej oświadczeniu długo trwała cisza. Czekałyśmy w napięciu. Nawet „Łopucha” z przyklejonym do warg uśmiechem. Wasyl odstukał wreszcie.

– Jesteś cudowna. Kocham cię. O tobie tylko marzę, ciebie chcę widzieć! – walił teraz w ścianę wyjątkowo szybko i z błędami większymi niż zazwyczaj, ale zrozumiała. Spoglądam po twarzach. Na wszystkich niby uśmiechy, bo tak naprawdę, to zazdrość straszna nas pali.

– Nie możesz mnie kochać nie wiedząc, jak wyglądam i jaka jestem – Iwecie i takiego wyznania mało. Mizdrzy się paskudnie. Niech ją diabli wezmą!

– Znam ja tebe. Dobrze znam, choć nie widzę – odczytuje kolejne stuknięcia Ukraińca, rozjaśniona jakaś i promienna. Chęłpi się tym chłopem przez nią samą otumanionym. A tamtemu odbija. Oświadcza, że przez całe życie na Iwettę czekał.

Po miesiącu czy dwóch tego „romansu”, zaczęłyśmy żartować z pary „kochanków”. Niby to pojąć nie mogąc, jak można się tak kochać „na pukanego”. Przynajmniej takeśmy tej stukającej bez końca w ścianę kładły w głowę. Własne, krytyczne oceny objawiałyśmy jej do jakiegoś czasu uporczywie i ostro, jakby nam ktoś za to płacił. Zaiste, babska zawiść o chłopa, to najpodlejsze z uczuć.

– Może wcale nie mieć dwudziestu czterech lat i wcale nie być Kozakiem znad Dniepru – zaperzała się Staśka (wyrok śmierci za szpiegostwo).

– A jeśli to stary pierdoła, który robi z ciebie balona?

– Ja bym tak nie potrafiła – wtrącała chuda Mirka, która trzeci rok siedziała bez wyroku. – Zawsze nim się zakocham, to najpierw muszę faceta dobrze obejrzeć, a nawet... – tu zbliżywszy wyprostowany kciuk do zwiniętej w trąbkę dłoni, wykonywała sprośny gest.

W takich chwilach po bladej twarzyczce Iwetty przebiegało coś podobnego do cienia. Tak niekiedy nagły mrok kładzie się na ziemi pod wędrującym niebem obłokiem. Nie rozumiała, biedna, że wszystkie znieść nie mogłyśmy jej nagłych uśmiechów, rumieńców, szeptów do siebie samej, a przecież – wiedziałyśmy – wywoływanych przez kolejne, coraz bardziej

namiętne wyznania tego ukraińskiego mołojca. W dodatku, co tu kryć – miłość, nawet tak nienormalna, jakiej byliśmy świadkami – zawsze, widać, dobrze robi kobiecie. Iwetta piękniała, a nawet chwilami, kiedy tak tkwiła nasłuchując przy odrapanej ścianie, robiła się po prostu śliczna.

Jej opętanie i nam się z wolna zaczęło udzielać. Trudno to opisać. Bo cały nasz świat – ta przeklęta cęła pełna bab – zdawał się wisieć na cieniutkiej nitce, a może lepiej to określić – na stryczku. Grypsy przechwytywano. Żadnych wieści z zewnątrz. Niekiedy tylko podrzucano nam gazetę. A w niej same duperele lub propaganda taka, że aż niedobrze się robiło. Marazm, dno, beznadzieja. Myślałam o samobójstwie, a tu uprzedziła mnie Wanda Siemińska i to ona właśnie, a nie ja, podcięła sobie żyły. Odratowali ją, oczywiście. Śmierć tylko oni mogą nam zaserwować. Właśnie w tym mniej więcej okresie Iwetta (chyba ją sumienie ruszyło) zaczęła nas zachęcać do ściennych kontaktów z partnerami Wasyla. Tuż obok, za ścianą mieliśmy przecież czterech chłopaków tkwiących w celi, jak nam wystukali, o wiele mniejszej od naszej. Też kandydatów na tamten świat. Jeden akowiec od Boruty. Jeden z NSZ-u, ujęty z bronią w rękę, w dodatku – jak mu udowodniono – w chwili napadu na posterunek milicji. Jeden nie stukający w ogóle, podobno Niemiec, esesman. I wreszcie ten, dla Iwetty najważniejszy, Wasia – upowiec, cudem jeszcze do tej pory nie rozwalony, bo podobno wyjątkowo wredny – tak o nim wystukali pozostali. Ledwo to do nas dotarło, mówi do Iwetty „Łopucha”, że ten Wasia, to ukraiński bandzior, który naszych rozwał.

– Wierzył, że walczy o wolność ojczyzny – ta jej na to. – Ukraina dla niego, to jak dla nas Polska. Mówi, że myśmy też nienawidzili Ukraińców. I że gdyby tylko mógł, to całe życie poświęciłby na działanie dla zbratania naszych narodów.

– I kto mu ma niby dać to życie? – włącza się Krystyna też rozeźlona strasznie.

– Jak która Iwecie w stukaniu przeszkodzi, to ode mnie oberwie! – oznajmia niespodziewanie swym ochryłym głosem Marta, nasza seniorka. (Wyrok śmierci podłapała za udowodnione szpiegowanie dla wrednych kapitalistów. Z korespondentem amerykańskim Larry Vashonem ponoć się zadawała łóżkowo. – Co on w niej widział? – Innym przekazywała regularnie meldunki).

Nieglupia ta nasza „Marta Hari”, bo już wkrótce się okazało, że ścienny romans Iwetty z Wasylem stał się, nie wiedzieć kiedy, czymś niezmiernie ważnym dla nas wszystkich. Był jak czytana w odcinkach książka. Stał się spełnieniem tęsknot najskrytszych. Mnie przetworzył na zawsze. Nigdy już z mężczyzną nie potrafiłam zaznać szczęścia. Póki żyję nie zapomnę dnia, kiedy dzięki nim obojgu, wszystko zaczęło się we mnie przetwarzać.

– Mów, co ci jeszcze powiedział! – denerwuje się Mirka, stojąc nad siennikiem Iwetty.

Nasza piękność leży tuż przy ścianie, zwrócona do nas plecami. Nie odpowiada. Ja cierpię. Zazdrość gorzej od tysiąca wszy mnie gryzie. Nie pojmowałam jeszcze wtedy, dlaczego.

– Powiesz, czy nie?

– Nie powiem – Iwetta odwraca się do nas na moment i zaraz wykręca do poprzedniej pozycji.

– Wczoraj mówiłaś, że opowiadał, jak wyobraża sobie twoją twarz – włączam się w rozmowę, wypowiadając słowa łagodnie i niezbyt głośno. To skutkuje. (Od tej pory stałam się powiernicą zakochanej. Boże, jaka jestem podła. Wykorzystywałam to przemyślnie).

– Tęskni za mną, marzy – rzuca zdławionym głosem Iwetta. – Powiedział, że inaczej pokierowałby swoim życiem, gdyby... – konstatujemy, że dziewczyna płacze. Przytykam palce do ust i dają jej wreszcie spokój. Nasze sienniki stykają się. Przesuwam się i obejmuję płaczącą.

– Powiedział, że mnie... pragnie. A ja jemu, że marzę, aby mnie... kochał – rzuca Iwetta szeptem, sprawdzwszy przedtem szybkim zerknięciem za siebie, czy inne prócz mnie tego nie dosłyszą. Trwa przytulona do mnie. Gaszą nam światło. Ciemność.

– Ja, Wasia, kocham cię i pragnę jak powietrza! – rzucam naraz namiętym szeptem prosto w ucho dziewczyny. I skąd do mnie ta mistyfikacja? Stwierdzam jednocześnie ze zdumieniem, że leżąca zaczyna drzeć w moich ramionach i że mnie także to rozedrganie zaczyna się udzielać. Wciąż szepcząc miłosne wyznania, doznaję wstrząsającego, trudnego do opisanie uczucia stawania się kimś innym, a jednocześnie konstatuję zdumiona, że Iwetta zdaje się pojmować od razu to, co we mnie samej wciąż jeszcze tak bardzo niejasne, nie uprzytomnione, obce nawet. Jej ramiona obejmują mnie, przyciągają.

– Marzę o tobie, Polaczko – ciągnę dalej najciszej jak potrafię, by żadna nie dosłyszała. Na szczęście „Łopucha” zaczyna chrapać po swojemu. Ciemności egipskie. W dodatku nikogo już nie słyhać, prócz naszego śpiocha. Jesteśmy obie swobodniejsze.

– Wasia, a gdzie mnie zobaczyłeś po raz pierwszy? – szepce Iwetta sennie, nie walcząc już z moją ręką. Nie mam pojęcia, dlaczego jestem tak podniecona i czemu pieszczenie jej sprawia mi taką rozkosz.

– Chutor w samym środku stepu, rozumiesz? Dzikie pola. Step dookoła, a tu woń traw oszałamiająca. Niosłaś ogromny bukiet polnych kwiatów, ja galopowałam na swym koniu...

– I coś... zrobił? – Ciało Iwetty napręża się jakby z bólu. We mnie łomocze serce.

– Porwałam cię, aby potem z tobą...

Wargi dziewczyny wpijają się naraz w moje usta.

Organizatorzy zwrócili się do Gudrun, znającej dobrze stare miasto, o oprowadzenie po nim gromady uczestników Salzburg Seminar. Anna wlokła się jak inni noga za nogą, podziwiając ozdabiającą wąskie uliczki „biżuterię” – wykute w metalu, ażurowe szyldy rzemieślniczych cechów.

– ... Najbardziej imponująca, to wczesnobarokowa katedra z siedemset siedemdziesiątego czwartego roku oraz pałac Mirabell wzniesiony w roku tysiąc sześćset szóstym przez księcia arcybiskupa Wolfa Dietricha von Raitenau dla swojej nadwornej metresy Salome Alt – piękna austriacka dziewczyna odpowiadała z przejęciem na czyjeś kolejne pytanie. – Uwaga, skręcamy teraz z Hagenauer Platz w Getrite Gasse!

– Pragnę metresy! – wykrzyknął filolog z Edynburga, wznosząc oczy w górę z komicznym wyrazem twarzy. Była to błazenada zainscenizowana wyraźnie pod adresem Austriaczki.

– Tylko ślubny kobierzec! – odkrzyknęła mu natychmiast, śmiejąc się. – *May I have your attention, please! Just behave yourself!* Tutaj właśnie, w tym domu numer dziewięć, należącym do kupieckiego rodu Hagenauerów – przeszła znowu w wykładowy ton – ... Dnia dwudziestego siódmego stycznia tysiąc siedemset pięćdziesiątego dziewiątego roku urodził się wielki Wolfgang Amadeusz!

– Czy to prawda, że w jego pogrzebie uczestniczyło tylko dwóch grabarzy, a poza nimi nie było nikogo? – rzucił chudy, ostrzyżony na jeża rudzielec. Chyba ma na imię Björn i przyjechał z Boros w Szwecji, pomyślała o nim przelotnie Anna. Wszyscy ci wychowani przez kapitalizm trzydziestolatkowie posiadają jednak pewną cechę wspólną różniącą ich od nas. Tylko jaką? – zastanawiała się, zostawszy nieco w tyle. – Chyba brak im tego charakterystycznego dla Polaków rozproszenia myśli. O, proszę w jakim skupieniu i z jaką koncentracją potrafią wsłuchiwać się w wyjaśnienia tej małej. I z jakim przejęciem ona zainscenizowała na poczekaniu swoisty wykład! Wspomina nawet o Leopoldzie Mozarcie, ojcu kompozytora. Pamięta, że ten urodził się w tysiąc siedemset dziewiętnastym, a zmarł w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym. Mówi o prapremierze *Wesela Figara*.

Niesamowite. Moja Iwetta mówi o Mozarcie... A ja nie potrafię nic o niej przekazać. To, cośmy obie przeżywały, trudno przecież wyrazić. Słów takich nie ma. Zwrotów będących w stanie oddać wieloznaczność naszego pożądanego, tej mistyfikacji przedziwnej, tragicznej, nikt nie stworzył. Albo niedouczone, bo wyrazić tego nie potrafię.

Opowiadała istne bajki o tej Wasyla Ukrainie umiłowanej, wytęsknionej, wykorzystując wszystko, co siedzący za ścianą chłopak wystukiwał Iwetcie. Kreowała jego istnienie, marzenia chłopięce, przyjaciół nie istniejących nigdy w rzeczywistości.



– Opowiedz mi jeszcze o twoim Koli – prosi na przykład któreś nocy Iwetta.

– Z Kola włączymy się po Kreszczatiku. Znamy się obaj od dziecka. On podgrywa na gitarze. Śpiewamy. Dobrze się obaj czujemy w pięknym Kijowie. Dziewczyny... Niektóre nas lubią, czarnobrewy...

– Bo jesteś wspaniałą i one się wszystkie w tobie kochają – przeciąga się Iwetta i już za chwilę przytula do Anny. – Ale ty jesteś mój Wasieńka i tylko mój. Poza mną świata nie widzisz, prawda?

– Kocham cię ogromnie. Uwielbiam!

Mówi się o wielkim uczuciu, o pożądaniu szalonym, że zdolne są przesłonić cały świat. Naszą trójkę (Wasia był przecież ogromnie ważny) miłość przeniosła w inny wymiar. Lęk oczekiwania na to, co miało nastąpić, przestał być dojmujący. Tylko że tym straszliwszy, niewyraźalnie przerażający stał się dzień, w którym Wasia przestał istnieć. Wyrok wykonano na nim 11 maja 1952 roku. Zabrano go o świtanie i chyba nie przewidywał, że tego dnia wszystko się skończy. Zdażył tylko wystukać pospiesznie, nerwowo: Kochana, ja ciebie zawsze tam gdzie będę...

Iwetta umierała z rozpacz.

Zbyt mocno już jednak Wasia zawładnął Anną i utwierdziła się w niej wyimaginowana osobowość tego człowieka. Świadomie i podświadomie przejęła jego istnienie, wchłonęła niejako cechy charakteru. Udało się jej opanować najpierw własny, babski smutek i skłonność do łez, a następnie wrócić do dawnej roli męskiego kochanka. Chwilami sama nie wiedziała, kim jest w istocie. Istnienie Wasyla również poprzednio, kiedy żył jeszcze, stanowiło w gruncie rzeczy dla nich obu coś abstrakcyjnego. Chyba dlatego także Iwetta względnie łatwo wróciła do poprzedniej, wymyślonej konwencji ich namiętnych zbliżeń. Anna nigdy nie przeczuwała, że może rozwinąć się taka miłość, że poprzez rozpustne zapamiętanie udać się może to przedziwne przejście trwania człowieka, który przestał istnieć.

Iwettę zamordowano w majestacie prawa pół roku później. Annę w stanie nerwowego załamania i początku choroby psychicznej wzięto do szpitala, a następnie (pomogli cywilni lekarze) zwolniono warunkowo. Umarł Stalin. Trochę się zmieniła sytuacja. Do więzienia już nie wróciła.

Teraz, czerwcowego dnia 1985 roku z okna pałacu Leopoldskron dostrzegła wyraźnie Gudrun Schenk opalającą się na brzegu jeziora. „Ten obłądny niepokój poszukiwacza, wiecznie mi towarzyszący! Chyba jednak od lat robię naprawdę wszystko, aby Wasia Ukrainiec nigdy nie przestał istnieć” – pomyślała, decydując się zejść na brzeg jeziora ku pięknej Austriaczce.

## Psychoterapia

**Małgorzacie Malkiewicz**

Początkowo sądziłem, że Alojzego Żelozko dostrzegłem po jakimś tygodniu, a może po dwóch. Leżał na trzecim łóżku od mojego, pod oknem. Dopiero potem siostra Rossita (Boże, jaka śliczna!) powiedziała mi, że bardzo długo byłem nieprzytomny. Jak długo, nie potrafiła określić – molte complicazzione, rannych wielu – mówiła, uroczo przy tym, po swojemu przekrzywiając główkę i jako nadprogramowy dodatek błyskając w uśmiechu śnieżnobiałymi ząbkami. Jej czarne oczyska spoglądały jednocześnie w ten sposób, że aż ciarki człowiekowi chodziły po skórze. Zdrowiałem chyba dzięki tej Włoszce.

Najpierw dostrzegłem brunatny zaciek na suficie, na ścianie kopię portretu Madonny Rafaela, potem Rossitę, a następnie tego naszego, kompanijnego rozweselacza spod Bytomia, Alojzego Żelozko. Długo musiałem się znajdować w takim stanie, że dostrzeżenie czegokolwiek nie oznaczało pełni zrozumienia funkcji zauważonego *przeze* mnie obiektu. Nie skojarzyłem zatem od razu, że jeśli Żelozkę tu położyli – w kompanii nazywano go „gorący” – („Jo jes, brocie, taki goroncy, że dzioucha toby się ale przy mnie sparzyła”), więc, że jeśli znalazł się na tej szpitalnej sali, to i jemu Fryce musieli dołożyć i to nieźle. Świat i przypomnienia zrazu zdawały się powracać niechętnie. Po jakimś czasie dopiero ruszyły, niesione szeroką falą pełną normalnych dźwięków i ciszy, gdyż jęki lżej rannych, nawet te szczególnie przenikliwe, nie zawierały w sobie cienia intensywności szarpiących bębunki wybuchów rozrywających się pocisków mózdzierzy, nie mówiąc już o tych z ciężkich dział czy nebelwerferów. To wyciszenie odgłosów, do jakich się od dawna przywykło, stawało się nawet w przedziwny sposób niepokojące. W dodatku nie najstraszliwsze w moich majakach czy też sennych podsumowaniach – sam nie wiem, jak to określić – było uświadomienie sobie, że już bezpowrotnie i nieodwracalnie w tym obłędzie ataku-wspinaczki na Passo Corno straciłem oko. Bardziej dojmująco i piekielnie boleśnie przyjmowałem – Bóg mi świadkiem, że to prawda – iż Alojzy Żelozko stracił obie nogi. Ten Alojzy-ryzykant, który zdezerterowawszy z Wehrmachtu, by wstąpić do Polskiego Wojska, przejechał z Francji do Hiszpanii przez zieloną granicę uczepony w jedynym miejscu pod wagonem kolejowym, w

którym mogli go nie znaleźć, a mianowicie pod klozetem – wykorzystywanym oczywiście w czasie jazdy przez pasażerów. Ukrył się zatem w iście koszmarnym miejscu, jako że ekskrementy i nieczystości spadały wprost na niego. Innej drogi ucieczki nie miał.

Znana jest żołnierska skłonność do wychwytywania wszelkich rozweselających tematów, nawet tych najbardziej niewybrednych. W dodatku chłopak z podbytomskich Łagiewnik, Alojzy Żelozko posiadał wyjątkowo mocno w nim utwierdzone *vis comica*. Z jego śląskich porzekadeł i anegdot śmiali się wszyscy. Z jego podklozetowej epepei nikt nigdy nie zażartował. Nikt do niej nawet jednym słowem nie nawiązał. Wciąż nie potrafiłem uwierzyć w wiadomość przekazaną mi przez Rossitę, że Alojzemu – piłkarzowi jakiejś tam, kompletnie nieznanej, łagiewnickiej jedenastki – chłopakowi, marzącemu o grze w drużynie Chorzowskiego „Ruchu” po wojnie, mina urwała obie nogi!...

Chyba ta moja poharatana szrapnelem głowa nie funkcjonowała najlepiej. Przecież tylu wspaniałych chłopaków odeszło, a dziwiło mnie przenikliwie i jakoś wstrząsająco, że stale uśmiechnięty, starszy strzelec Alojzy Żelozko będzie mógł – jak dobrze pójdzie – jeździć do końca s□ ka d! ońca ca ca

– No, słucham.

– Panie poruczniku – rzuca zdyszany. – A na tych gwiazdach, to ludzie są?

– Nie wiem – odpowiadam.

– Bo tak sobie myślę, że jak ktosik tam, na gwiazdach żyje, to może widzi, co my tu robimy i mówi, że my są blank warioty. Chcemy się najlepiej, jak poradzimy zabijać, a żyć to nie.

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy lub raczej kiedy usłyszałem? To chyba było w czasie kolejnego biwaku tuż po wylądowaniu na Sycylii. Nasza kompania, otrząskana w bojach pod Al Allamain, była zadowolona z siebie, gdyż desantu dokonano prawie bez strat własnych. Nie wiedzieliśmy wówczas, że udało się nam zaskoczyć Szwabów z racji zasygnalizowania „niby-inwazji” w innej części włoskiego buta, gdzie nieprzyjaciel przerzucił swe główne siły.

Wielkimi transporterami sunęliśmy na północ. W pododdziałach nastroje były zatem coraz lepsze. W czasie krótkich postojów wiara dowcipkowała. Piękne włoskie dziewczyny pozdrawiające nas, pokrytych kurzem, ale zwycięskich, działały w wiadomy sposób na wyobraźnię i skojarzenia. Do jakich wyimaginowanych erotycznych sukcesów przyznawali się chępliwie wszyscy ci chłopcy w khaki mundurach! Do dobrego tonu należały szczegółowe opisy najbardziej nawet spektakularnych zwycięstw osiągniętych w krainie Amora. O ile dobrze zapamiętałem, jedynie Łagiewniczanina stać było na prawdę. Jego prostolinijność budziła powszechną wesołość wśród „uwodzicieli”.

– Więc nie zerznąłeś nigdy dziewczyny, Alojz? – prowokuje któryś, gdyż fama o niewinności Ślązaka rozeszła się już dawno temu, mnie jakimś cudem omijając.

Wszyscy wiedzą dobrze, co teraz nastąpi i czekają z nadzieją. Zagadnięty kręci głową przecząco.

– A co musi być? No, powiedz! – prosi inny. Dookoła uśmiechnięte twarze.

– Trza przajać. Jak beda przajał, to to się stanie – odpowiada Alojzy. Świadom jest swej inności i potęgi swego aktorstwa jednocześnie. Słuchacze mają już prawie to, co chcieli. Jeszcze brak tylko dopełnienia. Po którymś powtórzeniu, połapałem się już w tej grze i wiedziałem, co ma nastąpić. Czulem rozbawienie i wstyd jednocześnie. I zaraz padało następne pytanie, część składowa osobliwego misterium, które stawało się chwilami przedstawieniem teatralnym.

– A jak już będziesz „przajał”, Alojz, to co zrobisz?

– Jak beda przajał... ale tak – fest... – Alojzy-rozweselacz świadom był przecież, że zawsze bawi kolegów samym sobą. Grał teraz jak wielki aktor.

– Jo ci przaja – pedom do śwarnej frejliczki. – Chca być za twojego szatza. A czy ty mi też przajasz? Przaja ci – pedziała zarozki dziółcha. To ja na to, że trza do faroża, ale po gibku.

– A potem? – chichocze któryś z gromady.

– Potem przyzwolenie bada mio! – Alojzy rozrzuca ramiona i z natchnioną miną zamyka je, jakby przytulając ukochaną. – Lompka zgaśnie. Cylinder puk. A ja zarozki do łóżka – fuk!

– Fuk czy fuck? – niektórzy nie dają za wygraną.

– Sameś fuck – odpowiada Ślżak i ta jego odpowiedź też mieści się w konwencji spektaklu.

Gorzej ze mną. Znow wróciła gorączka. Lekarze pieklą się, że niepotrzebnie wstałem. A ja przecież musiałem podejść do Alojzego i pogadać. Teraz moje jedyne oko – lewe – też nawala. Ból w głowie staje się chwilami nie do zniesienia. Pulsuje coś najpierw, dudni, a potem nachodzi to piekielne dżgnięcie pod czerepem tak przenikliwe, że chce się wyć. Ale chyba przestałem krzyczeć. Pocę się tylko z bólu. Nie wiem. Nic teraz nie wiem i niczego nie jestem pewny. Chyba zbyt długo pełzałem w zagłębieniach skał, podsypiałem na skalnych występach, w kamiennych wyrwach i zapadlinach kryłem się przed snajperami. Nie potrafię się już z tego bajzlu wspomnień wyzwolić. Dręczy to, wykańcza, a wyłączyć zapamiętań się nie udaje. Na przykład wybuch wściekłości Alojzego (znowu on) przypomniał mi się nagle tak wyraziście, jakbym film oglądał z samym sobą i z nim – głównym aktorem. Zdarzyło się to w czasie krótkiej przerwy huraganowego ognia dział niemieckich i naszych, po jeszcze jednym dniu przeżytym, przetrwanym w skalnych uskokach i wyrwach – jakże zawodząco potrafią gwizdać lecące pociski siedemdziesiątek i jakim piekielnym głosem odpowiadają im rozrywane na części skały – a więc po tej montecassinowskiej codzienności na moment zapadła cisza wielka – jeden z tych przerywników niespodziewanych, trudnych do uzasadnienia, kiedy nagle słyszy się własny oddech, a po chwili niemrawe głosy leżących tuż obok, pokrytych skalnym pyłem postaci. Dźwięki docierały z początku natrętnie. Wszystkie zdawały się istnieć na fali o tej samej częstotliwości. Dopiero po chwili słuch zaczynał funkcjonować normalniej. Potworny chór eksplozji, detonacji bliższych lub dalszych, zastąpiły bliższe lub odleglejsze jęki rannych, popiskiwania nadajnika, nawoływania sanitariuszy czołgających się po stromiznach. Wtedy właśnie usłyszałem głos Alojzego.

– Gizdy dzioseckie! – darł się wygrażając pięścią w stronę niemieckich bunkrów zda się wtopionych w skały. – Zapierunowane, fanzolone gizdy! – Stał wyprostowany. W jego pięści coś połyskiwało metalicznie.

– Padnij, idioto! – ryknąłem z całych sił. Posłuchał mnie, na szczęście, w porę. Miejsce, gdzie stał przed chwilą, przeorała seria cekaemu.

– Ty kretynie bytomski! Debilu jeden! – Chyba ze zdenerwowania załamywał mi się głos.  
– Śmierci szukasz?! Mało jej dookoła?

– Szwaby mnie w Schafhausena trafili – ten mi na to, pokazując trzymany w dłoni zegarek.  
– W sam cyferblat zech dostał.

– Życie ci uratowała ta cebula, człowieku – mówi któryś z leżących najbliżej, bo mnie mowę odjęło.

– Dla pana porucznika zem go trzymał na prezent – dodaje ten debil w płaczliwej tonacji.  
(Nawet, psiakrew, w takiej sytuacji wyzwolił się w nim aktor).

– San Angelo zdobędziemy, to mu go dam, zech myśło! Panie poruczniku, melduję posłusznie – wypatrzyłem lornetą nowy: jeden lieutenant przed bunkrem na wzgórzu pięćset sześćdziesiąt dziewięć leży ino bez głowy. Pewno ma najmarniej złotą Omegę. Doczołgam się. Niech mnie chłopaki kryją ogniem!

– Spróbuj tylko, pieprzony wariacie! – syczę w odpowiedzi. – To odeślę na tyły!

Czy ktoś będzie kiedy w stanie pojąć, że zdobyczne zegarki posiadały dla nas walor równy chyba symbolicznemu znaczeniu skalpów zdobywanych przez Indian na wrogach? Zaś odesłanie na tyły, czyli wyzwolenie z piekła, stanowiło karę najcięższą?

Brazowy zaciek na suficie zamienił się w wielką mapę nie istniejących kontynentów. W dodatku zarysy lądów falują, przemieszczają się jak żywe. „Los zrobił mi niespodziankę na moje dwudzieste dziewięte urodziny – myślę. – Zostałem Cyklopem”.

– Jak z Alojzym? – pytam Rossitę, gdy przechodzi. Przystaje na moment. A dzieje się to tak, jak gdyby piękny motyl przysiadł, przyhamowawszy na chwilę swój zwiewny lot. Dziewczyna jest poważna.

– Ale nie pójdziesz już do niego? – grozi mi małym paluszkiem. Jej angielszczyzna to coś niesłychanie urokliwego.

– Nie pójdę.

– On jest... – wykonuje ruch ręką. Tylko Włosi potrafią gestem wyrazić miłość, gniew a nawet zapowiedzieć śmierć. Ona ją chyba właśnie zaanonsowała. Piękna dziewczęca twarzyczka przybliżyła się. Uprzytomniłem to sobie, bo się powiększyła nagle.

– Co panu? Jest all right?

– Nic, nic. All right, jasne – słowa moje skrzypią jak źle naoliwione drzwi. Serce bije gdzieś w gardle. W dodatku gorączka odbierze mi – wiem już – całą zdolność umotywowania szalonego zamysłu, z jakim powinienem się teraz do tej cudownej dziewczyny zwrócić. Od mojej bytności przy łóżku Alojzego i rozmowy z nim, zastanawiam się, czy mój kretyński projekt znajdzie u niej zrozumienie.

– Rossita, siedziałaś nieraz przy jego łóżku – zaczynam niepewnie.

– Siedziałam, bo on... – wygląda na spłoszoną. – Ja nie mam czasu. Chorzy czekają – dodaje rozglądając się.

Beznadziejna sprawa. Chyba nie zrozumie – konkluduję w myślach.

– Powiedział mi, że się w tobie zakochał – mówię wolno, patrząc prosto w jej oczy. – Chcę, żebyś mu pomogła... To bardzo dzielny chłopak... Odchodzi, a jeszcze nigdy nie miał dziewczyny. Rozumiesz?

– Co tu jest do zrozumienia? – wzrusza ramionami, ale przysiadła nie wiedzieć kiedy na brzegu mego łóżka.

Decyduję się nagle.

– Chcę cię prosić, gorąco prosić, abys przyszła do niego dzisiaj wieczorem i położyła się przy nim.

– Jak to? – Ogromne oczy zrobiły się jeszcze większe. Jest jednak coś w jej zachowaniu, co sprawia, że się – tak wewnętrznie – uspokajam. „Jeśli to wrażliwa i mądra dziewczyna – myślę – jakiegokolwiek tłumaczenie jest już zbędne”.

– Pan go bardzo lubi – rzuca Rossita szeptem. – Dobrze, pomyślę – dodaje po chwili. – Ale to szaleństwo.

Powiedziała „madness”, a dla mnie słowo to zabrzmiało widać jak tajemne zaklęcie symbolizujące spełnienie, gdyż wypełnił mnie nagle spokój. Wielka rzeka pamięci zaszumiła tym razem kojąco. Odeszły lęki. Zasnęłam. I wydawało mi się, że już po minucie obudził mnie jakiś dźwięk. Świtało. A więc przespałam całą noc.

– Panie poruczniku! – uniosłem głowę i dostrzegłem, że Alojzy wsparty na łokciach, spogląda w moim kierunku. Jego oczy pałały. – Panie poruczniku! – wykrzyknął znowu zdławionym głosem.

Musiał tak mnie przyzywać od dłuższej chwili. Czuję, że był już zniecierpliwiony i z najwyższym trudem opanowywał własne podniecenie.

– Co jest? – Chyba udało mi się pokonać lęk straszny i wypowiedzieć te słowa w zwykłej tonacji.

– To jes, że ja... Panie poruczniku, ja nie chca umieróć!

– Kto mówi, że masz umrzeć? – spróbowałem podobnie, jak on natężyć głos. – Założę się, że żył będziesz sto lat albo i więcej.

„Zdobywa się na forte. Typowe. Ostatnie błysnięcie kaganka przed zgaśnięciem” – pomyślałem jednocześnie z trwogą.

– Bo życie to jes ale pieruńsko piękne, nie jes tak? – dodał wciąż z tym samym

podnieceniem.

– Jasne. Połóż się!

– I tak mnie wnet położą – zamilkł i po chwili, ku memu zdumieniu, zachichotał słabo. – A jo jes przeca chłopak śląski – w barach szeroki, a w życi wąski! – rzucił, jak mi się wówczas wydawało, zupełnie bez związku.

To był jednak dalszy ciąg terapii psychicznej, jaką zainicjowałem. Czy to zresztą nie zarozumiałość z mojej strony i czy nie przypisuję sobie owej inicjatywy niezasłużenie? Piękna Rossita przesiadywała przecież przy łóżku Alojzego z własnej – jakby to określić – woli, nim jej podsunąłem pomysł bardziej zdecydowanego działania. A dalej? Wszystko będzie wyglądało – wiem – na taniutką afirmację siły wynikającej z miłości. Tylko, że Alojzy patrzył już – słowo daję – na księżą oborę i życie ledwo się w nim tliło.

Niechaj wystarczy zatem lapidarne stwierdzenie, że Alojzy Żelozko przeżył, ożenił się, że prowadzi wraz z żoną restaurację w Casso. Że ma dzieci, a nawet wnuki i prawnuki.

Po dziś dzień zadaję sobie pytanie, czy moja agitacja była potrzebna i czy nie wygłupiłem się jako najbardziej naiwny porucznik Wojska Polskiego, jaki kiedykolwiek istniał. Nie znajduję odpowiedzi.

Aha, bo Alojzy Żelozko ożenił się z piękną Rossitą właśnie.



## Księżniczka

**Bogdanowi oraz Irenie Czepielewskim**

Co tu kryć – gdyby starszy gość w binoklach, zapewne profesor albo dyrektor gimnazjum, inaczej zwrócił nam uwagę (wyliśmy przecież jak dzicy to *Marysiu buzi daj*, łomocząc przy tym buciorami w parkietową podłogę), gdyby – może – użył innych słów albo zapowiedział to, co nas za chwilę czekało, całe moje życie potoczyłoby się inaczej; chyba medycynę bym jednak skończył układnie, podskakiwać bym przestał po wariacku. Ale przedwojenny profesor w binoklach niewiele w nas rozumiał. Ona – „Księżniczka” – rozumiała z kolei zbyt dużo. Jak to wyrazić?... Istne wariactwo. Najzupełniej niespodziewanie objawiły się nam, zagubionym dwie siły unicestwiające. Oczywiście „Księżniczka” dała nam do wiwatu najmocniej.

W ciągu tych trzech, partyzanckich lat robiła z nami, co chciała. Potrafiła nas niepostrzeżenie zauroczyć, uwieść, usidlić. A potem to już władzę sprawowała nad wszystkimi chłopakami w oddziale. Dowódca, major „Sęp” (zamordowali go ubowcy w 1946) opierał się jej najdłużej. W wydarzeniu, dzięki któremu i on jej uległ, uczestniczyłem jako widz i nie dlatego, że bym kąpiącą się na golasa w potoku „Księżniczkę” podglądał. Natknąłem się na ten niezwykły obraz zupełnie przypadkiem, brnąc przez chaszczki wikliny. Tyle tylko, że obraz mój był szerszy aniżeli ten, jaki miał przed sobą nasz major nieboszczyk. Ja, bowiem, widziałem ich oboje. On – dostrzegał ją tylko.

Kiedy już uchlaliśmy się w Rabce tego majowego ranka, po ucieczce z gimnazjum, świadomi własnej nieprzystosowalności do normalnego świata, jaki się wtedy w 1945 roku miał niby zacząć (tak zapowiadali niektórzy), wszystko wtedy, gdym leżał urznięty, objawiło mi się w swoim dzikim pięknie przemijania. Było jak krótkometrażowe filmy pokazywane bez ładu i składu, lecz przecież powiązane właśnie urodą świata, który – mimo niemieckich czołgów i samolotów – tak jeszcze wiele miał wspólnego, gdy o nas chodziło, z dziewiętnastym wiekiem.

A więc naprzód „film” pierwszy (zapamiętałem go szczególnie wyraźnie): Przybliżyłem się do brzegu potoku i niewidoczny dla nikogo pośród zarośli leszczyny, dostrzegam nagą

„Księżniczkę” stojącą na wystających z wody kamieniach. Właśnie oblana promieniami wschodzącego słońca splukiwała z siebie białą, mydlaną pianę. W tym samym momencie, tylko z drugiej strony wyniosłego świerka, lecz w tych samych chaszczach, pojawia się nagle, idący swoim zwykłym, energicznym krokiem nasz major „Sęp” i, widzę to wyraźnie, zatrzymuje się raptownie, wmurowany jak ja w ziemię, jak ja porwany zmysłowym pięknem tego ciała, wyglądającego jak rzeźba, a przecież tak cudownie, rozpasanie żywego. I oto, nie widząc się wzajem, my dwaj gapimy się na nie podejrzewającą niczego muzę naszego oddziału. Major, jak gdyby oprzytomniawszy nagle, oddala się pierwszy. Ja robię to samo później, gdy już ubiera się ta kusząco nieosiągalna w tej chwili (podkreślam, że w tej chwili tylko), gdyż ho ho różne krążyły plotki i tajemnicę poliszynela stanowiły jej dzikie ponoć, miłosne misteria odbywane z wybrańcami jedynie, którzy musieli na ten zaszczyt zasłużyć czy to szczególną odwagą, czy też – cholera wie – jakimś wdziękiem, fantazją junacką czy też wręcz odwrotnie, bo zapobiegliwością tylko. Kucharz „Tryk” na przykład został w ten sposób przez nią nagrodzony za przypędzenie do oddziału dwóch świń i krowy, podebranych szwabom. Nieżyjący już (zginął w czasie akcji na pocztę w Jachowie) podporucznik „Zyndram”, tarzał się – jak mówiono – w rozpuście z tą naszą piękną markietanką po biesiadzie przy ognisku, zorganizowanej z racji zejścia się naszego oddziału z oddziałem „Drwala”. „Zyndram” śpiewał wtedy (a głos miał dobry) przy akompaniamencie gitary jednego z chłopaków „Drwala”, wszystkie znane i nieznane kawałki od *Jeszcze jeden mazur dzisiaj...* do *Oczy czarne*. Czy to zresztą prawda, co o pięknej „Księżniczce” i jej partyzanckich kochankach mówiono? Chłopaki, głodni miłości z nią, mogli przecież zmyślać. *Wishful thinking* – w ten sposób podobne stany określają Anglicy. Wiele twarzy miewa człowiek. Chwilami, gdy się „Księżniczka” tak po swojemu ponuro zamyśliła, to wyglądała na czterdziestolatkę. Wierzyło się wtedy w krążące o niej opowieści, że ponoć Kacapy i Szwabowie wymordowali całą jej rodzinę. Innym razem, gdy śpiewała lub tańczyła, robiła się z niej nagle urokliwa pensjonarka i człowiek by przysiągł, że cały ten jej partyzancki wygląd, to nieprawda, bo w istocie urwała się ze szkoły na wagary, tyle, że leśne i co nieco przedłużone.

Kiedyśmy się przez Przełęcz Piskarską przebijali, jakby się coś we mnie spiętrzyło i spotęgowało. Ni to zrozumienie wypełniające człowieka od środka, przeradzające się w gorycz dojmującą, ni to podsumowanie wielkie, obejmujące wszystkie te nasze partyzanckie szczęścia i nieszczęścia. A przecież nauczyliśmy się już wojować i właśnie to prześlizgnięcie się pomiędzy otaczającymi nas tysiącami uzbrojonych po zęby szkopów, stanowiło ewidentne potwierdzenie naszych bojowych umiejętności. I czegoś więcej – rutyny chyba, gdyż każdy

robił po prostu, co do niego należało i wychodziło wszystko „na piątkę”. Dwa plutony: „Staćczyka” i „Drobneho” wiązały stałym ogniem automatów i erkaemów większość sił nieprzyjaciela. Chłopaki mieli w małym palcu raptowne zmiany pozycji. Wyglądało na to, że także z zamkniętymi oczyma potrafiliby przeskakiwać pomiędzy smrekami lub krzakami kosówki i ukryci za skałami grzać krótkimi seriami w precyzyjnie odgadnięte (instynktem chyba) pozycje wroga.

To była już zdecydowanie „wyższa szkoła jazdy”, gdyż wszyscy członkowie oddziału „Sępa” działali w gruncie rzeczy na wyczucie. „Zator” zakładał nową taśmę do swego erkaemu tylko wtedy, gdy leżący opodal „Prędkii” dawał gwarancję swoim, że ostrzał nie ustanie ani na moment. „Twardy” decydował się na kolejny skok pod górę, wyczuwając bezbłędnie, że na dokonanie tego czekają, kryjący się najbliżej jego oddziału, kumple. „Księżniczka” gnająca zawsze bez opamiętania z chłopakami, odwracała się, leżąc gdzieś w przodzie, by tym swoim porażająco promiennym uśmiechem i umorusaną twarzyczką zasygnalizować oddziałowi... Właśnie – co? Że żyje, że się jej raz jeszcze udało, że idzie „jak trza”? Nieprawda! W tym jej uśmiechu, w spojrzeniu na oddział było wszystko: babski podziw (jak gdyby ona sama nie objawiała odwagi), oszołomienie wręcz dzielnością otaczających ją leśnych chłopaków, a jednocześnie wdzięk nieziemski, kokieteria niewinna, jakoś piekielnie współgrająca z grożącą zewsząd śmiercią.

„Księżniczka”... Nie wiadomo kto wymyślił to jej pseudo, ale że było trafione w dziesiątkę, nikt nie miał wątpliwości. „Jest wspólnym mianownikiem, bo w tej babie wszystko siedzi” – dowodził kiedyś „Witold”, gdy ze skupioną twarzą trwała pochylona nad kotłem, gotując kolejne żarło dla oddziału. A czegoż nie potrafiła wyczarować z ochłapów mięsa, resztek kaszy, czy sera!... Sterroryzowała nas. Sam nie wiem, jak do tego doszło. Chyba nie od razu objawiła swe umiejętności. Bzdura. Wyglądałoby na to, że zaplanowała sobie zdominowanie nas i podbicie. A jej na niczym nie zależało. Sama nonszalancja. Zdawała się nikogo nie dostrzegać. (To rajcowało najbardziej). Była tylko... jak nie z tego świata – przepiękna także od wewnątrz, a w dodatku śląca błyski. Chyba to właściwe określenie. Słońce przebija się nieraz promieniście przez gąszcz leśny. Jedno zwykłe „dziękuję” „Księżniczki”, poparte jej uśmiechem, wprawiało serce w drzenie. Stawało się czymś podobnym do błysnięcia słonecznego blasku właśnie. Wszystkie te cuda wprawiały nas, na wpół zdziczałych w stan osłupienia. Trzy lata pobytu „Księżniczki” w oddziale „Sępa”, to coraz nowe objawienia jej umiejętności. Wciąż jeszcze trudno mi określić tę: sanitariuszkę? ideologa? kumpla? kucharkę? krawcową? pieśniarkę? wyrocznię mody? (Tę bluzę lepiej wpuść w spodnie. Czemu się nie golisz?).

Kiedyśmy ją znaleźli zmarnowaną strasznie (uciekła z transportu do obozu), już wówczas była niezła i wiara łąpała na nią pożądlawie. W oddziale trudno o wzniosłość. Potem to piszą, filmy robią i – wiem – inaczej to wygląda, ale tak naprawdę, to w partyzanckim życiu „zalicza się”: sen się zalicza, żarcie, samogon, dziewczuchy, słońce, wodę – słowem – tak zwane życie. Jasne – trywializuję. Na chwilę przeniosłem się w tamte czasy. Rzecz w tym jednak, że ta kobieta – dziewczyna stała się właśnie pogłębieniem lub objawieniem wartości, o jakich zapomnieliśmy. Słowo daję, że książkę można by o tym napisać. I ja przecież chichotałem z początku jak inni, gdy ona ni przypiął ni wypiął, i to jak donośnie, (nigdy bym ją o taki głos nie posądził) zaczęła, siedząc z chłopakami przy ognisku... Na Wrębach to było. Noc ciemna, ognisko rozkłada. Przy nas dziewczyna taka, że oszaleć można. Każdy się z nią przesypia w myślach. A tu nagle, ta właśnie przez wszystkich pożądana, zaczyna dźwięcznym głosem, brzmącym jakoś tak, że ciarki przebiegają po skórze:

Nam strzelać nie kazano

Wstąpiłem na działo...

Objawienie. Przysiągłbym, że chłopaki zgłupieli całkiem i tylko z początku obserwowali poruszające się wargi, za których dotyk... Ech, milcz serce! Ten i ów zachichotał nerwowo. Ja także. Ale później, już wkrótce, jakoś tak się stało, że niespodziewanie przetworzyło się wszystko. I wiedzieliśmy, czuliśmy, że półzywa nie tak dawno dziewczyna, to potęga.

Inny kadr. Inny rok. Inny miesiąc.

Po akcji na więzienie gestapo w Łaszowie rannych mieliśmy dwóch i trzech niedawnych więźniów (złachmanionych strasznie). Jeden z nich, cały w czyrakach, poprzypalany w czasie tortur tu i ówdzie, ale olbrzym zbudowany jak gladiator.

– Teraz każdy ból, to już dla mnie fume – rzuca śmiejąc się. – Trza ciąć, panie doktorze, jak leci!

– Taki ze mnie doktor, jak z fujarki cipka – oświadczam.

– Ale mówią w oddziale, że zacięcie masz – śmieje się tubalnie. – Masz bracie, zacięcie, to tnij!

I wtedy właśnie (jak wyraziście to zapamiętałem) pojawiają się, idąc wolno obok siebie, nasz dowódca i „Księżniczka”. Chłowiek był wrażliwy, czy jak? Od razu wiedziałem, że coś złego się wydarzyło. „Księżniczka” – też to dostrzegłem natychmiast – stała się znowu o ileś tam lat starsza.

– Daj na zbiórkę oddziału! – rzuca major „Sęp”, nie patrząc ani na mnie, ani na olbrzyma leżącego na trawie w pozie pacjenta przed ważną operacją chirurgiczną.

Gwizdnąłem na palcach umówiony sygnał. Zebrali się w dwuszeregu. Chcę, żebyś to

sobie, Czytelniku, wyobraził. Polana leśna, dookoła jak okiem sięgnąć kopulaste wzniesienia gór. Słońce przebija się przez mgłę. A tu my, na tle smreków i przestrzeni, w tych naszych zdobycznych panterkach, w czapkach narciarskich, hitlerjugendowskich z orzełkami wyciętymi z blachy. W „Bergsteigerach” podkutych, w oficerkach, w buciorach czarnych z noskami szerokimi (tych angielskich ze zrzutów), w battiedressach khaki. Twarze młode, zacięte lub roześmiane. Tylko oczy... To już nie chłopaki sprzed trzech lat, lecz doświadczeni żołnierze.

– Panowie!... – zaczyna niespodziewanie „Księżniczka” po zwykłych „baczość, odlicz, spocznij!” wyrzeszczanych przez porucznika „Stańczyka”.

– Panowie... – powtarza, spoglądając gdzieś w dal ponad naszymi głowami. – Zła, a nawet bardzo zła wiadomość: Churchill z Rooseveltem sprzedali nas w Jałcie Stalinowi. Rząd lubelski zostaje uznany. Nasz prawowity w Londynie przestaje być legalny. Wynikają stąd...

Chyba nie wszyscy pojęli od razu całą grozę przekazanej wiadomości. Dla większości oddziału jednak drżący, załamujący się głos i pełne łez oczy „Księżniczki” były wystarczającym dowodem, że stało się coś strasznego. Przez kilka nocy śnili mi się potem Churchill, Roosevelt i Stalin jako tańczące diabły. Czerwona poświata. Wrzaski diabelskich polityków. Koszmar! Budziłem się zlany potem. Podświadomość dziwnie odzywa się w człowieku.

I jeszcze inny obraz, wydarzenie późniejsze, już z realnego świata. Ze *wzgórz* otaczających Wąwóz Dymarski załomotała jedna seria, druga, trzecia. „Księżniczka” idąca pomiędzy czujką a resztą oddziału dała zgrabnego susa i od razu spoza głązów przy samym potoku, w dole, zaszczekał jej automat. Że zdążyła jednak oberwać, dowiedzieliśmy się dopiero po przejściu tego przekłętego zwężenia, wykorzystanego przez Szkopów. Poległ chorąży „Prędko”. Rannych mieliśmy trzech. W tym jednego ciężko. Straciliśmy też dwa konie – ubytek dotkliwy dla chłopaków już i tak piekielnie zmordowanych targaniem cekaemów. Teraz ładunek obu chłopskich furmanek trzeba było rozdzielić na wszystkich. „Księżniczka” – jak to ona – nie poskarżyła się ani słowem. Zauważyłem tylko, że kulejąc, idzie z coraz większym trudem. Niewiarygodne, ale zbyt była nieosiągalna dla nas i nawet w chwili słabości, piekielnie odległo-bliska. Bardzo to skomplikowane, wiem, i trudne do przekazania w słowach. Dławił nas niepokój, a jednocześnie tej, starszej znowu wyglądającej, dziewczynie nie śmieliśmy zadać pytania. Nie zapomnę nigdy szeptu „Zatora”: „But jej nogę obtarł, czy co?”. Osunęła się na ziemię bez najmniejszej zapowiedzi, rzekłbym, zemdląła najskromniej, jak tylko mogła. Okazało się, że kula odbita rykoszetem od skały utkwiała jej (płytko na szczęście) w wewnętrznej części lewego uda.

Ja, felczer od siedmiu boleści, cyrulik wykreowany przez sprzyjające konowałam okoliczności, świadom szalonej odpowiedzialności, drząc z napięcia i całej masy innych odczuć, dokonywałam na żywo operacji wyjęcia tej kuli. To tak intymne, że aż trudno o tym pisać.

Na białym prześcieradle rozpostartym na podłożu z kilku koców, klęcząc pomiędzy jej rozwartymi nogami (majteczki miała różowe, sam je z niej ściągałam), wzniosłam się na wyżyny chirurgicznego kunsztu. Dwa małe cięcia wystarczyły. Spłaszczoną kulę położyłam na dłoni mej pacjentki. Bolesny grymas warg operowanej zamienił się w coś podobnego do uśmiechu.

– Będzie pan kiedyś sławnym chirurgiem – znowu to „pan” nobilitujące i odsuwające zarazem. Taka ona była – bliska i odległa jednocześnie. Nie wiem, co odpowiedziałam i czy w ogóle zdobyłam się na jakieś słowa. Jeszcze trwałam w sferze niezwykłego widoku, w zasięgu jej zapachów intymnych, we władzy własnych pragnień szalonych. „Ty dziwko – myślałam. – Byli tam, w twoim wnętrzu, różni, a ja drzę”.

Chyba zostałam jednak złym lekarzem.

A oto zakończenie epopei, epilog. Zimą z 1944 na 1945 przebyliśmy w naszych dawnych ziemiankach wysoko w górach. Jedno przegrupowanie oddziału, potem drugie, trzecie. Wojna skończona. Wredny świat znowu wystawił Polskę do wiatru. Ubowcy następują nam na pięty, gdzie tylko mogą. W gazetach wiadomości o wzmacnianiu władzy komunistów, o parcelacji, apele, manifesty, zapewnienia. „Mówią o wolności, a mordują naszych, gdzie popadnie, taka ich mać!” – syczy „Wielgus”.

„Księżniczki” nie ma. Wyjechała, ponoć coś dla nas załatwiać w miasteczku. Co tu można, dla takich jak my, załatwić? Ruską tiumę? – pytamy się w myślach, bo oddział jeszcze trwa na dawnych zasadach, a „Sęp” zbędnych dociekań nie lubi. Wreszcie bomba pęka.

– Chłopaki, jutro na rynku w miasteczku zdajemy broń! Ujawniamy się! – ktoś przekazuje sensacyjną, nieprawdopodobną wiadomość.

I dzieje się. Maj 1945 roku. Rabczański rynek. Nasz oddział odstrzelony jak na paradę. Słonecznie. Za stołem dwaj cywile i dwaj w ichnich mundurach (orzełki brązowe, jakieś dziwne, bez korony). W głębi żołnierze z pepeszami trzymanymi niby od niechcienia. Trochę spędzonych ludzi. Zastrachane babki pochlipują. Gruby gość, ponoć burmistrz – już komuna go zdążyła wybrać – zaczyna czytać z kartki przemówienie, lecz nasz major przerywa mu gestem.

– Baaa ść! – pieje „Stańczyk” po swojemu. Zamieramy w bezruchu.

– Żołnierze! Kochani moi... – „Sęp” pochyla głowę. – Rozkazuję wam złożyć broń. Nasz

oddział zostaje rozwiązany. Wiem, że zawsze będziecie gotowi...

- Obywatelu!... – przerywa mu jeden z wojskowych i podnosi się zza stołu.
- Jestem majorem Wojska Polskiego. Przypominam – rzuca lodowato nasz dowódca.
- Panie majorze, była umowa... – tamten nie daje się zbić z tropu.
- Dobra – „Sęp” odpasowuje szablę i kładzie na stole. Tuż obok umieszcza swój pistolet.

Przygarbił się jakby i postarzał w jednej chwili.

– Spocznij! – zwraca się do oddziału. Wiara rozumie, że dzieje się coś strasznego. Wykonuje rozkaz składowo, jak na paradzie.

– Dziękuję – coś podobnego do cienia uśmiechu przemyka po pobladłej twarzy. – Chłopcy, jestem z was dumny. Spełniście swój żołnierski obowiązek służenia Ojczyźnie. Ale... wojny już nie ma. Skończyła się. Teraz powinniście się znowu uczyć. Kto chodził do gimnazjum – ręka do góry!

Uniosło się sporo rąk.

– Po złożeniu broni, przejdziecie do budynku gimnazjum, by załatwić formalności przyjęcia. To rozkaz – dodał jeszcze „Sęp” i zasalutował.

– Baaa ść! Prezentuj broń! – rozdarł się po raz ostatni „Stańczyk”.

I tyleśmy się nabyli partyzanckim oddziałem. Nie poprawiły naszego samopoczucia różnego typu „knary” przemycone, mimo wszystko, za pasami, w kieszeniach spodni czy w cholewach butów.

Zdumiewające, ale władza „Sępa” nad nami wciąż jeszcze trwała. Jak we śnie przeszliśmy potulnie do wskazanego budynku gimnazjum, a że Niemcy wywieźli z niego wszelkie umeblowanie, usiedliśmy całą bandą pod ścianami jednej z sal. W nastroju byliśmy wrednym. Czas upływał, więc pociągnęliśmy z flachy samogonu i, jak trza, „Tur” zaczął pierwszy:

Przyjdź do mnie Nana... na godzinę

Zrobimy sobie bobo... boski raj

Ty będziesz mama... małą chwilę

Ja będę tata... taki sam.

Kiedy pojawił się jegomość w binoklach, a za chwilę drugi – wymoczkowaty i też w białej koszuli z krawatem, byliśmy w trakcie śpiewania chórem:

La donna e mobile

Zdejm majtki, koszulę!

Ja zdejmę spodnie

Będzie nam wygodnie!

W połączeniu z rytmicznym wybijaniem taktu buciorami nasze głosy brzmiały wśród ścian

o wiele potężniej niż w lesie. Było to niezwykle przyjemne. Nie chcieli słuchać o Marysi, która miała dać buzi nie pytając o pozwolenie swej mamy.

Ten w binoklach z wąsikami pod nosem, machał dość długo chudymi ramionkami, nimeśmy mu dali dojść do głosu.

– Panowie, nie jesteście w lesie! – wykrzyknął słabo i te słowa sprawiły, że zawyliśmy jak jeden jeszcze głośniej:

Szkop nam nigdy nie da rady

Kacap – nie, ubek – nie!

Las to nasze barykady

Tarczą – pnie! Tarczą – pnie!

Wymoczkowaty głos miał donośniejszy.

– Spokój! – Zdziwiły nas jego wytrzeszczone oczy i chyba tylko dzięki temu zdołał jakimś cudem przekrzyczeć chór. – Zaraz tu przyjdzie wasza wychowawczyni!

Bywają wielkie wejścia. Nazywają się podobno nawet jakoś tak specjalnie po francusku – *Le Grand Entrez* czy coś w tym rodzaju. Wszystko, aby podkreślić wagę nagłego pojawienia się wchodzącej osoby. To właśnie się niebawem zdarzyło, tylko że w spotęgowaniu niepojętym, do tego stopnia bajkowo nierealnym, że cała nasza banda zamarła nagle, jakby jakaś nadprzyrodzona siła wgniotła ją raptem we wyfroterowaną podłogę. Do gimnazjalnej salki weszła „Księżniczka”. Wyglądająca cudnie w zielonkawej sukience, umalowana i w bucikach, wydała się nam kimś ze snu. Pan w binoklach przedstawiał ją (zaprotestowała, ale słabo, że niby to się już znamy), a profesor – jakby niczego nie słysząc – zagajał o jej praktyce pedagogicznej, podkreślając profesorskie, jeszcze przedwojenne, umiejętności. Nie zapamiętaliśmy ani nazwiska „Księżniczki”, ani szkół w jakich tak dobrze kiedyś nauczała. Każdy z nas w osłupieniu przenosił wzrok z poruszających się warg chudeusza na postać tak dobrze znaną, a przetworzoną niespodziewanie w kogoś, kto był tym kimś dawnym i nowym zarazem.

Przemawiał teraz wymoczkowaty i pojeliśmy po chwili, że nas Wita, że wyraża satysfakcję i głębokie zadowolenie czy coś w tym stylu. Chyba wtedy właśnie zaczęło dziać się z nami coś, co można by porównać do potwornego wzrostu ciśnienia. Gąsiory, w jakich przeprowadzana jest fermentacja wina, eksplodują nieraz pod wpływem zbyt wysokiej temperatury. Tak sobie myślę, że gdyby choć jeden z nas zdołał wówczas wyrzucić z siebie jakąś, najbardziej nawet idiotyczną uwagę, okrzyk bzdurny czy komentarz – mogłoby to



rozładować sytuację, stać się czymś w rodzaju otwarcia zaworu bezpieczeństwa. Nikt się na to nie zdobył i nasza wewnętrzna gorączka rosła w zatrważającym przyspieszeniu. W dodatku od pewnej chwili „Księżniczka” zaczęła się nam – każdemu z osobna i wszystkim razem – przyglądać z uśmiechem, który miał być zapewne, jej zdaniem, najserdeczniejszym wyrazem pełnego zbratania i zrozumienia. Napotykać jej oczy, kurczyliśmy się w osobliwym, nieznośnym zawstydzeniu. Ciśnienie doszło do zenitu.

– Niecee! – wrzasnął „Drobny”, jako pierwszy rzucając się ku otwartym oknom. Za nim runęli ku oknom pozostali. To była eksplozja. Sala, w jakiej się znaleźliśmy, znajdowała się na wysokim parterze. Skakaliśmy bezładnie. Chyba minutę nie więcej zajęła nam cała ucieczka (łącznie z dopadnięciem do bramy).

Zakopane 1 IX 1991

## Bez tytułu

Joannie

Szanowny Panie Redaktorze, zupełnie przypadkowo zjawiłem się na tym pańskim... jak to się nazywa?– autorskim spotkaniu. Prawdę mówiąc, to początkowo myślałem, że pan zwariował. Na sali sami emeryci, renciści, a pan tu czyta jakąś frywolną historię, prosi o przysyłanie listów, intymnych wspomnień. Może gdyby na sali byli młodszy – myślałem wtedy – miałby pan lepszych słuchaczy. A tak – sam pan widział – uśmieški, szepty, niektórzy – co „pobożniejsi” – wychodzili – i to, jak sędzę, sprawiło, że powoli z opozycji przekręcałem się na pana stronę. Zacząłem, choć opornie, rozumieć, o co panu chodzi. Istotnie chyba jest w tym coś, żeby wspominać, a nawet żeby starać się innym zostawić – jak pan to nazwał – „kawałek swego intymnego wnętrza”. Mówił pan, że „niekoturnowe” wspomnienia też są ważne. Wie pan, chciałbym potrafić napisać o czymś takim. Ja jestem bardzo odległy pisaniu w ogóle. Nawet listów pisać nie lubię. Ale jakoś tak... sprowokował mnie pan. Nie wiem, ile podarłem kartek papieru, aby wreszcie to wszystko uładzić jakoś i zestawić, co panu niniejszym przesyłam. Myślę, że prawdę oddałem w jakimś stopniu wiernie. Przeczytawszy całość raz i drugi, powiedziałem do samego siebie: „tak, stary, było. Niczegoś nie zmienił”. Może pan to po swojemu przełoży na język literacki, bo przecież moja, pożałuj Boże, polszczyzna wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Ale cóż – ja jestem, proszę pana, tak zwany „szary pracownik technicznego pionu”. Czytam mało. Niegdyś może zaliczyłem trochę książek. Zastanawiałem się nad tym, co pan mówił o *Dzienniku Samuela Pepysa*. Przeczytałem ten dziennik, nawet mi się spodobał. Najtrudniejsze do urzeczywistnienia to pańskie zalecenie, aby pisać zwięźle i możliwie najszczerzej. Jak dla mojego rocznika, to ciężkie żądanie. Mam teraz 64 lata, rozczarowania sobą, innymi. Dwa rozwody. Dzieci, wnuki. Szczerość nie popłaca. To, co mam do przekazania, przypomina obrazek oprawiony w zbyt szerokie ramy. Wie pan, esy-floresy, wycięcia, ornamenty wymyślne. To znaczy zupełnie nie wymyślne, zwykłe. Boże, co ja plotę! To wszystko nie ma przecież sensu. Ale czy w życiu w ogóle jest jakiś sens? Czy to, co zwykły człowiek w moim wieku ma na swoim koncie, rzeczywiście godne jest zapisania? Proszę pana – rzecz jest prosta i nieprawdopodobna zarazem: Pan Bóg, dobry Pan Bóg uśmiechnął się do mnie na moje

sześćdziesięciolecie i zesłał mi anioła. Anioła nie całkiem niewinnego, dość skomplikowanego w dodatku, ale może współczesne anioły są właśnie takie? Tytuł... przecież musi być jakiś tytuł. Może pan sam wymyśli, a tymczasem, niech to będzie tak roboczo, bez tytułu, bo proszę tylko posłuchać:

Bardzo nieudany pobyt na wczasach nad morzem – już nie chcę wspominać, w jakiej miejscowości. Zupełnie banalny pokój w domu wczasowym. Ja z chrapiącym nocami partnerem, człowiekiem chyba mi najodleglejszym. Też nieistotne z jakich powodów. Wreszcie wracam. No cóż – załapałem kilka słonecznych dni, popływałem, pobiegałem plażą, pograłem w siatkówkę. Zawsze byłem zwolennikiem – jak to się mówi fachowo – czynnego wypoczynku. Zrzuciłem trochę nadwagi, opaliłem się, więc chyba w efekcie wyglądałem jako tako. Rzecz zaczęła się od Gdańska, bo w tym mieście czekałem na pociąg, którym miałem wrócić do Warszawy. Ten pospieszny, wie pan, jest przy zmianach wakacyjnych turnusów bardzo zatłoczony, więc rozglądałem się wszędzie i znalazłem wreszcie, jak sądziłem, dobrą „strategiczną” pozycję, by jako jeden z pierwszych wejść do wagonu. Jednak sześćdziesiątka to taki wiek, kiedy wszystko w teorii się udaje, tylko praktyka pozostawia wiele do życzenia. Tłum zaatakował wagony, odepchnięto mnie i w efekcie wsiałem jako jeden z ostatnich, w dodatku z tym poczuciem niewydolności, osłabienia czy jak to tam nazwać... Nie znaczy to, abym porażką się zbytnio przejął. Stojąc przy oknie w korytarzu czułem się młody, rześki, pełen energii. Zatrzymałem się opodal przedziału, w którym miejsca, podobnie jak w innych, były zajęte. Tylko, że machinalnie rzuciwszy okiem, odkryłem w tym przedziale prześliczną dziewczynę siedzącą w rogu, przy oknie. To głupie, wiem, ale jakoś zawsze wolę istnieć bliżej piękna. Dopuszczam tu kontakt nawet najbardziej abstrakcyjny. Co tu kryć – mimo mego wieku, ciągle jeszcze interesują mnie kobiety. Dziewczyna, o której wspomniałem, miała długie blond włosy. Była zajęta czytaniem lub raczej odgrywaniem takiej małej rólki – rozumie pan – „intelektualnej koncentracji na lekturze”. To wyłapałem od razu. Nie spojrzała na mnie naturalnie. Nie patrzyła na nikogo. Była „bezgranicznie zaabsorbowana”. Ale po chwili coś sprawiło, że nasze oczy nagle się spotkały. Ona spojrzała na mnie raz, drugi. Miewam jednak zaćmienia świadomości. Czy pan uwierzy, że kabotyńska myśl już mi zaświtała, że coś tam najwyraźniej musiało się jej we mnie spodobać? No, debil jestem, prawda? Uzna mnie pan za pomyłonego, jestem tego świadom, ale zmieniłem pozycję na „profilową”, udając, że się Czemuś tam za oknem przyglądam z uwagą (jakaś facetka przed wiekami powiedziała mi chyba, że profil mam niezły). A więc trwałem tak, ja – stary narcyz – błazeńsko upozowany. Nie wiem, chyba w straceńczej nadziei, że jakoś spotęguję jej zachwyty

tą moją, pozał się Boże, nadwiedłą męskością. Wówczas to nastąpiło. Kara za grzech pychy i za głupotę jednocześnie.

Nie od razu pojąłem, czego chce ode mnie dziewczyna z książką i dlaczego wyszła z przedziału. Długie blond włosy naraz bardzo blisko i to spojrzenie, rozumie pan, jeszcze dziecinne, a już kobieco prowokujące.

– Proszę bardzo, niech pan siada – powtórzyła. Spoglądała na mnie bez uśmiechu.

Zbaraniałem. Chcę, aby od razu było jasne. Pojawszy, że ustępuje mi miejsca, doznałem czegoś, co mógłbym porównać do porażenia. Właściwie, to zamarłem, przestałem istnieć. Piorun we mnie strzelił. Mówiąc w konwencji bokserskiej – dzierlatka trafiła bezbłędnie w punkt i *knockout* mnie wyeliminował z dalszej walki. Już siedząc na wygrzonym przez jej zadeczek miejscu (oszołomiony nie zdobyłem się na żadną dowcipną uwagę i ofertę przyjaźni), a więc trwając w rogu przedziału, zdałem sobie sprawę, że ta dziewczyna spełniła pewną funkcję, bo oto w moim niepowtarzalnym życiu, istnieniu – czy jak to nazwać – ona właśnie postawiła kropkę nad i lub zamknęła nawias, likwidując za jednym zamachem resztki złudzeń. Siedziałem więc przy oknie pokornie, w charakterze starca, z całym galimatiasem odczuć. Lęk, że to już w stu procentach koniec mego istnienia, był spośród nich najbardziej dojmujący. Złość i rozczarowanie zajmowały pozycje kolejne.

Nic jednak stałego na ziemi. Piękna blondyneczka wróciła na swoje miejsce. Dwaj młodzi ludzie, którzy widocznie nie mogli pogodzić się z jej utratą, zdecydowali się przesunąć czy też ścieścić. W ten sposób ja przesiadłem się na drugą stronę pomiędzy nich, a dziewczyna zajęła na powrót swe rogowe miejsce naprzeciwko. Wspominam o tym, gdzie kto siedział, gdyż wydaje mi się to dość istotne. Nieznajoma znowu wróciwszy do czytania, nadal bezbłędnie rozgrywała małą rolę intelektualnej koncentracji. Pozorne wyobcowanie podkreślało, że nie przywykła jeszcze do hołdów składanych jej urodzie. Stanowiło jednak także akt swoistej nonszalancji objawiony obserwowującym ją ukradkiem dwóm chłopakom, mnie – sześćdziesięciolatkowi oraz chudeuszowi z wystającą grdyką, może czterdziestoletniemu. Jako „rywal” – pojąłem to od razu – najgroźniejszym był jednak przystojny oficer marynarki, siedzący dokładnie naprzeciwko mnie. Dziewczyna (zaczytana wydała mi się jeszcze śliczniejsza) dalej nie patrzyła ani na mnie, ani na nikogo. W dodatku od pewnej chwili „zagrała”, że lektura pochłoneła ją bez reszty. Zna pan, jestem pewien, tę powagę niedojrzałości. Wynikającą z nieśmiałości chęć odosobnienia.

I tak mniej więcej zaczęła się ta dziwna historia z Joanną. Chyba podświadomie odbierałem to jej ustąpienie mi miejsca jako prowokację. Absurd oczywiście. Jakież mogłaby mieć cel w prowokowaniu wapniaka w moim stylu. Czas upływał. Nie rozmawiałem z nią.

Nie obdarzyła mnie nawet jednym spojrzeniem. Wdałem się w dyskusję z oficerem marynarki. Najpierw puszyłem się. No, wie pan – polityka, filozofia. Oficer też starał się, jak mógł. Wtrącali się obaj chłopcy. „Samcza walka” nie przynosiła rezultatów. Wreszcie zmobilizowałem się maksymalnie i zrobiłem wszystko, aby wypaść młodzieńczo błyskotliwie. Udało mi się – nieźle chyba – opowiedzieć ze dwa dowcipy. Wszystko to robiłem pod nią, myśląc jednocześnie: „Ty stary capie, po diabła się wygłupiasz? Co ci da taki popis? Ona i tak uważa, że masz sto lat”. Ale dziewczyna zaczęła powoli, jak to się mówi – „reagować”. Kiedy się uśmiechała, tak leciutko, wciąż nie unosząc głowy znad książki (konwencja intelektualnej koncentracji była utrzymana), to marszczył się jej niezmiernie kształtny nosek. W ogóle była absolutnie urocza, „Madonnoidealna” – określiłem ją w myślach. Nie pamiętam już, co sprawiło, że włączyła się w rozmowę. Interesowały ją języki obce. Zwłaszcza angielski. Trzymała w dłoniach podręcznik do nauki tego języka dla zaawansowanych. Zaczęliśmy rozmawiać. Najpierw o angielskim właśnie, a potem o amerykańskich filmach, aktorach. (Przypominałem sobie na siłę dyskusje najmłodszych w naszej pracowni). Okazało się, że coś niegdyś zasłyszane teraz okazywało się przydatne. Dwaj młodzieńcy niewiele o aktorach wiedzieli. Kapitan marynarki jakby się wyłączył, został w tyle „peletonu”, czy jak to określić. W każdym razie to ja jeden poszedłem z nieznajomą do wagonu restauracyjnego. „Dostałem zaszczytu udania się wraz z aniołem na posiłek” – słowo daję, że tak myślałem idąc tuż za nią korytarzem. Rozmawialiśmy o Ameryce, o podróżach. Kieliszek koniaku – jeden, potem następny. Znałem już jej imię. Zwróciłem się do niej raz czy drugi per „pani Joanno”. Zwierzyła mi się, że od jesieni ma zamiar zacząć studia na anglistyce i że bardzo się boi jakichś tam egzaminów. Rozmowa stawała się coraz to szersza. Opowiadała o swoim domu, o rodzicach (ojciec znany lekarz laryngolog), o swym psie. Bardzo przeżywała konieczność rozstania z tym Reksem czy też Lordem. Nie pamiętam. Umyka mi też dalsza część naszej rozmowy. Chyba, szarżując, podkreślałem własną sędziwość. Ona protestowała niezręcznie. Koniak gruziński zrobił swoje. Stwierdziłem, że alkohol to dla niej nie pierwszozna. Umiała go pić. Śmiała się. Jej uroda wzbudzała zainteresowanie drabów siedzących przy sąsiednim stoliku. O jednego z nich, przystojniaka, byłem zazdrosny. Zupełnie nie wiadomo kiedy, dojechaliśmy do Warszawy. Wymieniając z nią numery telefonów, żartowałem, że no ewentualnie... ze starcem mogłaby się kiedyś spotkać choćby ze względu na stuprocentowe bezpieczeństwo. Ona odpowiedziała najzupełniej grzecznościowo (byłem tego boleśnie świadom), że bardzo chętnie mnie zobaczy.

Miałem kłopoty w pracy. Właściwie to takie idiotycznie ambicjonalne historie. Kreślarzem

jestem. Znowu w charakterze „murzyna” odwaliłem projekt za szefa. Zapłacił jak zwykle solidnie, podpisał jako autor. Normalka. Tym razem jednak robota była wyjątkowo precyzyjna. Jak to się mówi: „trzeba było wiele dać z siebie”. Dałem, bo się zgodziłem na jego warunki, przecież mnie nie przymuszał. Tylko że później... Trudno to określić – może pan redaktor zrozumie – gorycz jakaś, wściekłość na parszywy los, na samego siebie, własne zeszczenie. W takim wrednym, nieciekawym nastroju zadzwoniłem do tej dziewczyny, to znaczy do Joanny. Nie zastałem jej w domu. Nawet się z tego ucieszyłem. Nie nadawałem się do zwykłej rozmowy. Znowu przewaliło się wiele spraw. Chyba z miesiąc upłynął. Zbyszek, mój najstarszy wnuk oblał przed wakacjami egzamin wstępny na historię sztuki. Mogli go wziąć do wojska. Po wakacjach startował na psychologię. Napięcia. Jego matka, a moja czterdziestoletnia córka Teresa, jakoś izoluje się ode mnie. Sam dzwoniłem, pytałem, starając się coś poradzić. Niechętnie i zbywające udzielała mi informacji. „Ojciec i tak nie pomoże” – mówiła przez telefon tak zimno i obojętnie, że odechciewało mi się wszystkiego. Ani jednego, najmniejszego nawet pytania o mój los, o zdrowie. Totalna niechęć. „Dziewczyno, kochane moje dziecko, przecież tyleśmy razem przeżyli” – mówiłem do siebie w myślach. – Zawsze ci pomagałem. A nasze wycieczki, pamiętasz?”. Nie powiedziałem nic. Ani słowem nie nawiązałem do przeszłości. Przecież nie będę się upokarzał.

Jakoś tak się stało, że zadzwoniłem do Joanny i wybraliśmy się na jesienny spacer do Łazienek. Biło mi serce ogromnie mocno. To był początek. Umawialiśmy się od tego popołudnia w różnych miejscach. W parkach, kawiarniach. Ale to pierwsze spotkanie sam na sam stało się kluczem do wszystkiego, co nastąpiło później. Już wtedy, w zamglonym Łazienkowskim parku, w czasie pierwszego spotkania, zaczęła mnie pytać o wiele moich spraw. Niesamowite. Dziewczyna poznana przypadkiem w pociągu, stała się pierwszym człowiekiem, który – tak naprawdę (czułem to) – chciał coś o mnie wiedzieć. Początkowo nie mogłem oczywiście uwierzyć, że to szczerze. Ale – tak na zdrowy rozum – jakież mogła mieć powód, aby udawać zainteresowanie? Opowiadałem o swojej pracy kłamliwie. Bałem się własnej słabości, czy jak? Przypisałem sobie – pamiętam – tytuł inżyniera i przez jakiś czas brnąłem w bzdurną mistyfikację utożsamiając się z własnym szefem, że to niby ja jestem tym cwaniaczkim zlecającym „murzynom” projekty, by je potem samemu podpisywać i za rzekome autorstwo brać grubą forszę. Nie podobało jej się to. Krzywiła się. Nosek marszczył się jej przy tym prześlicznie. Któregoś dnia powiedziała, że nie wierzy, abym mógł tak nieładnie postępować. Poza tym nie widzi, abym miał dużo szmalu.

– A ty lubisz szmal? – powiadam, aby jakoś ukryć zawstydzenie. (Szczyt wszystkiego – wstydzę się, że jestem uczciwym człowiekiem. Poza tym słowa szmal nie lubię, jak i innych

nowo powstałych).

– Zależy – odpowiada. – Zeznaj się – dodaje zaraz. – Powiedz, co robisz naprawdę.

Słaby już jestem okropnie i konsekwencji we mnie nie ma najmniejszej. Przyznałem się do wszystkiego, powiedziałem nawet to, o czym nie wspomniałem nikomu, że siedziałem – i to nie politycznie, nie chwalebnie jak inni – ale za trzy głupie ikony przemywane przez granicę. I gdy wyrzucałem z siebie to wszystko głosem odmienionym dziwnie, trzęsącym się idiotycznie, Joanna spoglądała na mnie bez uśmiechu i to dodawało mi odwagi. Skończyłem. Ulga we mnie wielka.

Patrzę na dziewczynę z pociągu, a ona na mnie. Dziwnie jakoś patrzy, głęboko, poważnie.

– Dziękuję – mówi wreszcie – teraz ci prawie wierzę. Z tym moim ojcem, wybitnym laryngologiem, to też pic i Casablanca. Pracował na poczcie, ale i tak został „w.w”, rozumiesz?

– Aha – spróbowałem ukryć swą niewiedzę. Na niewiele to się zdało.

– Ty w ogóle nie umiesz kłamać – parsknęła śmiechem. – Od razu wiedziałam, że nie jesteś żaden tam cwany inżynierek. „W.w” to znaczy: wybył, wypiął się. Mój stary zdążył jeszcze przed wyparowaniem dobrać się do mnie. Jak to się mówi: „kobietę we mnie zobaczył” i to zrobiło widać na nim takie wrażenie, że został Amerykaninem. Dwa razy przysłał jakieś stare ciuchy i może ze trzy razy życzenia na Boże Narodzenie. Kochany tatuś, prawda?

Rozwijało się to w nas obojgu. Nie potrafię po dziś dzień nazwać tej zwariowanej potrzeby spotkań. Zaczęliśmy doceniać słowa. Zupełnie jakbyśmy oboje rozwierali powoli odporne drzwi, spoza których objawiało się nam wspólne wnętrze. Wszystko dzięki narastającej szczerości.

– Kochałem się w dziewczynie znanej tylko z widzenia – opowiadałem najniespodziewaniej dla samego siebie, bo mnie zapytała (któż się tym kiedykolwiek zainteresował?) o moją pierwszą miłość.

– Trwała wojna – ciągnąłem. – My, Jugendlichehilfsarbeiter jeździliśmy tramwajem co rano na pierwszą zmianę o szóstej. Ta dziewczyna stała zawsze na pierwszym tramwajowym pomoście i wysiadała na przedostatnim przystanku. Ja docierałem do końca trasy. Nigdyśmy nie rozmawiali ze sobą. Nie znaliśmy się, a jedynie patrzyli na siebie. Marzyłem o niej. Cierpiałem, gdy się nie zjawiała. Trudno uwierzyć – trwało tak między nami ze dwa lata. Wojna skończyła się wreszcie. Z racji początku roku szkolnego w nietypowym okresie, już na wiosnę tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, miejscowe gimnazjum zorganizowało uroczysty bal inauguracyjny – w istocie potańcówkę. Mieli w niej uczestniczyć ci wszyscy,

którym okupant odebrał prawo do nauki, nowo przyjeźci gimnazjaliści.

Wyobraź sobie taką scenę: wielka, pusta sala, rzepoląca orkiestra na podeście, wzdłuż jednej ściany długi rząd krzeseł z siedzącymi chłopakami, naprzeciwko, przy drugiej ścianie taki sam rząd dziewcząt. Na próżno przyszli profesorowie biegają dodając siedzącym odwagi i namawiając do tańca. Połyskująca posadzka jest pusta i długo nikt się nie odważa zacząć.

– Pewno nie bardzo umieliście tańczyć – wtrąciła Joanna.

„Kocham tę dziewczynę z pociągu. Ja, stary, zwariowałem!” – uprzytomniłem sobie właśnie wtedy i ogarnęło mnie przerażenie.

– Większość z nas nie miała o tańcu pojęcia. Ale „panie proszą panów!” wywoływane gromko przez starą profesorkę zrobiło wreszcie swoje i kilka par zaczęło się zataczać w walcu angielskim. Pamiętam świetnie: to był *Księżyc nad Tahiti*. Znasz to?

Joanna zaprzeczyła.

– Jakoś z boku podeszła do mnie moja tramwajowa dziewczyna. Ubrana była jak inne – biała bluzka, granatowa spódniczka. Nie wyłuskałem jej dzięki temu z rzędu siedzących. Zaczęliśmy tańczyć. Ja – nieporadnie, odmierzając kroki. Łomotały nasze serca tak mocno, że czuliśmy to oboje. Nie rozmawialiśmy w ogóle, nie wypowiedzieliśmy do siebie ani jednego słowa. I tak to się skończyło.

– Nie rozumiem. – Szare oczy spoglądają na mnie. Dziewczęć tak blisko, młodość. Zamęt mam w sercu. Joanno, straszliwie drogą mi się stajesz. Co to będzie?

– Nic. Już za parę dni wyjechałem z rodzicami z tego miasta. Gdzie indziej zacząłem chodzić do gimnazjum. Dziewczyny z tramwaju już nigdy w życiu nie zobaczyłem.

Na szczęście Joanna nie powiedziała nic zdawkowego. Oczy miała smutne. Opodal sztucznego wodospadu w parku Wilanowskim pocałowaliśmy się po raz pierwszy.

– Z profilu wcale nie wyglądasz staro – powiedziała. – U nas, na roku, jeden chłopak jest do ciebie podobny.

Niech żyje życie! Wracalem do domu w nastroju, który można by określić jako młodzieńczy, gdyby to nie brzmiało groteskowo. „W takim razie renesans – myślałem. – Udało ci się, starcze, przeskoczyć pokolenia. Ekwilibrystyka. Wygląda jednak na to, że los zaczyna się rehabilitować za wszystkie, okazane ci niegodziwości”.

Coś osobliwego zaczęło się ze mną dziać, panie redaktorze. Rozmyślałem o niej, marzyłem. Chwilami myliły mi się obie: ta z wojennego tramwaju i ta z pociągu. Wypełniały mnie wspomnienia. Te najodleglejsze, okupacyjne, czy stalinowskie, przenikały się z późniejszymi. Joanna stała się jednak pomostem albo kluczem do wszystkiego. Wspominałem, w obłędzie jakimś podniosłem, słowa jej i wyraz oczu, zapach i mądrość



instynktowną – macierzyńską prawie. Oddała mi się wkrótce potem. Chyba w dwa tygodnie od pocałunku to się zdarzyło. Domek wypoczynkowy kolegi w Zalesiu Górnym. Prymityw. Nic z pałacowego wnętrza godnego cudownego, dziewczęcego ciała, jakim mogłem się cieszyć do woli. Piliśmy wino. Wielkie kłody płonęły na kominku. Tylko on podnosił rangę bezosobowego wnętrza. Joanna, udając odaliskę z haremu, tańczyła nago, prowokując mnie niby i kusząc. Przywiozłem taśmy z najróżniejszymi nagraniami. Mój rausz narastał, utwierdzał się. I – co tu kryć – w pewnej chwili poczułem się nagle bezgranicznie szczęśliwy.

– Jest mi z tobą cudownie! – mówiła ocierając się o mnie jak kotka. – Czy jeśli zeszczupleję będę ci się podobać?

– Nie! – wykrzykiwałem. – Ty w mój harem najpiękniejsze. Moja lubić tłusta kobita! – plotłem bez sensu. Zaśmiewała się.

– To znaczy, że jestem tłusta. Pierwsze słyszę – udawała dotkniętą i naburmuszoną.

Gdybym wtedy, w czterdziestym czwartym nie uskoczył do bramy w czasie łapanki, rozwaliliby mnie i nigdy nie przeżyłbym tej cudownie zwariowanej chwili. Cholera, nie myśleć!

– Mamy fajnego profesora. Nawet elegancki – opowiadała napełniając kieliszki. – Całkiem młody. Kiedy mówi, zabawnie wytrzeszcza oczy.

– Tylko się w nim nie zakochaj – moja pozorna pewność siebie objawiała się zidioceniem. – W gniewie jestem straszny!

– Szczęśliwa jestem z tobą bardzo, bardzo, bardzo! – wykrzykiwała rytmicznie wkrótce potem. – Lubisz jak... na tobie... hopsam?

Tak – panie redaktorze – zawładnęła mną. Czas zajmowany rozpamiętywaniem naszych kolejnych szaleństw i bezeceństw rozszerzał się. Nie odwiedzałem mego reumatologa mimo nawrotu bólu stawów kolanowych i barkowych. Najgorsze były noce. Niekiedy gimnastykowałem się „na siłę” przed świtem, zasłaniając szczelnie okna, by nikt tego nie podpatrzył. Walka z czasem – partyzantka nocna. I co pan powie – udawało mi się często przewyciężyć zeszywnienia. Ból piekielny ustępował, ja zaś z poczuciem mocy i energii niezwyklej – nie, to był optymizm isticie młodzieńczy – stosowałem ćwiczenia coraz trudniejsze.

– Joanna – mamrotałem w czasie kolejnych wygibasów. – Twój chłopak musi być sprawny.

Każdy przeżywa podobne wygłupy. Tylko wcześniej. Na mnie okres nadziei, pewności posiadania dóbr całego świata, przypadł, kiedy już się nauczył cieszyć własną samotnością.

Objawiło mi się wszystko wynikające z tego, co takie proste i najtrudniejsze zarazem. Nawet boję się wypowiedzieć to słowo. Pełno tego w pojękiwaniach piosenkarzy.

Nastąpiła może miesięczna przerwa w naszych spotkaniach. Joanna uczyła się. Zaliczenia semestralne były blisko. Ja przeszedłem grype, potem czyjś samochód zderzył się z moim maluchem, zaparkowanym pod domem. Masa działań, które – co tu kryć – przychodzi mi wypełniać coraz oporniej.

Córka nie odzywa się. Synowie nie piszą. Czuję nieopisane zmęczenie. Tęsknię za Joanną jakby mniej. Widocznie i to uczucie wymaga energii.

Pojechaliśmy do Lasów Kabackich. Śnieg roziskrzony w promieniach porannego słońca. Cisza. Joanna, cudowna w czerwonej czapeczce, wydała mi się jakaś mizerna.

– Co mi się tak przyglądasz? – zatrzymała się, dotykając śniegowej poduchy na gałęzi.

Zapamiętałem ją w tym ruchu – piękną, uduchowioną.

– Wyglądasz... jakbyś... – szukałem właściwego słowa – ... jakbyś co najmniej przez całą noc szalała.

– Bo tak było – przeciągnęła się. – Kochałam się z jednym facetem. W dodatku starym, miał ze trzydzieści cztery lata, może nawet trzydzieści pięć. No more! – spojrzała na mnie. – Przyrzekliśmy mówić sobie zawsze wszystko szczerze, prawda? Jest w porządku?

– Jasne. Dziękuję – odparłem.

(Nazwisko i adres autora znane redakcji)

## Polak w Paryżu

Jarosławowi Abramow-Nevery

Wyszedłem z przedziału na korytarz i wtedy, sam nie będąc przez niego zauważonym, zobaczyłem go. Stojąc obok wyjątkowo ładnej dziewczyny, zerkał na nią ukradkiem. Początkowo, mimo siwych włosów, wydał mi się prawie nie zmieniony. Czterdzieści lat, jakie upłynęły od naszego poprzedniego spotkania obeszły się z nim ulgowo – pomyślałem. – Po dawnemu wysunięty podbródek, charakterystyczny zarys warg, jakby stale lekko wygiętych pogodnym uśmiechem. Po chwili dopiero, kiedyśmy już usiedli naprzeciw siebie (w jego przedziale poza nim, nie było nikogo), stwierdziłem, że kąciki jego ust nieco opadły i że dzięki temu twarz przejęła od nich wyraz goryczy. Z mojej życiowej zawody – nie miałem złudzeń – też już z pewnością wyczytał. I oto jedno z tych spotkań niespodziewanych. Pociąg pędzi na północ magistralą węglową, a dwaj przyjaciele z czasów studiów w latach czterdziestych, „zaprogramowani przeznaczeniowo” numerami miejscówek w sąsiadujących ze sobą przedziałach, próbują po dziesiątkach lat przebytych z dala od siebie uciec od konwencjonalnej w takich warunkach rozmówki o niczym.

Już ujawniła się, ukryta najgłębiej, narastająca latami, nasza przeraźliwie dojmująca wspólnota przegranej. Już objawił się ostrzejszym sformułowaniem mój sprzeciw wobec zagłębiania się w tego rodzaju tragiczne podsumowania. Od dłuższego czasu zabiegam o własny komfort wewnętrzny, uciekając od wspomnień. Byliśmy obaj aresztowani mniej więcej w tym samym okresie. Czy jeśli dzisiaj dowiemy się, kto nas wtedy sypanął, a kiedy indziej zdradził, uznamy, że łżej nam żyć?

– Andrzej – zwróciłem się do niego po imieniu. (To też był pomost). – Nasze roczniki tłamsi obsesyjny pesymizm. A nie ma pełni szczęścia – strzeliłem wstępny komunałem. – Tobie przynajmniej studia na SGH się przydały, bo stałeś się ważnym handlowcem. Mnie były potrzebne do chrzaniu tarcia!

– Boś się wywinął, bracie, z bzdury udawania, że się handluje. Ciesz się – mój niedysyjszy przyjaciel westchnął. – Pisziesz. Masz problemy, czy ci wychodzi, co chcesz

przekazać światu, ale przez tyle lat byłeś wolny. Chyba, żeś coś napisał pod publiczność czy partię.

– Jakoś Bóg strzegł – zrobiłem skromną minę.

– Miałbym dla ciebie, stary... – Andrzej jakby się zawahał.

– ... Przeżyłem coś nieprawdopodobnego... – spojrzał mi nagle prosto w oczy. – Przecież purytaninem chyba nie jesteś.

– Z tą sprawą czekam na pełnię własnej impotencji – oświadczyłem z powagą. Uśmiechnął się lekko, wyraźnie nieobecny myślami.

– Słowo daję, chciałbym, abyś to napisał! – rzekł z nagłym ożywieniem. Teraz dopiero sprawiał wrażenie rzeczywiście zadowolonego z naszego spotkania.

– I'm all ear – usiadłem wygodniej.

„Jeszcze jedna przekazywana mi co rusz przez kogoś chała jako genialny materiał pisarski” – pomyślałem jednocześnie z rezygnacją.

– Straciliśmy siebie z pola widzenia gdzieś na początku lat pięćdziesiątych – zaczął.

„Prehistoria! Gotów w takim razie opowiadać aż do samej Warszawy!” – przeraziłem się.

– Po roku pracy w Centrali Handlu Zagranicznego – pamiętasz ten koszmarny okres: mordy, gwałty, otwarte zebrania POP dla nas „nieuświadomionych politycznie” – otrzymuję nagle wiadomość, że mam dołączyć do handlowej delegacji, przebywającej w Paryżu. Trzęsienie ziemi, sensacja, plotki oczywiście! Ja – bezpartyjny jadę do paszczy kapitalistycznego lwa. Cel oczywisty i jasny – propaganda. Własnym przykładem mam objawić, jak liberalnie traktowani są w PRL młodzi bezpartyjni i ile mają szans. Na lotnisko odprowadzają mnie najbliżsi. Matka szlochła, jakby pomieszały się jej kierunki mej podróży, przyjaciele bohatersko udają, że mi nie zazdroszczą.

Odrywam się wreszcie od wszystkiego. Dakota z demobilu warczy, rzezi, wspinając się bohatersko ponad cumulusy, bym tylko ja jeden – wybraniec losu – mógł pierwszy raz w życiu doznać uczucia podniebego wyzwolenia. Wreszcie i stolica świata. Lotnisko. Lśniaca posadzka. Mrowie ludzi (różne rasy – obłęd!) kupuje w kolorowych sklepach bajecznie kolorowe towary. Przenikają się zapachy perfum, wina, dobrego tytoniu...

– Andrzej dostrzegł mój mimowolny gest zniecierpliwienia.

– Wiem, że to znasz. Ale chcę podkreślić, co wtedy czułem. Wielobarwne neony mrugają. Niewidoczne głośniki przekazują informacje. Na czarnej taśmie krążą luksusowe – też oczywiście, jak wszystko dookoła – kolorowe walizki. Barwność otaczającego mnie świata właśnie zrobiła na mnie wówczas największe wrażenie. I co tu kryć – czułem się zagubiony, prawie nie istniejący, a jednocześnie przepełniała mnie aż do bólu niemal masochistyczna

radość z własnego odosobnienia, nieziemska frajda, że się w tym wspaniałym miejscu znalazłem.

Niektórzy przybysze z Polski byli oczekiwani. Witali ich elegancy, uśmiechnięci ludzie. Takich uśmiechów w Polsce wówczas się nie widywało, sam rozumiesz.

Kiwnąłem głową. „Tak było, ale cóż z tego wynika? Do tej pory wszystko, co mówi, raczej banalne – pomyślałem. – W dodatku sili się na literackość. No, ale uwertura jest często słabsza od opery”.

– Wystarczyło lotnisko... Odbierałem je, jakbym z ponurej nocy przeniósł się nagle w jasny, rozświecony dzień. Stary, to był szok piorunujący! Rozglądałem się po wszystkim w kompletnym osłupieniu. Wręczono mi w warszawskim biurze adres hoteliku, do którego w myśl instrukcji, miałem dojechać taksówką. Nieważnych jak ja pionków nikt nie oczekiwał. Nazwę i adres handlowej centrali, w której toczyły się negocjacje, już znałem. Zresztą i tak ktoś miał mnie tam podrzucić następnego dnia samochodem.

I, mój kochany, zagubiony w tłumie czekałem na swą walizkę przy sunącej taśmie. Robiąca zawsze wrażenie koncentracja szczególnego czaru stolicy Francji, spotęgowana została tym właśnie, co nastąpiło. Wszystko będzie prawdziwe, tylko... Nie wiem jak zacząć... Zobaczyłem ją. Oczywiście jeszcze nie wiedziałem wtedy, jakie ma imię. Gapiłem się na nią, zerkałem ukradkiem. Podziwiałem tak, jak mały, niepozorny człowieczek podziwia przejeżdżającą karocą królową. Bo była królewska, urzekająca. Może dwadzieścia pięć lat, cudowne nogi, sylwetka. Oczy, tylko raz w życiu takie widziałem, fioleto-woniebieskie. Na jej ramiona spływała kaskada ciemnorudych włosów. Była w obcisłym płaszczyku – wtedy modne były takie opięte – w kolorze lila z futerkiem. Co tu dodać – przeżyłem ten rodzaj wstrząsu, jaki przenika nas, mężczyzn na widok szczególnie cudownego objawienia kobiecości. Niejako z racji nieosiągalności tego zjawiska właśnie. I tak to było. Nieznajoma piękność była cudownie odległa, nieosiągalna. Gdy w pewnym momencie dostrzegłem jej uśmiech – oniemiałem. Zareagowałem chyba jak nieśmiały uczeń stojący przy tablicy, bo obejrzałem się niepewnie, a wówczas uśmiech jak gdyby się pogłębił. Nie – spotęgował się koloryt jej oczu. Te pałające oczy spoglądały na mnie. Zupełnie machinalnie, właściwie nie wiem jakim cudem, podniosłem swą przesuwaną walizkę. Chyba przesunęła się już kilka razy, gdyż pas bagażowy krążył w kółko. Ale przeniosłem swój „dobytek” o parę kroków dalej i sam nie wiem dlaczego, postawiłem na posadzce. Z jakiego powodu udawałem, że oglądam swój bilet, też nie miałem pojęcia. Zachowywałem się – tego byłem świadom – supernienaturalnie. Rozumiesz – bicie serca, jego pulsowanie, czułem w gardle. A przecież – na Boga! – już wtedy nie byłem szczególnie nieśmiały jeśli o kobiety chodzi, stwierdziłem, że

ogarnęła mnie niepewność tak dojmująca, że w ogóle nie wiedziałem, czy się zdołam poruszyć. Byłem jak sparaliżowany. Wtem stało się coś zupełnie nieprawdopodobnego. Piękne zjawisko, cudowna nieznajoma zbliżyła się. Podeszła na dwa kroki. Moje wątpliwości zniknęły. Uśmiechała się do mnie, do małego urzędnika Centrali Handlu Zagranicznego, który wyruszył w swoją pierwszą, światową podróż. Coś powiedziała. Był to francuski, a nie bardzo miałem przygotowane języki obce. He, he, no bo skąd?... Pewnie czułem się w angielskim i ona jakby domyśliła się – przeszła na ten język i zaczęliśmy rozmawiać. Głos miała... był, mój kochany, tak melodyjny, że angielszczyzna płynęła jak – wybacz niewymyślny przykład – jak pachnąca rzeka.

To było tchnienie, ta jej angielszczyzna. Zupełnie bezwolnie szedłem za nieznajomą w kierunku wyjścia. Coś mi mówiła. Wypowiadała jakieś słowa na temat mojej skromnej osoby, że się jej podobam. (Ja, Andrzej podobam się takiej dziewczynie!) To był sen. Trudno mi było sobie wyobrazić, że wszystko dzieje się naprawdę. I oto znalazłem się w jej samochodzie. Wspomniałem, próbowałem jej przekazać, że przyjechałem na konferencję. Pokazałem jej nawet kartkę z adresem hotelu, co wzbudziło w niej wybuch niesłyszanej wesołości. Zaśmiewała się, a ja patrząc w jej oczy, widząc śnieżnobiałe zęby, byłem oczarowany, pochłonięty. Właściwie nie istniałem, i jadąc ulicami tego cudownego miasta, wcale nie widziałem, że jest cudowne. Piękne było, bo byłem z nią. I nie miałem pojęcia, dokąd mnie wiezie. Próbowałem początkowo protestować. Nawet przyszło mi idiotycznie do głowy, że – pamiętasz te czasy – że ona może być kapitalistycznym szpiegiem. Zaproponowałem, że moglibyśmy spotkać się wieczorem, że najpierw powinienem pojechać do hotelu, ale ona odpowiadała tym swoim niesłyszczanym angielskim – takim gardłowym, a jednocześnie dźwięcznym, że *later, later*. I to *later* w przedziwny sposób zabrzmiało jak bardzo logiczny argument – *later*. Jadąc w jej aucie, przypomniałem sobie, ale to było przypomnienie wydobyte z zakamarków pamięci, że tego dnia nic szczególnego, jeśli chodzi o konferencję, nie miało się wydarzyć. A więc byłem wolny. Wolny i... zajęty, podbity, wzięty szturmem przez całą armię wdzięków, przez tak wielkie potęgi, o jakich nie sądziłem, że istnieją. Zupełnie machinalnie kodowałem zewnętrzną – mrowie samochodów, sklepów – zauważyłem tylko pewnym wycinkiem świadomości, że oto zatrzymujemy się, że jest to nieduża uliczka, że dom, do którego bramy wchodzimy, jest stary, secesyjny. Że jedziemy windą na trzecie piętro. Winda była przedziwna. Taką zapamiętałem tylko z hotelu Bristol, w konstrukcji krat się poruszająca. I zatrzymaliśmy się wreszcie przed drzwiami. Nie! To były odrzwia. Portal wysoki, prawie monumentalny. W zwieńczeniu u góry – uśmiechnięty amerek z urwanym uchem. Rzeźbione, ciężkie drzwi otworzyła kluczykiem, maleńką, wąską

dłonią. Weszliśmy. Ja coś plotłem od rzeczy, że zajmuję jej czas, że chętnie przyniosłbym jej kwiaty. A ona śmiała się, że to *later*, jutro. Że będziemy mieli dużo czasu. Pomogła mi zdjąć płaszcz. Znasz ten zachodni sposób przyjmowania gościa. Sama skorzystała z mojej pomocy przy zdejmowaniu własnego. Zobaczyłem jej dekolt, cudowną karnację ramion, śmiało odsłonięte piersi. Przeszliśmy do salonu. Wtedy tego rodzaju wnętrza – wielkie, bo ten salon mógł mieć, nie wiem, z pięćdziesiąt metrów kwadratowych – zrobiło na mnie wrażenie. Rozmawialiśmy. O czym, niech sobie przypomnę, bo to może być dla ciebie ważne. Ona pytała o Polskę. Tak, pytała mnie o Polskę – jak idzie odbudowa, że tyle słyszała o rekonstruowanych zabytkach, o odbudowywanych miastach, Warszawie. Że Warszawa taka dzielna. A ja odpowiadałem, nie śmiać sam pytać o cokolwiek. Piliśmy. Pamiętam, że były jakieś słone ciasteczka, oliwki. Piliśmy whisky. Tak, to była whisky. Ona śmiała się, że pijemy Black Label i czyja znam różnicę. Że Johnnie Walker to tak, a Ballantine's to tak, że to ma taki smak, a tamto inny smak. Przecież nie miałem o niczym pojęcia. Byłem ignorantem wszechdziedzin. Pamiętam tylko jej zapach, zapach jej ciała, który przebijał albo mieszał się z wonią perfum. To było wszystko tak podniecające... Trudno opisać. Mówiłem sobie: „stary, trzymaj się”. I jeszcze jedno: W chwilach napięć, kiedy na przykład przesłuchiwało mnie gestapo, a później UB, naciskałem w dość szczególny sposób wewnętrzną część mego lewego kciuka wskazującym palcem. I tym palcem masowałem to wnętrze kciuka, gdzie jest – wiesz – taka mała chrząstka. To zawsze pomagało mi w chwilach zagrożeń. Tak działo się ze mną od dziecka. Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, robiłem podobnie – wyrwany niespodziewanie do odpowiedzi w szkole, wykonywałem ten przedziwny masaż. Chrząstka przeskakiwała pod naciskiem palca i to jak gdyby pomagało. Przy niej nie pomogło.

Niebawem, mój drogi, zaczęły się misteria miłosne. Początkowo uczestniczyłem w nich jak potulny, zawstydzony uczeń. Sam nie wiem kiedy, znaleźliśmy się w sypialni, i kiedy zobaczyłem największe łóżko, najszersze łóżko i najokazalsze łóżko, jakie widziałem kiedykolwiek w życiu. I na tym łóżku ujrzałem wkrótce ją, bo wróciła z łazienki i położyła się bezwstydnie. Wskazała mi łazienkę, że mam tam pójść, albo zresztą mogę zrobić, co zechcę. Więc już po chwili zacząłem ją, mój drogi, jakoś nieśmiało całować, dotykać. I niebawem już się to z nami działo. Objawiło się tak potężnie, że całe moje zmęczenie – wtedy myślałem, czy sprodam, rozumiesz prawda? W tych napięciach, wszystko było możliwe – ale... stanąłem na wysokości zadania. Słowa okazały się zbędne. Jęczała, kiedy się z nią kochałem. Krzyczała coś i ja krzyczałem... (Chyba cię nie gorszę. Jeśli tak, to powiedz).

Zaprzeciłem gestem. „Ciągłe nic z tego nie wynika – przeszło im przez głowę. – Opowieść, jakich wiele. No, może zresztą zderzenie, bo to w gruncie rzeczy jest zderzenie

dwóch światów, i można by od biedy uznać je za odrobinę perwersyjne”.

– Zaklinałem, że ją kocham – mój dawny przyjaciel ciągnął swą opowieść, zwróciwszy się w stronę okna. – Nasze oświadczenia nie miały zresztą znaczenia większego, niż kabalistyczne zaklęcia wypowiedane przez szamanów. Wiedziałem, że to miłość, że zaczynało się największe uczucie mojego życia. Wszystko przestało być ważne. Spadliśmy, zsunęliśmy się z łóżka na miękkie, puszyste dywan. Pograżeni w bezwstydzie, całowaliśmy się – stary, muszę ci teraz powiedzieć wszystko, ale nie pisz tego – całowaliśmy się perwersyjnie, wszędzie, doprowadzali do rozkoszy co chwilę innych. Przechodziłem samego siebie. Instynkt podsuwał mi coraz to nowe, wymyślne sztuczki. Właściwie, to od pewnej chwili chciałem ją unicestwić – będziesz się ze mnie śmiał – pragnąłem zatryumfować nad wszystkim tym wspaniałym, potężnym, pięknym, czego ona była częścią – zdominować to moją zwykłą, czerstwą jurnością. Pamiętam, że wypowiadałem sobie w myślach jakieś szalone zaklęcia: żebym się nie dał, żebym pokazał jej klasę. Zresztą nie wiem, czy tak to się działo. Może było ładniej, może brzydziej. Dotarło do mnie, że o coś pyta. Krzyczała nieprzytomnie. (Teraz będziesz miał ubaw). Więc krzyczała: – Mów mi, jak kochasz swój kraj? – A ja odpowiadałem z patosem, że kocham swój kraj ojczysty nad życie.

– A jak się nazywa twój kraj? – wykrzykiwała z wysiłkiem (w trakcie – wiesz czego), a ja odpowiadałem: – Mój kraj, to Polska moja umiłowana! – świadom, że brzmi to śmiesznie, idiotycznie. Ale przecież nic nie było ważne.

– A czy komunizm też kochasz?... Mów! Możesz mi ufać. Nie jestem szpiegiem! – wszystko działo się w czasie miłosnych uniesień, więc brałem to za jakiś tajemny jej sposób ekscytowania samej siebie. – Komunizmu nie kocham! Ciebie kocham! I chcesz wrócić do swojej Polski szalonej? Chcę wrócić do swojej Polski szalonej! A może zostaniesz ze mną? Tak, zostanę z tobą – odkrzykiwałem. Przestałem rozumieć znaczenie słów, mój drogi, bo rozkosz – to było nieprawdopodobne – trwała nieprzerwanie. Zapach tej dziewczyny jej soki organiczne mieszały się z moimi. Co pewien czas padaliśmy obok siebie, dysząc jak po ciężkim biegu. To była walka, zmagania dwóch młodych ciał. Myślę, że rozumiesz wszystko, czego nie potrafię opowiedzieć. Po prostu nie umiem, bo tego się nie da zamknąć w słowach. Wtedy byłem świadom, że zdarzyło się nam obojgu coś najwspanialszego. Kiedy widziałem jej oszalałe z rozkoszy oczy, pragnąłem jej znowu, chociaż przed chwilą wydawało mi się, że już absolutnie nie zdołam się z nią kochać po raz któryś z rzędu. I wracało. Znowu. I znowu. Nadzy jedliśmy potem obiad, a może podwieczorek. Byliśmy oboje bardzo głodni. Ona przyniosła tacę. Zdziwiło mnie trochę, że tak szybko taca była pełna wspaniałości, o jakich mi się nawet nie śniło. Pytała mnie, czy jadłem już to czy tamto. Odpowiadałem szczerze, jak



było naprawdę: nie jadłem nigdy, a nawet nie widziałem. Wówczas się śmiała i perły – to znowu banał – perły jej zębów objawiały się w całej urodzie. I raz jeszcze musiałem ją całować i odkładaliśmy tacę i wszystko znowu stawało się nieważne.

Wyszedłem wcześniej rano. Wyrysowała mi mapę, jak mam jechać lub iść pieszo do swego hotelu, a także do centrali handlowej, gdzie później byłem oczekiwany. I cóż tu powiedzieć – z hotelu zabrano mnie, według umowy, samochodem. Zjawiłem się więc na konferencji i po kilku mocnych cappuccino, byłem w stanie coś mówić. Cały pachniałem nią – rozumiesz – cały byłem nią przesiąknięty i tylko spotkania z nią wyczekiwałem. O niej myślałem. Machinalnie zabierałem głos, uczestniczyłem w jakimś cocktailu. Zawieziono mnie do hotelu, wyrażając przy tym zdziwienie, że tak późno przyjechałem i od razu do niego trafiłem. Próbowałem coś tłumaczyć, ale na niczym mi nie zależało. Wymówiłem się od uczestniczenia w wieczornym przyjęciu w ministerstwie, tłumacząc się zmęczeniem. Jedynym moim pragnieniem było zobaczenie Nicole, jak najszybciej. Wziąłem taksówkę i już wkrótce podjechałem pod jej dom przy ulicy Raynouard sto sześćdziesiąt dziewięć. Nie wiem, jak szybko przebiegłem susami na trzecie piętro (winda sunęła właśnie wolno pod górę). Z łomotem serca nacisnąłem dzwonek u jej drzwi. Czekałem dość długo i coś mnie zaniepokoiło. Pamiętam – zagościł we mnie, ogarnął mnie całego lęk jakiś przenikliwy. Zupełnie jakby coś dźgnęło mnie prosto w serce. Zamarłem i pełen złych przeczuć nasłuchiwałem. Kroki wydały mi się ciężkie. Ktoś szedł w przedpokoju. Drzwi otworzyły się raptownie i wtem dojrzałem nieznanego mężczyznę – mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat.

– Pan do kogo? – zapytał.

Zrozumiałem i odparłem, podając nawet nazwisko Nicole, że do niej przyszedłem. Oczy nieznanego stały się pełne niechęci a może zdziwienia.

– Taka tutaj nie mieszka.

– Niemożliwe! – wybąkałem. – Przecież... przecież byłem tu wczoraj.

– Jakim cudem mógł pan tu być wczoraj – powiedział przechodząc na niemiecki. – My mieszkamy tutaj – odwrócił się i wykrzyknął czyjeś imię, chyba – Sophie!

Wkrótce obok niego stanęła niemłoda już kobieta, patrząc na mnie badawczo. Trudno mi opisać, co wtedy czułem. Właściwie to ogarnęło mnie przerażenie. To było zdumienie prawie metafizyczne i lęk zarazem. Odepchnąłem ich oboje – coś wykrzyknęli piskliwymi głosami – i wszedłem do wnętrza. Było takie samo. To znaczy ściany stały na swoich miejscach, choć mógłbym przysiąc, że się kołyszają – ale meble były inne. Rozejrzałem się i wpadłem do salonu. Był umeblowany zupełnie inaczej. Antyki, jakie zapamiętałem, zostały zastąpione mieszczańskimi meblami międzywojennymi z wielkim stołem na środku pokoju, brzydkim

żyrandolem i jeszcze straszliwszym, podobnym do ciemnego ołtarza kredensem. „Boże, co się stało? – pomyślałem. – Boże miłosierny, gdzie jest Nicole? Gdzie ja jestem?”. Odwróciłem się i zobaczyłem, że nieznajoma para obserwuje mnie z tak bezmiernym zdumieniem, że – przyznaję – na ułamek sekundy zwątpiłem we własną pewność.

– Proszę pana, kogo pan właściwie szuka? – powiedziała siwa kobieta.

– Pokazałem przecież państwu imię i nazwisko.

– Taka tu nie mieszka. Nigdy tutaj tej pani nie było. Może pan pomylił piętra. Może to było piętro wyżej. Ale przecież piętro wyżej też taka nie mieszka. Ani piętro wyżej, ani pod nami. Tu, w tym domu, nikt taki nie mieszka – powiedział mężczyzna tonem, w jakim uprzejmy facet odpowiada na pytanie niezbyt rozgarniętego przechodnia.

– Ale proszę państwa, ja tu byłem! Wczoraj! Tej nocy tu byłem!

– Niemożliwe. – Teraz już spoglądali na mnie oboje jak na wariata. – Coś się panu musiało pomylić. Może pan pomylił ulicę?

– Wykluczone! – ogarniała mnie złość. – Przecież państwo widzą, adres jest ten sam – wskazałem kartkę. – Szesnasta dzielnica. Rue Raynouard sto sześćdziesiąt dziewięć, zgadza się?

– To się zgadza.

– No to przecież ja tutaj byłem... – z uporem wracałem do tego samego. Wtem błysk przypomnienia. Cofnąłem się na korytarz. Kamienny amorek nad drzwiami miał urwane ucho.

Teraz bez słowa wpatrywałem się w dwie starawe twarze obserwującej mnie pary. Ogarniało mnie wspinające się jak gdyby coraz wyżej i wyżej zwątpienie pomieszane z dojmującym poczuciem własnej bezsilności i niemocy. Nogi moje zdawały się ważyć tonę. Świat stał się dziwnie szary i nijaki. Nie byłem już w stanie walczyć, a nawet wypowiedzieć słowa. Skłoniłem się, bąknąłem coś i wyszedłem. I myślisz może, że wyszedłem z domu? Nie. Powlokłem się piętro wyżej. Zadzwoiłem. Otworzyła mi młoda pokojówka. Wnętrze za jej plecami było inne – ściany różowe, wielkie tremo – więc tylko coś powiedziałem przepraszająco i zjechałem piętro niżej. To znaczy – żebyś zrozumiał – znalazłem się teraz na drugim piętrze, bo przedtem byłem na czwartym, a Nicole mieszkała na trzecim. Boże, czy ona mieszkała! Nie, stary, na drugim piętrze objawili mi się też, jacyś nieznajomi ludzie, którzy oczywiście o Nicole w ogóle nigdy nie słyszeli.

Wyszedłem. Cóż było robić? Stałem jeszcze przed tą kamienicą, rozejrzałem się jak gdyby w nadziei, że Nicole mi pomoże i wiesz, może to ci się wyda śmieszne, my Polacy w chwilach zamętu tak się zachowujemy – zacząłem się w duchu modlić, nieskładnie

wypowiadać zaklęcia i prośby, aby dobry Pan Bóg sprawił, żeby Nicole się zjawiała, żeby zrobił wszystko i zamienił ten koszmar w to, co było poprzednio, to znaczy w szczęście, jakiego do ubiegłego dnia nigdy nie zaznałem.

I tak, mój drogi, ja, który przecież miałem przed Nicole różne kobiety, a więc jakieś tam doświadczenie, uświadomiłem sobie, że tylko na tę dziewczynę czekałem, że wydarzenie z ubiegłego dnia potwierdziło nasze – jak to określić? – nasze przypisane sobie wzajem powiązanie, ukryte poza tym, co się działo tak fizycznie, a może przeznaczenie. Brzmi to strasznie banalnie, wiem. Historie miłosne właściwie najtrudniej opowiadać. Wszystkie prawie zawierają w przekazie te same, jak ty to może nazwiesz zawodowo, elementy.

– Ale są różne, jasne – zdecydowałem się go podeprzeć. – Ja też przeżyłem coś podobnego.

– Ty naprawdę myślisz, że to już koniec mojej opowieści? – Andrzej wpatrywał się we mnie z osobliwym natężeniem. – Są, bracie, wydarzenia, o jakich nie śniło się prorokom.

– Pomyliłeś jednak ulice. Inny amerek nad innymi drzwiami miał też urwane ucho – próbowałem się domyśleć na wesoło.

– Logika nieraz zawodzi – Andrzej nie dał się rozśmieszyć. – W czasie całego pobytu, prawie codziennie przychodziłem pod ten dom. Sterczałem jak głupi, czekając nie wiadomo na co. Beznadzieja. Już o nic nikogo nie pytałem. Pamiętam tylko, że podjeżdżałem taksówkami i wszystkie moje mizerne diety poszły na te eskapady. Syndrom metafizyczny. Obserwowałem dom, sam będąc obserwowany zza firanek przez jego mieszkańców. Na trzecim piętrze wyraźnie widziałem dwie postacie, a więc Nicole tam nie było.

– Nasłano ją na ciebie przez Intelligence Service?

Mój przyjaciel wzruszył ramionami.

– Jest to najszczerze w moim życiu przyznanie się do własnej śmieszności – rzekł po chwili. – Mogę dalej?

Skinąłem głową.

– Moja opowieść wydaje ci się do tej pory osobliwa z racji tajemniczego przetworzenia scenerii, w jakiej toczyła się akcja. Bo że dom był ten sam, nie ulegało wątpliwości. Miejmy nadzieję, że to materiał do napisania.

– Nie ma pointy – wtrąciłem.

– Poczekaj! – Andrzej zaplótł palce swych dłoni. – Uplęnęło masę, masę lat. Tych naszych lat z Bierutem, Gomułą, z przelewami krwi, z eksmisją Żydów, bzdurną walką z syjonizmem, polowaniami na stonkę, z tymi akcjami zasadzania drzewek, w tym przygnębieniu, w jakim się trwało udając stabilizację. Potem Gierek, ja temu Gierkowi

uwierzyłem i wstąpiłem do partii, wierząc, że coś zdziałam dla kraju. Gierek – nowatorski Europejczyk, który będzie wiedział, jak pokierować ekonomią. Miałem złudzenie, że jest lepiej. Potem widziałem, że dzieje się coraz gorzej. I – mój drogi – to chyba było przy końcu tych naszych szamotań, kiedy już na horyzoncie widać było wzbierającą siłę protestu. Wtedy właśnie ja – kierownik działu – miałem załatać jakąś dziurę w źle czy też niekorzystnie, zdaniem naszego ministerstwa, przygotowywanej umowie handlowej z RFN-em. Któś tam moja rutynowa podróż do tego kraju. Tym razem do Frankfurtu nad Menem. Miałem już wówczas na swym koncie sporo eskapad po całym świecie. Szczerze mówiąc, wołałem wypady na Daleki Wschód, egzotykę. Niemcy, to był banał. No, więc przyleciałem. Znane dobrze miasto, konferencja, moje wystąpienie. Rausz po wieczornym przyjęciu. Moja wnuczka marzyła o domku dla Barbie. Wnuk o prawdziwym, tropikalnym hełmie. Kupiłem to wszystko, plus prezent dla żony. Frankfurt wieczorem tętni życiem. Chodziłem po tym mieście, oglądałem wystawy, próbowałem kupić coś szczególnie ładnego pewnej, młodej damie z Krakowa. Zwyczajność – zwyczajowość, jak wolisz. Od zarania dziejów my, Polacy „na delegacji” zachowujemy się właśnie w ten sposób. I kiedy tak chodziłem ulicami, jedno z mijanych kin wyświetlających filmy erotyczne wydało mi się, nie wiem już dziś dlaczego, bardziej interesujące od innych. „Zgrzeszę – pomyślałem wchodząc. – Dziadek też powinien mieć rozrywkę”. Zdziwiła mnie niska cena biletu. Niewielka salka wypełniona była widzami może w jednej trzeciej. Kończył się właśnie film o dwóch lesbijkach. Kopia stara, wytarta. Zaczął się inny, równie zniszczony, o bokserze – impotencie od czasu fatalnego w skutkach ciosu, jaki zainkasował na ringu. Byłego mistrza starały się wyleczyć dwie panienki. Każda z nich z osobna, ale także obie jednocześnie robiły wszystko, aby bokser impotentem być przestał i to jak najszybciej. No i jakoś tak się to wszystko rozwijało, że on absolutnie nie mógł się wzmocnić na tyle, ażeby wychędożyć którąś z tych pięknych dziewcząt. Dopiero znalazł miłość i na brzegu morza, dzięki uczuciu i rekordowej aktywności trzeciej panienki, obudził się w nim wreszcie prawdziwy mężczyzna. Film się skończył i momentalnie wchodził film następny. Szedłem już ku wyjściu. Czołówka z napisami kolejnego filmu zniszczona była jeszcze bardziej. Zrozumiałem, że bilet do tego przybytku był tak tani, ponieważ wyświetlano tu wyłącznie stareńkie filmy – dla koneserów chyba. Wzrok mam już zbyt słaby na tego rodzaju wyrafinowania. Chyba tylko krok dzielił mnie od kotary zasłaniającej drzwi z czerwono podświetlonym napisem *Ausgang*, gdy zwrócił moją uwagę tytuł zaczynającego się właśnie filmiku *A Pole In Paris*. „Spadkobiercy Gershwinia powinni wytoczyć proces producentom” – pomyślałem przysiadłszy na poręczu krzesła. W tym samym momencie rąbnęło mnie. Zupełnie jakby zatrzęsła się ziemia. Znieruchomiałem. Trudno mi będzie

określić ten szok. Zobaczyłem, mój kochany, samego siebie i sypialnię, i Nicole! A usłyszałem... – stary, to było przerażające – wszystko, co mówiliśmy, szło w całości, opatrzone w dodatku subtitles z napisami niemieckimi. Spociłem się. W jednej chwili byłem mokry i ogarnęło mnie jakieś cholerne drżenie. He, he, już się teraz w naszym wieku rozklejamy łatwiej. Co ja się tu staram przed tobą udawać? Teraz finał. Zsuwam się w to krzesło, rozumiesz, a wszystko, co się działo, nasza miłość. „Miłość”... – wielkie słowo. Więc nasza erotyka, nasze uprawianie miłości, rozwija się przede mną. Zdumienie, wstyd piekielny, złość. Film odebrałem jak reanimację. Okazało się... Wspominałem w ciągu tych lat tamtą sprawę, ale w tym kinie szmatławym okazało się, objawiło niespodziewanie, że ja... Psiakrew, nosiłem to wspomnienie po prostu jakoś... głęboko. A zobaczyłem oto trywialny obraz, zrobiony pod publiczność – tę, mówiąc łagodnie, najmniej wymagającą. Z bólem wszystkiego, co się na mnie składa, z piekącym wstydem, a nawet chyba z rozpaczą, oglądałem wyszydzenie moich miłosnych uniesień – prawdziwych, rozumiesz, młodzieńczych. Wszystko zostało sfilmowane przemyślnie i dokładnie z jakiejś ukrytej kamery, a może kilku kamer nawet. Nie wiem, jak oni potrafili to zrobić. Rzeczywiście było tam jasno. Przypomniałem sobie, że Nicole, mimo moich próśb, nie chciała zgasić światła. „Chcę cię widzieć” – mówiła. I wszystko stało się dla mnie oczywiste. A w ciągu tych lat miałem taką nadzieję... Musisz zrozumieć, że tamto przeżycie stało się dla mnie czymś w rodzaju snu, bajki, nieprawdy i prawdy jednocześnie. Radości tkwiącej we mnie gdzieś głęboko, że ta najwspanialsza dziewczyna mego życia, wyczuła we mnie jakieś cechy męskie, samcze, jakąś indywidualność, która sprawiła, że zdecydowała się na to szaleństwo. A tymczasem, wszystko okazało się... – no sam wiesz – zaplanowaną dla forsy inscenizacją. Polowaniem na naiwniaka, który przyleciał z demoludów. I opowiedziałem ci tę historię także dlatego, że ten jej finał frankfurcki mógł cię zaciekać, a ponadto dziewczyna, która przed chwilą stała w korytarzu naszego wagonu, bardzo jest podobna do Nicole.

I cóż, tak bywa w świecie – mój drogi – zostałem aktorem.

## Echo

Januszowi Krasińskiemu

Błysk. Tapnięcie. To było jak nagła iluminacja. Modne słowo, a cała sprawa raczej niemodna, niewspółczesna. Wszystko w moim życiu zdaje się łączyć jakąś przedziwną kłamrą, przenikać, tworzyć odbicie odległych wydarzeń. Widziałem niedawno w telewizji kreskówkę, film rysunkowy, który zainteresował mnie bardziej, aniżeli najlepszy nawet fabularny z racji swej wielowymiarowości, próby zaznaczenia nie tylko korozji nanoszonej przez czas, ale również przenikania się ludzkich myśli, doznań i skojarzeń.

W napisanej przed wieloma laty powieści *Lekcja gimnastyki* spróbowałem na iluś tam stronicach przekazać takie właśnie odczucia. Przecież wszyscy co wrażliwi przeżywają zawsze wielopiętrowo to, co staje się ich udziałem. Aktualność posiada dla nich odniesienie do przeszłości. Podświadome, obsesyjne niekiedy – różne.

Kreskówka, o której mówię (film znakomity), pokazywała na przykład sceny bajkowe, a więc coś w rodzaju historii Kopciuszka, miłości króla do biednej dziewczyny, romantyczne uczucie, wreszcie usankcjonowane szczęście – sukces. Stary król wyraża zgodę na ślub. Zakochana para za stołem. Cały dwór się weseli, boć to właśnie biesiada weselna. I opowieść toczy się banalnie, gdyby nie to, że wszystkim obrazom towarzyszy jak gdyby drugi, podskórny nurt narracji, mistrzowsko przez autora filmu objawiony proces przemijania, starzenia się. Niebywałe! Ludzie występujący w filmie, postacie stworzone rozedrganą, jak u Feliksa Topolskiego, kreską, są jednocześnie co jakiś czas tą samą kreską zaznaczeni jako... starsi, starzy, zgrzybiali. Sygnał *momento mori* towarzyszy promiennej, młodej parze od początku. Nawet partnerzy bohaterów kreskówki, nawet zwierzęta, podlegają tym samym prawom. Równocześnie z ich ruchliwością, szczenięcnością widać co jakiś czas starczą nieporadność, odchodzenie z grona żywych.

Czy uda mi się, jako pisarzowi, osiągnąć kiedyś podobną zdolność wielowymiarowego zwielokrotnienia wrażeń zmysłowych czy też refleksji towarzyszących każdej ludzkiej akcji. Owej wielotorowości asocjacji, stającej się, choćby wbrew woli, udziałem każdego homo sapiens czy to w trakcie oglądania sztuk teatralnych, filmów, reportaży, uczestniczenia w

szczęściu lub nieszczęściu, w chwilach miłosnych uniesień, czy też w chorobie i lęku o własną egzystencję. Porównujemy nieustannie to, co jest z tym, co było. W miarę upływu lat i starzenia się działanie tego rodzaju staje się dla nas coraz boleśniejsze, gdyż punkty odniesienia dotyczą wprawdzie nas w przeszłości, lecz nas – innych, radosnych niegdyś własną naiwnością.

Wstrząs, o którym wspomniałem na wstępie, owa iluminacja, błysk oślepiający, towarzyszył metafizycznemu niemal doznaniu.

Zacząć chyba muszę od stworzenia swoistego przyczółka, żeby użyć terminu strategii wojskowej, na którym dopiero zbuduje pierwsze przęsło mostu wiodącego do współczesności najbliższej: Trwa wojna. Sosnowiec. Niechaj to będzie, po trosze, zapisem kronikarskim. W tym mieście przeżyłem bardzo wiele. Nie istnieją już moi najbliżsi, odeszli przyjaciele z tamtego okresu. Nie tak dawno temu pożegnałem ostatniego z nich – aktora Henryka Czyża. Rodzinne miasto stałoby się dla mnie bezosobowe i reliktem przeszłości jedynie, gdyby nie spotkania autorskie, na które jestem niekiedy zapraszany. Teatr Zagłębia zrobił mi także przyjemność uroczystą premierą sztuki *Masz ochotę na miłość?* na czterdziestolecie mojej pracy dla teatru. Nic groźniejszego niż wspomnianie własnych rocznic. Megalomania. Istotne dla tej opowieści, że jest rok 1944. Okupacja. Ojciec mój ukrywa się przed gestapo. Ja działam w konspiracji, pracując jednocześnie w kopalni Miłowice. Moja wspañiała matka robi wszystko, aby – jak to nazwać – nasza trojosobowa „komórka społeczna” przetrwała straszliwe czasy. I oto zakochuj się. Najniespodziewaniej wybucha moja miłość i dostaję się od RAZU we władanie żywiołów, o istnieniu których – ja, prawie nieświadomiony kalikujący przy organach członek kościelnego chóru – nie miałem do owego czasu pojęcia.

Po dziś dzień nie pojmuję, co sprawiło, że piękna Danusia – córka miejscowego dentysty, starsza ode mnie o dwa lata, spośród tak wielu adorujących ją (dzisiaj się mówi: „podrywających”), wybrała właśnie mnie, w owym czasie zakompleksionego chudeusza, w dodatku nie odznaczającego się żadnymi walorami, jakie dla jej płci mogłyby stanowić o tak zwanym „wzięciu”. Dookoła mordy, przemoc, rozpacz, a oto dzieje się coś niewyraźalnie pięknego. Nieosiągalna, cudowna dziewczyna, uwodzona bezskutecznie przez wszystkich moich kolegów, najpierw zwraca na mnie jak gdyby baczniejszą uwagę, a w końcu zdaje się moje szaleńcze uczucie, poryw pełen niepewności odwzajemniać. Wydarzenia, o jakich tu wspominał, mieszczą się dzisiaj dla mnie na granicy snu. Przywołuję wspomnienia stanów dramatycznych napięć, w jakich wszystko się działo. Nastroje podległe były najprzeróżniejszym wahnięciom wiadomości z frontów. Ja i mój oddziałek Armii Krajowej zastanawialiśmy się nad planem wyruszenia na północ, w celu wspomnienia walczącej

Warszawy. Wszystko powiązane z tym, co najważniejsze (miałem wtedy siedemnaście lat), co w życiu człowieka stanowi wagę największą. Nienawiść do okupanta, miłość do cudownej dziewczyny, uczucie w dodatku odwzajemnione i dzięki temu chyba nadzieja, że uda mi się pokonać najgorsze.

W owym czasie, działając jako łącznik organizacji, często wyjeżdżałem z tak zwanego Warthegau, gdzie leżał Sosnowiec, na teren Reichu. Z Katowic udawałem się pociągiem do Żywca. Później rowerem w rejon Krzyżowej, Korbielowa, a nade wszystko Jeleśni. W tej miejscowości miałem kontakty, które cechowała dwoistość. Były to bowiem związki organizacyjne, a zarazem... handlowe. Nigdy nie zapomnę pomocy, jaką objawił mi wtedy mój jeleśniański kolega Genek Urbańczyk, syn miejscowego piekarza. Wracając do głodującego Sosnowca z najprzeróżniejszymi towarami, lecz odcięte kupony kartek na dziesiątki kilogramów chleba, jakie przemycałem w butach, zawdzięczałem Genkowi. Później, tym razem sosnowiecki piekarz, pan Krężel odbierał ode mnie i dawał mi za te kupony pieniądze albo chleb. Ten z kolei zamieniałem na inne produkty. Pracując w kopalni Milowice, miałem przyjazne kontakty z jeńcami miejscowego Stalagu – w większości Brytyjczykami. A więc zamieniało się chleb na czekoladę, konserwy, odżywki – wszystko, co było potrzebne. Moje działania w tym okresie, to szkolenie wojskowe, jakiemu podlegałem wraz ze swą akowską piątką, ciężka praca w kopalni, wyjazdy przemycniczo-organizacyjne, handlowanie oraz uczestniczenie w spotkaniach artystycznych, organizowanych przez byłą śpiewaczkę, profesor Horbaczewską w jej mieszkaniu. Był to swoisty zamknięty syndrom tych wszystkich aktywności, toczących się jednocześnie. Przejmowało się na granicy z Gubernią prototypy broni, która miała być produkowana w Zagłębiu. Przemycano się w Beskidy jeńców wojennych, skąd nieznanymi sposobami i drogami mieli zostać przerzuceni dalej, przywoziło się żywność, kartki na chleb, wiadomości z nasłuchów. Trudne to jest dzisiaj do zrozumienia, ale tak było. Jednocześnie. Rodzice mojej umiłowanej mieszkali w samym centrum Sosnowca, w wielkiej kamienicy. Tuż obok znajdował się dom zajęty przez wyższych rangą niemieckich oficerów. Były w nim także jakieś biura i coś w rodzaju hotelu. Stał on tak blisko, że aby wejść do kamienicy, w której mieszkała Danusia, należało najpierw wyminąć stojących przy bramie na straży dwóch esesmanów. Graniczy to z cudem, lecz wartownicy nigdy mnie o nic nie zapytali, nie mówiąc już o wylegitymowaniu czy też przeprowadzeniu rewizji, a przemycałem sporo. Chyba po prostu do głowy im nie przyszło, że mogę tak idiotycznie ryzykować. Powstał swoisty rytuał: stojący na straży obrzucali mnie badawczym spojrzeniem, ja przechodziłem pomiędzy nimi, bardzo często wnosząc towary dla rodziców Danusi. (Niezbyt wysoko cenię dzisiaj, po latach, merkantylne wykorzystywanie



przez nich mojego szczenięcego uczucia). Wtedy nonszalancko targając przez bramę przywieziony z Żywca cukier, mięso lub mąkę, byłem szczęśliwy, mogąc ochoczo postawić wszystko na jedną kartę, zaryzykować życiem, bo w zamian otrzymywałem... To nie tak. Jak bardzo trzeba uważać na słowa. Jeśli chodzi o Danusię, nic nie było „w zamian”. Płonęliśmy oboje. Nie pamiętam już, kiedy romantyczny poryw przetworzył się, przeniósł nas w istną otchłań namiętności. Pożądaliśmy siebie obłędnie, w każdej chwili. Wystarczył dotyk dłoni, słowa jakoś szczególnie wypowiedziane. Niewiarygodne – wiem – ale czasem kochaliśmy się (ona siedziała na krześle lub w fotelu, jak klęczałem) w pokoju sąsiadującym z gabinetem ojca Danusi. Docierał do nas warkot dentystycznej wiertarki. Niekiedy okrzyki bólu czy jęki mieszały się z naszymi. Zdarzyło się też kilkakrotnie – to już zupełnie nieprawdopodobne, lecz prawda absolutna – że doktor czytający „Volkischer Beobachter” w swym gabinecie, wymieniał ze mną uwagi na temat kłamliwych doniesień z frontu, podczas gdy my oboje... Perwersja? Szaleństwo? Dlaczego dokonywało się to nieraz w taki właśnie ryzykancki sposób?

Nie pojmuję dzisiaj wielu moich działań z przeszłości. Wszak w sytuacjach o nieporównywalnej dramaturgii do miłosnych zbliżeń z Danusią, też ryzykując szaleńczo, niezliczoną ilość razy cudem unikałem śmierci. A może pan dentysta i jego żona o wszystkim wiedzieli? Okazywali mi przecież oboje sympatię i coś w rodzaju rodzinnej akceptacji. A więc mogłem pić herbatę (zdobytą przeze mnie od jeńców) z samym panem doktorem, gawędzić miło z matką Danusi. Zjawiałem się w ich mieszczańskim gniazdku jako – wtedy sądziłem – przyjaciel domu, zaszczytany sympatią, o wiele za młody jak na męża oczywiście, lecz tolerowany w charakterze zakochanego młokosa w pięknej córce nie najgorzej jak na wojnę prosperującego, miejscowego stomatologa.

Racjonalnie rzecz biorąc – dla mnie górnika wówczas – odznaczającego się nie dającymi się wyszorować, czarnymi obwódkami paznokci, wszystko co przeżywałem z Danusią, jej świat także – dodawało mi wiary we własne siły, mówiąc współcześnie – dowartościowywało.

Niekiedy trudno mi było uwierzyć w najprzedziwniejsze doznania, jakie dzięki tej dziewczynie przeżywałem. Nasze wyrafinowanie rosło harmonijnie z uczuciem szczęścia, że się żyje, że przetrzymało się chyba najgorsze, bo już widać było i słyszać, że Trzecia Rzesza trzeszczy w posadach, że coś przekręca się, że mimo tragicznych wieści z Warszawy – my w naszej akowskiej piątce, dzięki radiu ukrytemu w mieszkaniu Andrzeja Fabrycego, informowani byliśmy na bieżąco – a więc, że coś przekręca się wreszcie nieodwracalnie.

Na tym właściwie kończy się tworzenie przyczółka, części w jakimś stopniu

prehistorycznej całego wydarzenia. Bo cóż tu dodać – były to lata klarownej koncentracji wszystkiego – śmierci z życiem, miłości z nienawiścią, rozpacz z nadzieją. Ginęli sosnowieccy Żydzi w getcie na Środuli (pisałem o tym w *Trojgu znad Czarnej Rzeki*), wieszano lub rozstrzeliwano członków ruchu oporu. W Oświęcimiu i w ZSRR zakatowano kilku moich bliskich. Były to wydarzenia straszliwe, a tuż obok tego wszystkiego, obojętna na śmierć, walcząca z nią, nasza miłość młodzieńcza, pożądanie obłądne.

I jak tu zbudować następne przeszło? Nie będzie mostu. Przeskoczę na drugi brzeg. Przesadzę jednym susem te wszystkie lata – dla mojego pokolenia wciąż „powojenne”. Ani słowa o czasach złudzeń, odbudowy, podłości czy nadziei! Upłynęło ich wiele. Wspomniane błysk, katharsis, zwieńczenie wydarzeń dokonało się nie tak dawno temu. Tutaj ekspozycja jest prosta. Przeprowadziłem się do starego domu, na rogu Rozbrat i Śniegockiej, z żoną (w czasach mojej miłości z Danusią uczyła się dopiero chodzić) i z córką (dla której funkcję wojny i przeżyć batalistycznych – nieraz dochodzę do wniosku, że nieodzownych w naszym kraju – spełnił stan wojenny). Cała dzielnica wokół stanowiła swoistą enklawę tej Warszawy, która jakoś przetrwała. To nic, że okoliczne domy były pokiereszowane odpryskami szrapneli czy też seriami karabinów maszynowych, zaznaczone połaciami świeższych murów, którymi zastąpiono niegdysiejsze, rozerwane bombami. Generalnie biorąc, z racji solidności budynków, ta część warszawskiego Powiśla ostała się jako „przedwojenna” i jako zestaw architektonicznych rekwizytów wykorzystywana jest przez najróżniejsze ekipy filmowe do realizowania obrazów głównie batalistycznych i obyczajowych. Któż to filmował już w tym rejonie od dnia naszego wprowadzenia się! – i Amerykanie, i Brytyjczycy, i Polacy oczywiście.

Tuż po przeniesieniu się w nowe miejsce, o tym wszystkim nie wiedziałem. Żyliśmy we trójkę obszerniejszym niż poprzednie wnętrzem oraz kapitalnym remontem, dokonywanym – o zgrozo! – w czasie naszej, tak zwanej fizycznej w tym locum obecności. A więc kurz, bałagan, niesłowność zmieniających się ekip elektryków, hydraulików i murarzy. Byliśmy u kresu sił. Ostatnia faza prac murarskich wreszcie nadeszła.

Tego właśnie wieczora miała się ta orgia zakończyć. Z jakiegoś posiedzenia wróciłem – pamiętam – późno, podjechałem samochodem pod dom, lecz nie było mowy o zaparkowaniu w zwykłym miejscu. Dwaj milicjanci powiadomili mnie, że z racji kręcenia filmu kilka ulic zostało nie tylko zamkniętych dla ruchu, lecz że wszystkie auta muszą odjechać i zaparkować daleko, poza polem widzenia. Miejsce parkingu mi wskazano. Zmierzając w kierunku wejścia do domu minąłem oddziały esesmanów, stojące „budy” (niezłe mi znane), kilku Wachposten z automatami. W głębi ulicy Cecylii Śniegockiej widziałem jaskrawe światło jupiterów

oblewające wycinek zaułka. Słowem zjawiłem się w nowym mieszkaniu lekko zbulwersowany. Tym bardziej, że gdzieś tam właśnie zagdakał cekaem, odezwały się serie z automatów. Było to wszystko dość niezwykle. Jeśli chodzi o remont, to oczekiwała mnie niespodzianka. Obaj murarze wyjątkowo trzeźwi – oświadczyli, że niestety, choć planowali na ten wieczór zakończenie pracy, to, ponieważ zabrakło im piasku, finał remontu muszą przełożyć na przyszły tydzień, gdyż obaj mają jakieś tam zobowiązania wyjazdowe. Teraz dopiero dostrzegłem rozpacz żony i córki. Mnie samego też opadły czarne myśli. Świadom przecież byłem, że jeśli tego wieczora ich nie przyduszę, aby skończyli murarkę, to przyszłościowego terminu zakończenia pracy nie dotrzymają na pewno. Zaczęliśmy się wspólnie nerwowo zastanawiać, co by tu zrobić. Odległa Wisła i piasek nadbrzeżny były z racji filmowej blokady dzielnicy absolutnie nieosiągalne. I wtedy córka przypomniała nam, że nie opodal, w ogródku jordanowskim, znajdowała się piaskownica dla dzieci. Rozgrzeszyłem się w myślach. O ile pamiętam, wygłosiłem coś w rodzaju zobowiązania, że tę samą ilość piasku już nazajutrz do piaskownicy przywiozę.

Na złodziejską eskapadę wyruszyłem z białym, plastikowym pojemnikiem na śmieci. Jego pełna, piaskowa zawartość miała wystarczyć murarzom do ukończenia roboty. Moja odpowiedzialność była olbrzymia. Maszerowałem zdecydowanym krokiem. Pod ścianami domów przystały grupki żołnierzy Wehrmachtu, nieco dalej kręcili się esesmani. Zbliżałem się do oślepiającego blasku na rogu. Akurat w tym miejscu miałem skrócić w lewo. Dostrzegłem wymalowane na ścianach wielkie litery LSR, czyli *Luftschutz Raum* opatrzone strzałą. W osobliwym napięciu i stanie ducha – sądziłem wówczas, że obawiam się spotkania ze znajomymi filmowcami, w dodatku przywykłymi już do srebrzystej poświaty, a więc mającymi górę nade mną, nic prawie nie widzącym. Otóż nie! Zaniepokoił mnie widok rzędu plastikowych pojemników, dokładnie takich samych jak mój. Wypełnione kablami, lampami i narzędziami pełniły funkcję podręcznego składu filmowych akcesoriów.

To dlatego właśnie, że niosłem identyczne naczynie, odezwał się we mnie... – jak to określić? – „dzwonek alarmowy”, sygnał zagrożenia? Już od dawna to mi się nie przydarzyło. Zwierzę tkwiące we mnie, raz jeszcze zwietrzyło niebezpieczeństwo. Tak, mam rację. To już w chwili mijania pojemników zaczęło nawracać echo. Przeszedłszy obok ekipy filmowców, skróciłem. Nad wejściem do ogródka sterczała tablica z napisem *KINDERHEIM – nur für Deutsche Kinder*. Pomyślałem jeszcze, że napisali poprawnie, bo tak było, i wszedłem akurat w chwili, gdy najwidoczniej dokonywano namiaru świateł. Piaskownicę, miejsce gdzie mój akt kradzieży miał się dokonać, oblano blaskiem płynącym z kilku chyba reflektorów jednocześnie. Przestałem widzieć cokolwiek i, jak dawniej, gdy ogarniała mnie złość na los,

zdobyłem się na nonszalancję. Podbiegłem, pochyliłem się i w sposób bezczelnie ostentacyjny napelniłem pojemnik piaskiem. Po sekundzie zastanowienia, pokryłem piasek zeschniętymi liśćmi. Działąłem instynktownie. Tu, w tej chwili chyba właśnie, pogłębiło się to moje przeniesienie w czasie. Istniałem we władaniu nawracającego echa. Przyspieszenie, napięcie, konsolidacja. Byłem już w połowie drogi do bramy, a raczej furtki, gdy stało się: po obu jej stronach wyrosli, jak spod ziemi, dwaj esesmani. Ze schmeiserami na piersiach, z tym znanym mi dobrze rozkrokiem, mającym objawić siłę i przewagę, spoglądali w moim kierunku. Oczywiście byłem świadom, że mogą przypuszczać, iż niosę jeden z filmowych pojemników. Ta ocena była realna, w jakimś sensie stanowiła myśl współczesną. Rzecz w tym jednak, że coś o wiele ważniejszego zaczęło się nagle toczyć we mnie jak upiorny walec, miażdżący wszystko i na tym krótkim odcinku niewielu metrów, jakie miałem jeszcze do przebycia, zatraciłem się – to trudno określić – poczułem najdotkliwiej, przejmująco i niezmiernie boleśnie, że tamto, co było, powiązało się z tym, co jest. W dodatku wiedziałem, byłem pewien, czułem instynktownie, że choć upiekło mi się wiele razy i że jakże często z trefnym towarem przechodziłem obok takich jak oni bezkarnie, to teraz mi się nie uda. Rzeczywiście. Esesmani spojrzeli badawczo na mnie i na mój ładunek.

– Co pan tam ma? – spytał wyższy.

– Liście. Nie widzicie, panowie? – odparłem, starając się nie przeginać pod piaskowym brzemieniem, by nie wzbudzić podejrzeń.

Minąłem ich obu. I naprawdę, po przejściu kilku kroków, ogarnęła mnie dawna radość, że raz jeszcze mi się udało.

## Promocja

Jerzemu Pomianowskiemu

Czyżbym zatem miał rację, że w gruncie rzeczy cenimy dysproporcje? Że wydarzenia pozornie błahe mają niekiedy większe znaczenie, aniżeli jesteśmy w stanie im przypisać?

Tego wieczora nic początkowo nie zapowiadało kolejnego potwierdzenia mojej ryzykownej tezy.

Sala, w której zaaranżowano uroczystą promocję najnowszej powieści Łukasza Z., emitowanej już w odcinkach przez radio, anonsowanej w telewizji (jako kolejny bestseller tego autora), wypełniona była po brzegi entuzjastami twórczości znanego pisarza. On sam, w otoczeniu dwóch najpopularniejszych (mógłbym tu złośliwie powiedzieć – „najaktywniejszych”) krytyków, jakich mogła zaserwować na tego rodzaju okazję nasza rzeczywistość, siedział za stołem ustawionym na niewysokim podium i twarz jego, z początku napięta, z wolna rozjaśniała się, młodziła. Widać było, jak bardzo się wewnętrznie cieszy. Na sukces zasłużył. Wszystko, co stało się jego udziałem w ciągu ostatnich lat, wypracował sobie nie tylko uzdolnieniami, wysiłkiem i twórczym osamotnieniem, lecz również bardzo jednoznaczną postawą wobec uzurpatorów totalitarnego systemu, w jakim, do niedawna, wypadło nam żyć.

– Łączą nas te same obsesje, podobne odchylenie od normy – żartował często, kiedyśmy się spotykali – okupacja, konspirowanie w czasie jej trwania i później próba walki z komuną, wiara, że własną pisaniną, czy też działaniem w rodzaju aktywności „Klubu Krzywego Koła”, coś się wreszcie osiągnie.

Łukasz zaczął pisać, bodajże, w czasie odsiadki ośmiu lat na Mokotowie i w Rawiczu. Los obszedł się z nim i tak, mimo wszystko, ulgowo. Nie rozwalili go i nie pogrzebali potajemnie jak tysiące innych, myślałem obserwując go z tylnych rzędów krzeseł. W obu swoich najnowszych książkach udało mu się uciec od przeszłości, zająć się sprawami ponadczasowej uniwersalnej natury. Niewątpliwie staje się swoistym symbolem szlachetnego człowieka, zmęczonego życiem, który – mimo wszystko – potrafił się przestawić. Teraz, w sposób harmonijny, przypadły mu w udziale wielkie artystyczne sukcesy. A jest to czas

najkorzystniejszy, kiedy powoli opada natchnienie, gdy ostudzającą się krew można rozgrzać jedynie miłością lub karierą.

Tak, tego wieczora mój przyjaciel, siedzący wysoko na podwyższeniu, był mi w przedziwny sposób odległy. Miałem już za sobą, skrócony siłą rzeczy, proces pokonywania kaśliwej, zjadliwej myśli, że jakżesz dawno nie przeżywałem podobnego sukcesu i jak mi trudno uciec od wojenno-okupacyjnych odniesień we własnej twórczości.

Wypowiedź Łukasza była krótka i bezpretensjonalna. Wspomniał coś o swoim czasie odosobnienia, nawiązał do cech naszego pokolenia i jak gdyby zawstydzony, uciął nagle, dziękując tylko zebranym za łaskawe dla niego zainteresowanie. Był elegancki. Słuchając tego, co mówił, notując w pamięci pytania zadawane z sali, z satysfakcją kwitując jego żartobliwie i na luzie rzucane repliki, utwierdziłem się w przeświadczeniu, że oto uczestniczę w nieklamany, najprawdziwszym sukcesie, a nawet więcej, w powstawaniu gwiazdy, idola starych i młodych pospołu. Jest to optimum – oceniałem – swoiste uosobienie zgrania wszelkich możliwych pozytywów tak intelektualnych, jak i moralnej natury w życiu Łukasza i jego twórczości.

Wieczór uświetniło odczytanie przez jednego z najlepszych aktorów kilku stron z wydanej właśnie powieści Łukasza. Było to pisarstwo dojrzałe, klarowne. Rzekłbym, stanowiące to wielkie skoncentrowanie myśli ludzkich, jakie oplaca się goryczą własnych przeżyć. Cały wieczór promocyjny zakończył się owacją na stojąco. Ze swego miejsca dostrzegałem w oddali, jakby ponad chmurami, bohatera wieczoru, dźwigającego nieporadnie bukiety kwiatów i jakieś wręczone mu dyplomy i laurki. Zmierzał ku wyjściu. Znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, że marzy w tej chwili o jak najszybszym oderwaniu się od swoich entuzjastów, by zebrać myśli w samotności. Myliłem się jednak. Już na dole, w tłumie czekających na odbiór garderoby z szatni, kiedy zatrzymałem się, aby zamienić parę słów z dwójką znajomych, dostrzegłem na drugim, a może nawet trzecim planie, że przechodzący Łukasz daje mi ręką znak – taki nasz umowny znak – abym na niego zaczekał.

I oto szliśmy razem wąskimi uliczkami Starego Miasta. W górze świecił księżyc o rzadko spotykanym kształcie. Było miło, majowo. Sam nie wiem – chyba pochlebilo mi, że po niedawnych przeżyciach Łukasz zaprosił mnie do siebie. Wypiliśmy po kieliszku koniaku. Wtedy nastąpiło to właśnie, co nazywam – może niezbyt zręcznie – „potwierdzeniem mojej tezy o wielkiej wadze małych wydarzeń w ludzkim życiu”.

Łukasz, ciągle jeszcze wyraźnie podekscytowany kontaktem ze swymi czytelnikami, a może alkoholem, zupełnie bez jakiegokolwiek wstępu (dzisiaj sędzę, że tym wstępem stała się dyskusja w Klubie Księgarza na Rynku Starego Miasta), zadał mi nagle pytanie, czy

zechciałbym wysłuchać bardzo osobliwej opowieści – najzupełniej prawdziwej, ale nie nadającej się do napisania.

– Jak to, „nie nadającej się”? – rzuciłem. – Przecież piszesz o wszystkim.

– Wszystkim fikcyjnym – skrzywił się. – Dobrze wiesz, że najtrudniej pisać prawdę. Poza tym są sprawy cholernie intymne, wynikające z zakamuflowanych cech naszej osobowości.

– A chciałoby się napisać wreszcie o sobie samym, nie w trzeciej osobie, rozumiem – rzuciłem po chwili zastanowienia. – Też boję się strywializowania własnych przeżyć.

– Dochodzi jeszcze niepisany kodeks moralności – „cenzor” żywcem przeniesiony z dziewiętnastego wieku. – Łukasz podniósł słuchawkę, bo zadzwonił telefon. Rozmawiał z kimś przez chwilę. – W większości opublikowanych pamiętników czy też powieści tak zwanych „środowiskowych” dominują mizdrzenie się, prawdy pozorne, a przede wszystkim snobizm – wrócił do przerwanej rozmowy. – To, co chcę ci opowiedzieć, samą prawdę, realność, też

wydaje mi się jakoś piekielnie prymitywne. Nie dotyczy wielkich zagadnień, o jakich staram się pisać, lub precyzyjniej – jakie uważam za godne rozmyślań.

– Nie napiszesz tego z lęku przed obniżeniem lotów? – wtrąciłem żartobliwie.

– Nie napiszę może dlatego, że nie lubię naturalistycznej prozy – Łukasz upił ze swego kieliszka. – Dokonało się to tuż przed moim aresztowaniem, to znaczy konkretnie biorąc, działo się w zimie tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, w Zakopanem. Niech sobie przypomnę – zmienił pozycję, odrzucając głowę na oparcie fotela i patrząc w sufit. – Tak. Gatunkowo to jest swego rodzaju dyptyk. Wzięli mnie w maju czterdziestego siódmego. Uważaj teraz – leci część pierwsza dyptyku. Zakopane zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Znasz je z tego okresu. W małej knajpie „Gong”... Nie, wówczas był to luksusowy lokal. Wiesz, naprzeciw „Watry”. W tym przybytku szmalu, symbolu wielkiego świata dla maluczkich, w niebywałym blichtrze zmieniających się światel (dzisiaj robi to każda dyskoteka, wówczas uznawano te błyski za cud techniki). Słowem w całym tym spotęgowaniu barw i dźwięków występowała...

– Egzotyczna tancerka Rita! – dokończyłem za niego z emfazą.

– Widziałeś ją? – goszczący mnie pisarz nie zmienił pozycji. – Wiem, że widziałeś. Dla takich właśnie chwil wspólnoty przeżyć nie potrafiłbym nigdy z tego szalonego kraju wyemigrować. Kazimierz Rudzki mawiał zawsze: najpiękniejsze miejsca na świecie, jakie znam, to Paryż i Zakopane.

– Czynię cię uważnym, że twoja opowieść robi się środowiskowa – powiedziałem, przeciągając się.

– Ale Rita była piękna – rzucił Łukasz, biorąc fajkę.

– Nie pamiętam – odparłem, obserwując z zainteresowaniem jego zmagania z fajką, która najwyraźniej nie chciała się zapalić.

– Ja pamiętam – oświadczył. – Dla moich kolegów, dla mnie oczywiście także (przyjechalśmy całą paczką na narty) ta dziewczyna stała się obiektem tęsknot i marzeń najskrytszej natury – wiesz, co mam na myśli. Nie mieliśmy forsy, więc podglądaliśmy jej występy przez nieco prześwitujące zasłony w oknach. Ważne dla całej opowieści jest moje wyłamanie się, polegające na tym, że od początku Pobytu zamieszkałem osobno, a nie z trójką kolegów. Zatrzymałem się w kamienicy z czerwonej cegły, stojącej jeszcze po dziś dzień tuż przy mostku ponad szumiącym potokiem, jaki płynie wzdłuż ulicy Jagiellońskiej. Gospodynią moją była niemłoda Agnieszka Urbańska (nie żyje już od dawna), spędzająca wówczas masę czasu w kaplicy u podnóża Antałówki – Łukasz dostrzegł mój ruch i słusznie uznał, że wyrażam nim swe zniecierpliwienie. – Wszystko to jest istotne dla opowieści, bo kiedy się wprowadziłem do mansardowego pokoiku ponad jej mieszkaniem, zwróciła mi uwagę, abym broń Boże, nie sprowadzał tutaj nikogo. Rozumiesz, relacja „matka – syn” zaistniała od razu – powiedział, otaczając się kłębem dymu. – Sytuacja nad wyraz niezręczna. Kuratela przerażająca. A przecież w harmonii z absolutnym brakiem gotówki, przepelniały mnie pragnienia, których się chyba domyślasz. Radość, że się przeżyło wojenny bajzel, eksplozja witalności objawiana szalonymi szusami po stokach i marzeniami o miłości, głównie tej cielesnej.

Nie pamiętam, co sprawiło, że pewnego wieczora zdobyłem się na śmiałość niebywałą i wszedłszy samotnie do „Gongu”, zatrzymałem się w przejściu. Portier jakoś mnie nie wyprosił i sterczałem beznadziejnie w tym niby holu, a już części sali restauracyjnej zarazem. Miałem na sobie jedyną posiadaną parę spodni. Grubych, wełnianych, khaki, takich od battledressu – pamiętasz te angielskie – z kieszeniami naszytymi na udach. Były dla mnie uniwersalne, „narciarsko-wizytowe”. Co tu kryć, pomimo dziury na siedzeniu, czułem się w nich bojowo. To wszystko szczegóły nieważne i ważne jednocześnie. Rozgrzewam się, cytując didaskalia. Jak dziś pamiętam ten moment. Bo chciałbym opowiedzieć ci całość w jakimś sensie... filmowo. Postaraj się to wszystko zobaczyć w poszczególnych ujęciach. A więc kadr pierwszy: stoję w holu. Na pierwszym planie mam stolik, przy którym siedzi rozbawione towarzystwo zajęte jedzeniem kolacji. Kilka kobiet i dwóch mężczyzn. Mężczyzna siedzący najbliżej mnie, facet uderzająco podobny do Charlie Chaplina, właściwie jego sobowtór, właśnie obiera jajko czy też jabłko i z absolutnym, stoickim spokojem, zrzuca na podłogę łupinki. Szczegół bez znaczenia, ale ja w owym czasie podlegający jakiemuś



szczególnemu imperatywowi „porządnictwa”, narzuconemu samemu sobie, decyduję się na szaleństwo. Bo cóż robię? Dzisiaj sądzę, że dokonałem dydaktycznej manifestacji pariasa, który zapragnął odegrać się na możliwych tego świata, jedzących dobrą kolację. Podchodzę do tego stolika, podnoszę z podłogi łupinki i kładę na talerzyku stojącym wśród półmisków. No, rzecz nieprawdopodobna przecież, bo po co to zrobiłem? Tymczasem ów niby Chaplin, będący sprawcą nieporządku, najwyraźniej świadom swego niebywałego podobieństwa do sławnego komika, zagrywa – rozumiesz – błazeńsko i w dodatku całkiem niezłe, objawienie mi swej rzekomej, groteskowo przerysowanej, wdzięczności. Podnosi się, rozrzucając ramiona zupełnie chaplinowskim ruchem, wytrzeszcza jak tamten swe wielkie oczyska i wykrzykuje, znów w stylu Chaplina, z emfazą: *Och thank you, Sir!*

Wywołuje to oczywiście wybuch śmiechu wszystkich przy stole. Ja czuję się idiotycznie, bo przecież mój wygłup, cała ta bezsensowna manifestacja, miały, podkreślając moją wyższość, stać się zarazem bezlitosną krytyką, a tymczasem spaliły na panewce. Nie, to jest jednak tryptyk! Nie miałem racji! – Łukasz napełnił kieliszki. – Moja wściekłość stała się motorem dalszych działań. Byłem piekielnie zły, czułem się ośmieszony i poniżony. Chyba podświadomie chciałem się odkuć. Każdy siedemnastolatek nosi w sobie otchłań ambicji i namiętności, bezmiar kłębiących się żywiołów.

Wyszedłem na ulicę, lecz już po chwili wróciłem. Trwał występ. Na parkiecie, oblewane czerwoną poświatą, poruszało się w takt muzyki, cudowne ciało pięknej Rity. Cóż mam Ci powiedzieć? Wiedziałem, że marzą o tej szałowej dziewczynie wszyscy faceci z grubymi portfelami, którzy podnieśli się od swych stolików, by lepiej widzieć. Moje szanse były żadne. Udało mi się i tak oglądać występ, jak wszyscy, którzy zapłacili grubą forszę, by się tu znaleźć. Powinienem to uznać za swój sukces. Nie uznałem. Poświata, zda się otulająca smukłe ciało tancerki, robiła się różowa, to znowu złota lub fioletowa. Występująca – jak to się mówi – gięła się i przeżyła, przemieszczając po całym parkiecie. Był to pierwszy tego rodzaju występ, jaki widziałem w życiu. Nie istniałem. Mogliby mnie chyba wtedy wynieść, a nawet bym tego nie zauważył. Może dzięki specyfice tych wszystkich elementów składających się na mój zachwyty, zdobyłem się właśnie – jak to nazwać? – na uzewnętrznienie i zrealizowanie w konsekwencji swych marzeń w szaleńczym odruchu, który po dziś dzień zadziwia mnie samego. Cóż bowiem zrobiłem wystając dalej w holu i świadom, że całą możliwość tego rodzaju „postoju” zawdzięczam dziwnemu kontaktowi wzrokowemu pomiędzy mną a portierem, który widział zwrócenie przeze mnie uwagi mężczyźnie zrzucającemu łupiny na podłogę. Chyba dzięki mej korygującej akcji właśnie, powstała pomiędzy mną a człowiekiem w liberii swoista nić porozumienia. W jej wyniku nie zostałem

jak inni gapie wyproszony na ulicę, lecz mogłem patrzeć i czekać. Na co? Miałem się niebawem przekonać. Najpierw dostrzegłem hen daleko ni to przejście, ni korytarz, w którym mignął mi barwny kostium tancerki. Zobaczyłem, że artystka gdzieś przechodzi i domyśliłem się, że tam jest jej garderoba. I oto zdobyłem się – jak ci już wspomniałem – na szaleństwo.

– Nie wspomniałeś – zaprotestowałem.

– Więc wspominam teraz – Łukasz nie odwzajemnił mego uśmiechu. – Zdobyłem się zupełnie jakby nie ja, instynktownie. Jak gdyby we śnie przeszedłem przez parkiet. Bodajże orkiestra grała coś i tańczono. Udało mi się dzięki temu przejść dalej względnie łatwo. Wędrowałem korytarzem wiodącym do kuchni. Zapachy potraw stawały się coraz intensywniejsze. Pamiętam, że czekałem, przyłgnąwszy do ściany, by nie przeszkadzać przechodzącym z tacami kelnerom. Byłem świadom, że ten stan rzeczy nie może trwać długo i że mnie zaraz stąd wyrzucą. Na szczęście ukazała się. Piękna Rita we własnej osobie wyszła z bocznych drzwi, kierując się do innych drzwi naprzeciwko. Nie zauważyła mnie oczywiście. Wtedy dokonałem tej Samosierry. Podeszedłem do niej i świadom jestem, że być może udało mi się dokonać tego z pewnym wdziękiem – skłoniłem się przed nią, jak mnie nauczono, i wybąkałem, a może nawet wypowiedziałem ( stanowczym, zdecydowanym tonem, już takim... męskim, tego nie pamiętam – zwykłą formułkę w rodzaju: Przepraszam, czy mogę panią prosić?

– O co?

Chyba się przestraszyła. Przez ułamek sekundy widziałem ogromne oczy wlepione we mnie z wyrazem niesłychanego zdumienia.

– Do tańca.

– Mnie? – wskazała samą siebie małym paluszkim, którego paznokieć był jaskrawo czerwony. Zielone oczy rozwarły się jeszcze szerzej.

– Bardzo bym tego pragnął – skinąłem głową. Słowa, jak wiesz, mają dla kobiet kabalistyczne wręcz znaczenie. Bodajże dodałem jeszcze, że byłbym bardzo szczęśliwy.

Instynkt, bracie. No bo skąd mogłem wiedzieć, że przemawiają do niej najbardziej takie właśnie, patetyczne oświadczenia. Co tu kryć, tancerka wydała mi się z bliska jeszcze piękniejsza. Mimo że stała tuż obok, ta jej nieosiągalność wciąż trwała. Wiedziałem, że ryzykuję w tej chwili wszystko.

I oto nastąpiło coś niezwykłego. W całej tej historii będzie masę rzeczy nieprawdopodobnych, ale zupełnie...

– ... prawdziwych – dokończyłem za niego. Dostrzegł widać moje tęskne spojrzenie, gdyż zaraz napełnił mój kieliszek. Drżała mu ręka.

– Rita spojrzała na mnie jeszcze raz. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Dobrze” – Łukasz upił ze swego kieliszka. – I, mój drogi, wkrótce to się stało – ciąg wydarzeń niezwykłych. Najpierw zaczęliśmy tańczyć. Plotłem coś trzy po trzy, opowiadałem. To było tango. Przy tangu, jak wiesz, można było rozmawiać. Przy dzisiejszych melodiach, wiem, że podzielasz mój pogląd, jest to zupełnie niemożliwe. Rozmawialiśmy. Byłem chyba zabawny. Najwidoczniej wydałem się jej jakoś chłopięco atrakcyjny. Inaczej tego wszystkiego nie potrafię sobie dzisiaj wytłumaczyć. Dość, że czułem jej zapach, bliskość. Dzisiaj to się określa „zaistnieniem na tej samej długości fali”. Tak się działo. Patrzyłem w jej oczy i uwodziłem ją. No, tak trzeba to powiedzieć – uwodziłem ją z całej duszy, ze wszystkich sił. Na zasadzie instynktu, bo przecież nie miałem pojęcia, jak to się robi. Nie posiadałem żadnej rutyny, najmniejszego nawet doświadczenia. Ona była starsza ode mnie o jakieś dobre pięć lat, ale jeszcze bardzo młodziutka, a nawet w jakimś sensie, naiwna. Już przy końcu naszego tańca, spytałem ją – i to zadecydowało o konsekwencjach wynikłych z całego wydarzenia – czy mógłbym ją odprowadzić do domu. Była to znowu, ku memu zaskoczeniu, nowa moja, straceńcza szarża tej nocy.

Nie wiem już i nie pamiętam, gdzie i w jakim nastroju na nią czekałem. Ale doczekałem się. Jej występy kończyły się względnie wcześnie. Nie mogło być później aniżeli około północy. Ponieważ mieszkała gdzieś na parcelach, niedaleko skoczni, szliśmy powoli spacerowym rytmem w tym kierunku. Krupówkami naturalnie. Noc była mroźna. W górze mrugały czyste gwiazdy. Świecił księżyc. Powietrze pachniało tą, nie znaną już dzisiaj w Zakopanem, wonią palonego, żywicznego drewna. A więc, zajęci rozmową, bardzo szybko doszliśmy do skrzyżowania – ty zakopiańską topografię przecież znasz. Dzisiaj tam jest rondo. I tutaj ona miała skrócić.

– W prawo – dorzuciłem.

– W prawo. Zgadza się – skinął głową. – Nie skręciła. Powędrowaliśmy w kierunku Kuźnic. Powstała pomiędzy nami jakaś osobliwa komitywa. Rozmawialiśmy, pamiętam, bardzo szczerze, śmiejąc się na przemian, a nawet śpiewając. Jak to wszystko tak szybko stało się możliwe, nie pojmuję dzisiaj zupełnie. Nie czuliśmy mrozu. Ona miała na sobie krótką, futrzaną kurteczkę. Wyglądała prześlicznie. Co tu kryć, byłem oszołomiony nie tylko jej urodą, temperamentem, wdziękiem, ale nawet szczerze mówiąc, samym sobą, facetem potrafiącym, jakimś cudem, sprostać tym wielkim mocom.

Zabudowania klasztorne po prawej minęliśmy, pamiętam, wciąż jeszcze zagadani, ale już coś się zaczęło przetwarzać. Kiedy ogarnęło nas pragnienie innego rodzaju bliskości, nie wiem. Dość, że poczułem jej wargi na swoich. I, całując się co jakiś czas, szliśmy wytrwale, a

właściwie bezwiednie, przed siebie jak gdyby licząc, że kolejką uda nam się nocą dotrzeć na Kasprowy. A noc zrobiła się srebrzysta. Poduchy śniegu na smrekach, tajemnicze cienie, iskrzący się śnieg w księżycowej poświacie...

– Przychylność natury, to połowa sukcesu – zauważyłem.

– Nie bądź cynikiem! – narrator skrzywił się z niezadowoleniem. – Minęliśmy budynek stacji kolejki linowej w Kuźnicach. I już w pełni – chyba mogę to powiedzieć i za nią – już zupełnie podlegli pragnieniu, czy też pożądaniu, podążaliśmy dalej. Szliśmy coraz bardziej siebie spragnieni i dotarliśmy wreszcie – ale chcę tu ci podkreślić – w tym cudownie upojnym zapachu lasu, kosówki dawnych Tatr. I w tym mrozie, w tym chrupiącym śniegu, dotarliśmy aż na wejście – to takie teatralne wejście – na Jaworzynkę. Ten przesmyk ma dla mnie zawsze coś z teatru, bo wychodzisz spomiędzy skałek i potoku po lewej i lasu po prawej, takiego korytarza i widzisz daleką perspektywę tej doliny zakończoną Kopą Magóry i tym grzbieciem, którym idzie się do Murowańca na Gąsienicową. Tutaj właśnie od razu zaczęło się to dziać z nami. Obłąd, mój drogi. Poryw namiętności. Jakim cudem? Po prostu padliśmy w śnieg i mimo mrozu... Chciałbym tu potrafić zachować umiar opisu, nie wejść w zbyt naturalizm, który mógłby sprowokować cię do kolejnej, cynicznej uwagi. Więc dośpiewaj sobie resztę. Działo się to między nami. Na śniegu. I było to coś zupełnie nieprawdopodobnego. Jak długo trwało – nie wiem. Oprzytomnieliśmy oboje, stwierdzając, że przesunęliśmy się na jej... no, wiesz na czym, bardzo daleko, gdyż jej torebka została w miejscu, gdzie wszystko to się zaczęło. Jakieś pięć, a może nawet z siedem metrów, przebyliśmy zatem oboje... Tutaj rzecz wypada chyba dopowiedzieć do końca. To dokonało się na jej... na jej biodrach, no, na tym, na czym się siedzi.

– Straszne! – wtrąciłem – Zauważ, że się zupełnie nie śmieję i nie wygłaszam żadnej cynicznej uwagi.

– Doceniam to – Łukasz wypił jednym haustem całą zawartość swego kieliszka. – Sprawa była poważna, zupełnie pozbawiona jakiegokolwiek pikanterii.

– Z tym się nie zgadzam – wysunąłem ku niemu swój kieliszek. Nappełnił go skwapliwie.

– W takim razie źle to relacjonuję – Łukasz jakby się zasepił.

– Mam prawo do własnej interpretacji – próbowałem jeszcze żartobliwego tonu, lecz z miny przyjaciela wywnioskowałem, nie bez zaskoczenia zresztą, że dla niego całe to wydarzenie zdawało się mieć większą wagę, niż przypuszczałem.

– Staropolska nazwa, podkreślająca ważność tej części ciała, słowo-symbol, stosowane po dziś dzień na Śląsku, brzmi – rzyć – dodałem ugodowo. Zerknął w moją stronę, wyraźnie sprawdzając, czy nie żartuję. Zachowałem powagę.

– Więc... – zaczął niezbyt pewnie – ... biorąc pod uwagę śnieg i mróz, ta część jej ciała była w stanie fatalnym. Oboje zawstydzeni, próbowaliśmy jeszcze żartować. Wszelkie sposoby nacierania pośladków śniegiem nie skutkowały zupełnie. Czucie nie wracało. Wiedziałem już, że to groźny początek odmrożenia, że należałoby natychmiast sprawić, by krew zaczęła znów krążyć. Szczerze mówiąc, byliśmy oboje przerażeni. W dodatku gdzieś tam zakodowana w nas, grzesznikach wiara w filozofię winy i kary, dopadła nas z paraliżującą mocą.

Potem bieглиśmy w kierunku Zakopanego. Już w połowie drogi Uprzytomniłem sobie – po otrzymaniu od Rity informacji, że mieszka tu zupełnie osamotniona w jakimś pokoju wynajmowanym w pensjonacie właśnie przejętym przez „Orbis” – że jedyną nadzieją w tej sytuacji jest doświadczenie życiowe mojej gospodyni Agnieszki Urbańskiej. O udaniu się do lekarza Rita nawet nie chciała słyszeć. Wpadliśmy do mojego pokoju i wkrótce załomotałem do drzwi piętro niżej, rzucając swej przebudzonej gospodyni jakąś zupełnie absurdalną informację. Pani Agnieszka najpierw zażądała, abym wyszedł z pokoju i zostawił ją z artystką. Pojawiła się już niebawem. Zaniepokojona nie na żarty oświadczyła, że owszem ma leki przeciw odmrożeniom i że należy najpierw zastosować jakiś olejek. I zaczęliśmy. Najpierw ona sama, bo dyskretnie wyszedłem. Później już nie zważaliśmy na nic i ja przejąłem obowiązki masażysty. Zostaliśmy sami, noc – bardzo szybko nastąpiły najdziwniejsze pomiędzy nami – tu sobie znowu dośpiewaj – kontakty związane z masowaniem. Czas pełen wrażeń. W każdym razie krwiobieg wrócił i rano zasnęliśmy. Trudno to dzisiaj wyjaśnić. Chyba jeszcze tylko raz widziałem Ritę w czasie tamtego pobytu. Spotkaliśmy się w „Europejskiej”, ale nie jestem pewien, czy tam właśnie. Wyjechałem z kolegami. Nasze drogi się rozeszły. Potem już wiesz, co się ze mną działo. Wiesz, że kiedy wróciłem po dziewięciu latach z mamra, to nie bardzo miałem do kogo wracać. Później zacząłem nowe życie. Pisałem już intensywnie. Miałem jakieś realizacje, nadzieje. Trochę mnie już czytano, wystawiano nie tylko w kraju. Dość, że nadeszły lata osiemdziesiąte. Nic nie przesadzam – osiemdziesiąte. A więc od szalonej nocy...

– Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem? – zanuciłem.

– Właśnie. Oj, pamiętam. Od mojego rozstania z Ritą wydarzyło się tak bardzo wiele, że nie ma co o tym wspominać. Moi obaj synowie wyjechali za granicę. Mieszkają w Australii. Ubolewam nad tym. Nie mam z nimi zupełnie kontaktu. Trzy lata temu, nie – cztery, z racji premiery mojej sztuki w Norymberdze, zjawiłem się w tym mieście. Był to kolejny jubel i święto z racji okrągłej rocznicy wieloletniej współpracy Norymbergi z Krakowem. Duże uroczystości. Sympozja, wystawy. W różnych częściach tego miasta koncertowały

krakowskie kapele. Moje prelekcje i sztuka anonsowane niezłymi plakatami wtopione były w ten nastrój.

Więc, kiedy poczułem niespodziewanie ból zęba o piekielnej wręcz intensywności... – Robisz dziwną minę, ale to wszystko ma uzasadnienie, jest powiązane. Fatum, mój drogi. – Kiedy, zatem, łupać mnie ten trzonowy zaczął, jakby się sprzysięgły przeciw mnie wszystkie złe moce, zdałem sobie sprawę, że nie tylko moje prelekcje, ale nawet uczestniczenie w premierowym wieczorze własnej sztuki stoją pod znakiem zapytania. Wyjątkowo ból mnie rozkłada psychicznie. Moi opiekunowie zawieźli mnie do dentysty. Ten przeświecił ząb natychmiast. Wszystko to trwało nie dłużej, niż pięć minut. Ale okazało się, że sprawa mojego zęba była bardzo skomplikowana, że być może, konieczne było dokonanie resekcji, a ponieważ on nie podejmowałby się jej zrobienia u siebie, kieruje mnie, zupełnie rutynowo, do kliniki chirurgii szczękowej. Adres podał. Skierowanie wypisał. Pełna zgroza! Ubłagałem moich sponsorów o dzień zwłoki. Doszła, w jej wyniku, jeszcze jedna, bezsenna noc do trzech już zaliczonych. Ból się potęgował. Wiedziałem, że coś niedobrego się dzieje. W tym stanie *rzeczy* zdecydowałem się na najgorsze. Klinika chirurgii szczękowej znajdowała się na peryferiach miasta. Supernowoczesność, bracie, szkło, metal, biel i sterylność (chyba nawet alejek dojazdowych). Resekcja... Wyobrażasz sobie, co czułem. Organizatorzy mego pobytu zdawali się być szczerze zaniepokojeni tym, co się ze mną działo. Myślę, że wynikało to z faktu, że dla całej imprezy, w jakiej miałem uczestniczyć, symbolizowałem pewien trybik na tyle istotny, aby zadbać o jego kondycję.

Tak więc znalazłem się na sali, w której, osłonięte białymi parawanami, stały dziesiątki foteli. Ten, na którym (z duszą na ramieniu) usiadłem, dziewczyna w bieli odgięła natychmiast, zamieniając w ten sposób w coś podobnego do wąskiej kozetki. Inna dziewczyna, bliźniaczo podobna do tej pierwszej, uśmiechnęła się do mnie jak gdyby przepraszająco, podczas gdy jej palce sprawnie wepchnęły zvitki ligniny pomiędzy moje policzki a szczęki. Dokonująca tego zabiegu oświadczyła z silnym bawarskim akcentem, że profesor zaraz przyjdzie. Zdałem sobie sprawę, że obie były studentkami, kształcącymi się w tym przybytku.

Najpierw zapaliła się, promieniująca srebrzystym blaskiem, lampa na wprost mej głowy, oślepiając mnie całkowicie. Otworzyłem oczy, czując czyjaś obecność. Wtem lampa zgasła. Przyznaję, że trochę mnie to zastanowiło. Teraz widziałem wyraźnie. Siwy pan w nieskazitelnie białym kitlu zatrzymał się opodal, oglądając kliszę z prześwietleniem mego nieszczęsnego zęba. To jest właśnie ten kadr zawierający w sobie całe nieprawdopodobieństwo, ów piekielny surrealizm naszego istnienia. Domyśliłem się

naturalnie, że mam przed sobą profesora, specjalistę w dziedzinie chirurgii szczękowej.

Jedna z dziewcząt, objawiając to typowe niemieckie zaangażowanie we wszystko, co się robi, przekazywała gorliwie zwierzchnikowi jakieś informacje. Słuchał uważnie i wtem, ujmując asystentkę żartobliwie pod łokieć – rozumiesz, jak to się czyni nieraz w celu przerwania lub zastopowania czyjegoś potoku wymowy w możliwie łagodny sposób – „O, thank you, Mylady!” – usłyszałem jego słowa i to był błysk, iluminacja. Nie! Nastąpiło we mnie gdzieś bardzo głęboko magiczne cofnięcie taśmy co najmniej z szybkością światła i jednoczesna konfrontacja dawnej kliszy z dzisiejszą. Zgadzało się. Posiwał, ale ostał się w gruncie rzeczy taki sam, prawie nie zmieniony. Nie ulegało wątpliwości, za chwilę miał mnie zbadać Chaplin z zakopiańskiego „Gongu” w czterdziestym szóstym. Z pewnością w jakiś sposób objawiłem mimicznie swe zaskoczenie, bo uśmiechnął się do mnie tak... rutynowo – rozumiesz – że niby to oczekujący mnie zabieg nie taki straszny, że wszystko będzie dobrze i tak dalej, wiesz, jak lekarze podgrywiają ten optymizm. Tylko... – nie muszę ci podkreślać – ten facet uśmiechnął się w identyczny, „odgórny” sposób, jak wtedy, gdy udało mu się zrobić ze mnie balona.

Wyrywałem zwitki ligniny z ust. Wzdęty nimi, rozumiesz, czułem się już zupełnie bezbronny. Wydobywałem je więc z paszczęki pospiesznie, nerwowo. Spoglądał na mnie ze spokojnym zaciekawieniem. Patrzyli oboje. Ta siksa w bieli zrobiła nawet ruch, jakby chciała mi pomóc. Ale nie zdążyła. On gapił się znowu na mnie z wieży z kości słoniowej. Ubermensch miał raz jeszcze nade mną przewagę. Ból zęba czułem już pod czerepem. W dodatku łomotało mi serce. Chcę, żebyś zrozumiał – wszystko to działo się w jakimś obłądnym spotęgowaniu i koncentracji: ból, zdumienie, niechęć, podsumowania. Jednak opanowałem się.

– Czy pan profesor nie przebywał przypadkiem w Zakopanem zimą czterdziestego szóstego? – rzuciłem względnie spokojnie, nie mając pojęcia, dlaczego zdobyłem się na to idiotyczne pytanie.

– A, pan jest Polakiem! – Chaplin ożywił się. – Do zabiegowego przekazują u nas tylko numery kart chorych. Nazwiska zostają w rejestracji – wskazał gestem i jego asystentka sprawiła, że moja leżanka stała się na powrót fotelem.

– Byłem wtedy w Zakopanem! Co za pytanie? Naturalnie, że byłem! – Coś jeszcze mówił z podnieceniem typowym dla tego rodzaju spotkań wskrzeszających wspomnienia, pytał o coś. Nie odpowiadałem. Wszystko naraz wróciło. Może wyda ci się to dziwne, ale w ciągu tych dziewięciu lat odsiadki wspominałem tamtą noc, marzyłem o niej, odtwarzając z pamięci szczegóły po szczególe. Obsesja – kapujesz – onanizm, wszystko. Siedziałeś, to wiesz jak to

się dzieje. Sprawa narasta. Niekiedy myślałem, że z sobą skończę. Pomagała mi Rita, wyobrażenia, obsesyjna pewność, że ją spotkam. Właściwie, to przetrwałem te przekłete lata dzięki niej. Teraz człowiek w bieli, będący profesorem, opowiadał coś rozradowany. Docierało do mnie, że mnie zaprasza. Niekiedy się pochylał i wówczas wyraźnie dostrzegałem jego wielkie oczy i siwy wąsik.

– ... Mieszkałem wówczas na Bystrym, niedaleko „Imperiału” – stwierdziłem, że Chaplin-profesor wciąż mówi, usiadłszy nie wiadomo kiedy tuż obok mnie na wysokim taborecie. Pachniał dobrą wodą kolońską.

„Po diabła przyznałem się, że go pamiętam – przebiegło mi przez głowę. – No, ale przypadło. Teraz grzecznie. Jestem w jego mocy”.

– Widziałem pana profesora w „Gongu” – odparłem w odpowiedzi na zadane pytanie. – Występowała tam wtedy egzotyczna tancerka Rita, pamięta pan?

– Czy pamiętam? Nie wolno mi zapomnieć! – Chaplin roześmiał się. – Wspaniały kawał! – chichotał. – Rewelacyjny! Ja, proszę pana, ożeniłem się z nią!



## **Parabola**

### **Pamięci Jana Edwarda Kucharskiego – przyjaciela**

Szkoda, że tak wielu ludziom opowiadałem tę historię. Starła się, zbanalniała. W ciągu zbyt długiego czasu bawiłem nią (ta moja potrzeba uwodzenia!) przygodnych słuchaczy, okłamując samego siebie, że to pierwsza faza tworzenia fikcji literackiej, a wykorzystywanie audytorium jak zwykle dopomoże mi w wykreowaniu postaci, potwierdzeniu trafności samego przesłania przyszłego utworu. Z niezłym skutkiem dla wymyślanych fabuł działałem tak nieraz w przeszłości. Teraz to się nie potwierdziło. Prawdziwe wydarzenia przypominały wytarty i zwiotczały banknot stułotowy.

Więc jak tę prawdę przekazać? Należałoby chyba zacząć od tego, że wówczas, przed laty, pojęcia nie miałem, dlaczego Jan K. nagle się przede mną otworzył. „Znany pisarz o wiele lat starszy ode mnie, debiutanta, a tak mi się zwierza” – myślałem z mieszaniną zawstydenia i pychy, wspinając się po stromiźnie tuż za nim. Tego upalnego dnia zostałem w gruncie rzeczy do wycieczki na Łysicę przymuszony właśnie przez niego w czasie schroniskowego obiadu w Świętej Katarzynie. Irminę, niebrzydką studentkę z Wrocławia, z którą przyjechałem – zdecydowanie unieruchomiła duchota. Tylko my dwaj szliśmy po płaskich gładkach ciężko dysząc.

J.K. chyba najpierw mówił o wojnie, o obchodach urodzin swojego dziadka w 1943, na które zjechali niespodziewanie także niemieccy członkowie rodziny – faceci w mundurach Wehrmachtu, nie znający polskiego... A wszyscy – Polacy i Niemcy pełni uwielbienia dla seniora rodu, ponoć wspaniałego handlowca. Obecnie ta jego historia o polsko-niemieckiej, rodzinnej komitywie miałaby może wzięcie z oczywistych względów. Wówczas jednak, w niewiele lat po wojnie, kiedy chciałem o wielu rzeczach zapomnieć, przyjmowałem ją z mieszanymi uczuciami.

W dole niebo zionęło żarem, tutaj na wyżynach Puszcza Jodłowa zdawała się nas otulać wonnym i chłodnym tchnieniem. Słońce prześwietlało liście drzew. Seledynowa poświata co jakiś czas przeradzała się w mrok. Widać po niebie wędrowały chmury. Wyszliśmy na

rozległą, rozslonecznioną polaną, z racji sterczących kikutów drzew, połamanych niegdyś wiatrem, przypominającą nie dogolony policzek giganta. J.K. przerwał kolejną relację, tym razem o swoim i swej żony wojennym pobycie u Kasprowiczów w zakopiańskiej Harendzie. Jakoś mało z tej jego opowieści zapamiętałem.

Zbliżała się burza. Szła pięknie, z godnością, poprzedzana drobnymi harcownikami jedwabistych chmurek. Odległa jeszcze i nierzeczywista, rozświetlała niebo tuż nad horyzontem. Nie zapomniałem tej chwili: lęk, że nadejdzie, i radość zarazem, że coś wielkiego będzie się wnet działo, pełne nadziei oczekiwanie własnej trwogi.

Wymieniliśmy obaj jakieś nic nie znaczące, uspokajające zdania i ruszyliśmy dalej pod górę.

– Studiowałem leśnictwo. Nie wiem, czy ci wspomniałem – zaczął J.K. zaraz po przejściu kilku kroków.

– Chyba nie – sapnąłem w odpowiedzi. – Parno niesamowicie – zdjąłem koszulę. – Zaraz będzie lało.

– Coś ci opowiem – pisarz uśmiechnął się, wyraźnie nieobecny myślami.

„Znowu” – westchnąłem w duchu. – To może przystaniemy?

– Chyba, że nie chcesz tego słuchać – dysząc parł przed siebie, jak gdyby zamierzona opowieść już z góry dodała mu sił.

– Nie chcę niczego o wojnie.

Odleglejsze grzmoty przypominały dudnienie wysypywanych na deski ziemniaków, bliższe – eksplozje bomb.

– To będzie historia pokojowa – J.K. zatrzymał się na moment i spojrzał na mnie – ale powinna ci się spodobać. Opowiesz ją w moim imieniu swojej pani, swojej dziewczynie – poprawił się. – Więc studiowałem leśnictwo.

– Zaczyna kapać – zasygnalizowałem.

Skrzywił się, wyraźnie niezadowolony, że mu przerwałem.

– ... Po drugim albo trzecim roku wysłała nas uczelnia na praktykę wakacyjną w sam środek lasów w rejonie Lechowa. Wyobraź sobie – stara, zmurszała, rozpadająca się leśniczówka, takiz w niej stareńki leśniczy (miał największe uszy, jakie u kogokolwiek widziałem) i my obaj mniej więcej w twoim wieku – a więc jurni zawadiacy, niezależni i tą młodzieńczą niezależnością chyba w jakimś stopniu szaleni. Dobrze, że nie było powstania.

– Rozumiem – uśmiechnąłem się.

– Wiem, że rozumiesz. Dlatego dobrze się z tobą czuję – nie odwrócił się, tylko przystanął. Myślałem, że robi to, aby zaczerpnąć tchu. Ale myliłem się. On chyba uśmiechnięty, szukał

właściwych słów. – Powiem ci szczerze – zaczął. – Marzyliśmy obaj o jakimś towarzystwie. O dziewczynach, o seksie. Sam rozumiesz. – Ruszył znowu przed siebie. Piorun gruchnął gdzieś o wiele bliżej. Pomyślałem, że jesteśmy wśród drzew i że to niebezpieczne. Gromy nie robiły na nim wrażenia.

– Upłynął jeden tydzień. Potem drugi – ciągnął dalej. – Wyobcowanie zaczęło się nam już z wolna rzucać na mózg. Nasze rozmowy krążyły coraz obsesyjnie) wokół tej jednej sprawy, marzenia, tęsknoty. A tu mój kolega przybiega od strony rzeczki. Woda w rzekach była w tamtych czasach czysta jak kryształ. Biegnie i wrzeszczy już z daleka prawie nieprzytomny z podniecenia, że jakieś dwie letniczki opalają się na plaży.

– Dziewczyny czy stare? – pytam go rzeczowo.

– Młode. Człowieku, jakie piękne! – Romek wywraca z zachwytu oczyma”.

– Patrz, wszystko sobie naraz przypomniałem – ekscytuje się J.K., ten dzisiejszy. – Jego imię, nazwę rzeczki. To była Lina.

– No i co? – Konstatuję, że burza jak gdyby przechodziła bokiem. – Co dalej?

J.K. zwraca się ku mnie. Wygląda w tej chwili młodo. Oczy mu błyszczą.

– Co? – chichocze. – I ty się pytasz? A jak uwiodłeś pannę Irminę?

Opanowuję śmiech, aby nie podkreślać, że on istnieje już w zupełnie innej przegrodzie czasu. „Wapniaku jeden – myślę. – Nie uwierzyłybyś i tak, gdybym ci powiedział”.

– To się jakoś... samo stało – oświadczam skromnie.

– W tamtym okresie to było, bracie, piekielnie trudne. Romantyzm się jeszcze kłaniał i to ten nasz, polski – pełen westchnień. Trzeba było deklamować wiersze, śpiewać, zapewniać o wieczystej miłości, w dodatku wyłącznie tęsknej, patetycznej. Obaj zrobiliśmy wszystko, co należało. Od świtu do nocy zapewnialiśmy, rozśmieszaliśmy, wyznawaliśmy. Trwało to... chyba ponad tydzień. Musisz uwzględnić naszą błyskotliwość, robaczki świętojańskie, woń traw i lasu, słońce, księżyc w pełni wiszący nad rzeczką jak chiński lampion. To wszystko było korzystne.

– Oczywiście – kiwnąłem głową ze zrozumieniem. – Tydzień, całkiem dobre tempo.

– Rekordowe! Tego wy dzisiaj nie jesteście w stanie pojąć. To była główna wygrana na loterii! Victoria wiedeńska! Kariera filmowa! Obie oznajmiły, że owszem, będą nasze, ale stawiają jeden warunek: nigdy w lesie czy na plaży to się nie stanie, lecz tylko normalnie, pod dachem. „N o r m a l n i e”, pojmujesz? A tu nasz kłapouch leśniczy i co z nim zrobić?

– Szkoda, że te dwie nie miały koleżanki – westchnąłem. – Sprawa byłaby prosta.

Pociemniało nagle. Pomyślałem, że jednak lunie. Daleko w dole szły ukosem, podświetlone słońcem całe pasy deszczu.

– Stary dał się wreszcie uprosić. Bakczysz też dostał i to zrobiło swoje. Miał odwiedzić brata w miasteczku, iść do kina, do baru. Przenocować i wrócić nazajutrz około południa. I co ci powie – udało się nam jakimś cudem zrobić wystawne przyjęcie! Na rowerze przywiozłem z miasteczka i wino, i wędliny, nawet tort. Stypendia poszły. Zostaliśmy kompletnie bez grosza, ale przecież nie to było ważne. Ty wiesz, jak czekaliśmy na nasze bogdanki?... To był łomot serc, załamania, niepewność, niewiara w tak wielkie szczęście. Wreszcie... ziściło się, niewiarygodne, ale przyszły – piękne, zawstydzone, upragnione tak strasznie... – opowiadający przerwał. I on chyba także zauważył, że burza gwałtownym nawrotem rzuciła się nie wiedzieć kiedy w naszym kierunku i że ani chybi, niebawem znajdziemy się w jej władaniu.

– Nie pamiętam już po ilu godzinach uwodzenia, namów, zapewnień, po ilu kieliszkach wina, pieszczot przelotnych, pocałunków zwiewnych, my obaj – to znaczy – nasze dwie pary znalazły się wreszcie w łózkach, ustawionych oczywiście jedno przy jednej ścianie, a drugie przy drugiej. To ustawienie dokonane zostało po wielu debatach i strategicznych naradach nas dwóch.

I teraz najpiękniejsze – wyobraź sobie – jestem z tą moją, z jej ciałem cudownym, gorącym – jak ci tu powie, jak określić to napięcie, pożądanie szczęście?... W szalonym porywie wtulamy się oboje w siebie, aż tu nagle, zupełnie niespodziewanie... – Nie dane mu było dokończyć zdania. Natura – wiele razy to stwierdziłem – zespała się niekiedy harmonijnie z wydarzeniem wykreowanym przez człowieka. Błysnęło oślepiająco i piorun gruchnął naraz tak blisko, że zamarliśmy obaj z przerażenia. Jednocześnie zawył wiatr i lunęła ulewa. Istne oberwanie chmury dokonywało się, rozwijało i utwierdzało przepięknie w myśl górskiego scenariusza. Wiatr zamienił się w wicher. Potoki deszczu siekły, omiatały, zdawały się przenikać na wskroś. Opowiadanie czegokolwiek, rozmowa, a nawet zwykłe słowa stały się abstrakcją. Próbując za wszelką cenę i bez powodzenia utrzymywać równowagę, sunęliśmy w dół po piekielnie oślizgłej stromiźnie. Niewieleśmy widzieli. Miotane szalonymi powiewami gałęzie biły nas w twarze. Zacinający deszcz był zdecydowanie najgęstszy, jaki mnie zmoczył kiedykolwiek. Do schroniska w Świętej Katarzynie dowiekliśmy się wieczorem, przemoczeni, jakbyśmy w ubraniach uczestniczyli w zawodach pływackich. Nie bardzo pamiętam, co jeszcze zdarzyło się tego dnia. Jedno jest pewne, że coś sprawiło, iż niespodziewanie rozstałem się z J.K. i, jak to w życiu bywa, w ciągu ponad ćwierćwiecza nie widziałem go ani razu. Mnie i J.K. z osobna przeminęły kolejne lata złudzeń, fałszu, nadziei, występków i goryczy. Było tuż po stanie wojennym. Każdy w naszym kraju przypominał boksera podnoszącego się po nokaucie. W moim,

którymś tam kolejnym mieszkaniu, pewnego dnia zadzwonił telefon. Jakaś starsza pani, upewniwszy się najpierw, że mówi właśnie ze mną, oznajmiła, że jest żoną J.K.

– Mąż chciałby koniecznie pana zobaczyć – powiedziała.

Nie kryję, że trochę zdumiony, wyraziłem zgodę na spotkanie. O ile pamiętam, spytałem, dlaczego J.K. nie zadzwonił do mnie osobiście.

– Przepraszam, powinnam od tego zacząć. Widzi pan... jego stan jest bardzo ciężki. – Nieznajoma pani przerwała i zrozumiałem, że płacze. – To właściwie... sam pan rozumie... czas ograniczony. Leży na onkologii... – podjęła po chwili.

– W którym szpitalu? Zaraz jadę. – Ciemna chmura wsunęła się do mego pokoju, przeniknęła mnie i obezwładniła.

I oto niebawem inny świat – szpitalna izolatka. Zatechły zapach. Ekran monitora elektrokardiografu w górze, za głową postaci, która stała się zdumiewająco drobną, tak nieznacznie bowiem kołdra zaznaczała jej wypukłość. Serce zaczęło mi łomotać. Zaplotłem palce obu dłoni.

Pożółkła, wychudła twarz zmieniła pozycję. Wpadnięte oczy spojrzały na mnie. Ścieniała, niemal dziecięca ręka dała znak, abym podszedł.

– Siadaj tu! – odmieniony straszliwie J.K. rzucił szeptem, wskazując krzesło przy łóżku.

„To nie może być ten sam człowiek – pomyślałem w popłochu. – I cóż teraz powiedzieć temu innemu?”

– Tylko nie mów, że dobrze wyglądam – wychrypiał z wysiłkiem leżący. Jego uśmiech był grymasem, z jakim sportowcy pokonują najtrudniejsze przeszkody.

– Wyglądasz fatalnie – spróbowałem się uśmiechnąć. Uprzytomniłem sobie jednocześnie, że redagował swe myśli po dawnemu. A więc własny i tylko własny sposób bycia zakodowany jest w nas na zawsze. Chryste, przecież tę jego promienną i szczerą nosiłem w sobie przez te lata. Teraz gotowa zniknąć z nim razem!

– Muszę ci przecież... dokończyć – wskazał mi szklanę z sokiem stojącą na stoliku. Podsunałem mu ją do warg. Upił łyk. – Wiesz co, prawda?

Dziś konstatuje, że logicznie czy też konsekwentnie rozwijająca się „story”, spisana w dodatku, posiada podstawowy mankament. Jest nim, z racji ciągłości narracji, o wiele mniejsza możliwość zaskoczenia czytelnika.

Owego dnia, w izolatce szpitala przy ul. Szaserów, zadane mi przez J.K. pytanie wprowadziło mnie w osłupienie. Nie miałem pojęcia, o czym mówił. Chory odebrał to natychmiast. Z lekką nutą zniecierpliwienia (skrzywił się chyba jakby z bólu), z rozczarowaniem czytelnym nawet w tym jego skrzypiącym głosie, dodał w formie grzecznościowego wyjaśnienia, lecz zarazem

bez najmniejszego wstępu, jak współczesny reżyser zaczynający następny kadr filmu oddzielony tysiącem lat od poprzedniego:

– ... Opowiedziałem, że zaczynaliśmy się kochać z tą moją dziewczyną w łóżku, pamiętasz? I wtedy straszliwy huk...

– Jasne. Bo uderzył piorun! – wykrzyknąłem, rad że przypomniałem sobie wszystko.

– Żaden piorun. O czym ty mówisz? – Ręka J. K. wykonała niecierpliwy gest. – Ja z tą cudną dziewczyną, pożądanie, pożoga krwi, rozumiesz, cudowne opętanie dwojga młodych ciał. A tu nagle potężny łomot w tym samym pokoju. Zupełnie jakby... wybuchła bomba albo zawalił się dom. Bo też hi, hi, hi... zawalił się... tylko że... częściowo.

Głowa leżącego zaczęła nagle drgać. Usta wydawały świszczący odgłos. Nie pojmując, co się dzieje, sięgnąłem po szklankę z sokiem. Odsunął ją. Wtedy pojąłem, że to był śmiech. J.K., można powiedzieć, zanosił się śmiechem. Oczywiście na miarę swych możliwości.

– ... Wyobraź sobie – chrypiał dalej z podnieceniem – podrywamy się oboje, patrzymy w stronę drugiego łóżka, a tu... hi, hi, hi..., a tu nie ma ich, nie ma łóżka, zniknęli! – J.K. pokonany naporem wspomnień i napadem wesołości, trząśnięty całym, zatracał. Przeraził wie wychudłą dłonią otarł zażawione powieki.

– Zaszko ci – rzuciłem też się śmiejąc.

– Mnie już nic... nie może.. zaszko... – chichotał.

Rozśmieszał mnie niegdyś bez trudu. To również się nie zmieniło.

– Jak to „zniknęli”? – próbowałem swą powagą zmitygować nas obu. Bez powodzenia. Parsknął śmiechem i już za chwilę chichotaliśmy obaj po dawnemu jak wariaci.

– ... Chcę, żebyś to... zobaczył: dwa nagusy – ja i ta moja patrzymy oniemiały, klęcząc na skraju czegoś w rodzaju... urwiska. Bo zmurszała, przegniła podłoga zarwała się i tamci oboje... – O, Boże, trzymaj mnie! – tamci oboje wpadli razem z łóżkiem do piwnicy. I sytuacja taka: jedna para golasów gramoli się w dole, próbując wyleźć wyżej. Dwa golasy patrzą – J.K. wskazał szklankę. Wychylił jej zawartość jednym haustem, zamasyście jak wódkę. – Oni się gramolą, próbują wyleźć z otchłani. My turlamy się ze śmiechu po podłodze... Wyobrażasz to sobie?

– Wyobrażam. Zlituj się! Słowo daję, nie mam już sił. – Teraz ja przechodziłem kryzys. Bolały mnie mięśnie brzucha.

– Pomogliśmy – ciągnął J.K. zdławionym szeptem. – Wyszli wreszcie i, bracie, co tu kryć – jakby ktoś wyciągnął korek z butelki szczęścia – noc obłądana nastąpiła – szalona, rozpasana, bachiczna, pełna radości. Piliśmy wino, śpiewaliśmy, kochaliśmy się, tańczyli aż do rana. Nie! Nie potrafię tego wyrazić... Och, zmęczyłem się – J.K. zaczerpnął tchu – ale warto było

nawet spróbować to... opowiedzieć. Bo samo przeżycie stanowiło dla mnie.. zawsze – dyszał – godne chyba jest tego, abyś je kiedyś... spisał. A teraz już idź! – Twarz J.K. poszarzała. – Do zobaczenia gdzieś, po drugiej stronie.

– Dziękuję. Cześć! – zdołałem wypowiedzieć przez ściśnięte gardło i wyszedłem.

Po kilkunastu dniach niosłem go w trumnie na wilanowski cmentarz.

## Romans

**Prof. Aleksandrowi Bardiniemu  
Pierwszemu radiowemu lektorowi  
moich opowiadań w 1955r**

– Usiądę... Czemu nie. Tylko ta moja... noga – piekielnica – radość życia moja... Co pan inspektor tak patrzy? Prowadzili mnie, panie, na rozwałkę w czterdziestym czwartym. Trzydziestu rozstrzelali wtenczas, ale ze mną... Nie dali rady. Obiektywnie. Człowiek młody był, nerwy jak postronki.

Prowadzą nas. Wlokę się koło takiego w narciarce (na hitlerjugenda wyglądał). Idziemy obaj koło siebie i widzę, że ten niby hitlerjugend też jak ja filuje na boki, że też się przymierza. Dookoła Wachposten z karabinami. I prysnęliśmy przy lesie, jak na sygnał, jakbyśmy się zmówili na ten bieg. Rekord świata wtenczas pobiliśmy – obiektywnie – udało się, choć esesi prali do nas aż grzmiało. To znaczy, że gdyby nie tamten, co na młodego Niemca podpadał, tobym się z tego lasu, tych tańczących drzew z przestrzelonym giczolem nie wyczołgał. I jeszcze... gdyby ten młody esesmańskiego psa, co nas dopadł własnymi rękami nie udusił. Gdyby, gdyby... To był czas na takie słowo. Bo potem... gdybyśmy górami nie uciekali, toby nas capnęli i już bym nie miał... przyjemności z panem inspektorem... Ja – poczucie humoru?... Chociaż... Ja mam wszystko, panie inspektorze. A poczucie zdziwienia jest na świecie?... Bo tyle lat przeszło, a ciurkiem oczy wybałuszam... jak to powiedzieć?... Słońcem się cieszę i morzem gniewnym, kiedy sztorm. Tylko... sny mnie nachodzą – Uciekam skacząc na zdrowej nodze. Potem chłopak w narciarce targa mnie na plecach, zwala na stromiźnie i dyszy leżąc obok. A ja go... Pan ma syna, panie inspektorze?... Ma pan. To dobrze. Ja bezdzielny. Tak sobie myślę, że wtedy tego w narciarce jak syna własnego... Jak to z kochaniem jest... Ani się nie da o tym mówić. Obiektywnie. Ale powiem – kochałem tego chłopaka. „Jeszcze Polska nie zginęła, jeśli tacy jak on żyją” – myślałem. I to myślenie radości mi dodało największej. Patrę – chłopak ustami śnieg nabiera jak dziecko i zaczynam się śmiać – tak do życia rechotać, z siebie, z tej rąbanki głupiej na handel wiezionej, przez którą ze Świętym Piotrem bym się przedwcześnie zobaczył, z tej cholernej parabelki, której



mi nie wymacali przy rewizji. Wyjmuję ją, całuję zimną stal.

– Ech, bracie, cały ten trzeci Reich szlag musi trafić – wysapuję do tamtego, który mi nogawkę spodni rozcina. – Za głupi są. O rany, dopiero teraz rozumiem, jaki ważny jest zapach lasu!

– Ważny? – ten na hitlerjugenda podpadający patrzy na mnie i widzę, że to całkiem młody chłopak.

– Nie mów tyle! – powiada i podnosi się. Oczy ma zimne.

– Czemuś mnie przywłókł aż tutaj? – wykrzykuję. – Mogli cię przecie... Każdy wie, że gdybyś mnie zostawił, miałbyś pewność, że ci się uda. – Wciąż chce mi się śpiewać z radości, że żyję. Kolana nawet nie czuję. Śniegiem sobie spoconą twarz przecieram i dobrze.

– Co ty tak pieprzysz? – przykłęka i mocniej zaciąga mi pas na udzie. – Cholera, krew masz rzadką, czy jak? Cieknie i cieknie. But pełen. Boli cię? W kolanie ci kula siedzi. Musisz do doktora.

– Może do szpitala? Do sanatorium?... – zaczynam chichotać i zaraz potem telepać się jak głupi. Nerwy puściły. – Na dziwki bym poszedł, albo... na Berlin! – próbuję wykrztusić rozdygotanymi ustami. Śmiech tylko mi został. A do dziś – ta noga, co się zginać nie chce. No, ale... już dobrze – o-kej! – siedzi się, panie inspektorze... Pan myśli, że zagaduję. Pewno, że to nie ma nic do rzeczy... Ale chciał pan, żebym powiedział, co wiem. Pan jest kawałkiem mnie. Ja jestem kawałkiem pana... Wszystko połączone, przenikające... To, co było – z tym co jest. Obiektywnie. Myśli pan, żem zwariował?... Nie. Jeszcze długo nie zwariuję. Do końca chcę świat czuć i oglądać... Obiektywnie... Wszystko w życiu dzieje się logicznie. Na ten przykład – naród się od sierpnia pali, jak proch rozsypany na kuchennym blacie. Taki proch – widział pan inspektor? – nie od razu wybucha. Płomień się przenosi, sunie i tak długo chodzi, dopóki się wszystko nie wypraży do imentu. U nas z ludźmi tak samo. Ogień wędrujący. Najpierw protestują jedni, potem drudzy. Chłopak roztropek z Kłaja powiada: Co jest, jak pragnę Boga! Zbąszynianie się burzą? Wyrzucają wreszcie, co ich boli? Na ulice wyszli jak jeden? A co ja? Gorszy od nich? Tchórzliwszy? Mniej uszkodzony? „Bracia! – powiada zaraz do sąsiadów. – Niedoczekanie, żeby ktoś miał być lepszy od nas! Idziemy! Zorganizujemy taki strajk, strajk na cztery fajerki, że cała Polska o nas usłyszy! Powód się zawsze znajdzie! Nie zrobili nas na szaro? Nie wystawili do wiatru?!”. I biją brawo, przypominają sobie jedną z doznanych krzywd, że to niby na początek o nią będą walczyć. Później zaraz do głowy przychodzi im inna! Draństw było tyle, że duży magazyn krzywd uskładał naród polski. Problemów jak z miłością nie ma. Uśmiecha się pan inspektor. Założę się, że myśli pan sobie – jak to teraz o takich jak ja mówią – „odbija mu ze sklerozy”. Ale

sklerozy nie mam. Odbija mi się, to prawda, tylko że z głupoty, jaką widzę dookoła. Z wielkością ta głupota pomieszana tak dokumentnie. Z odwagą aktorstwo tak splecione, że ani wyłuskać jedno od drugiego. Fałsz, świętość, obłuda, szlachetność... O wolność walka, o przyszłość zmagania. Wszystko w jednym garnku wrze, kipi. Ale naród prawdę odcedzi. Nie takie rzeczy przechodził a zwyciężał. Pan inspektor niech papierosy rzuci, bo życie jedno... Jeszcze o inną śmierć zawadziłem – zaraz po wojnie. Żona mnie wtenczas porzuciła. Umierałem z rozpaczy. Tom sobie babkę znalazł– niby na złość losowi he, he... Zośka jej było.

– Pójdę za tobą wszędzie – powiada ta nowa. – Choćby na koniec świata. – Namiętna była, piękna, nie dla mnie. Alem od razu o tym nie wiedział. Wszystko we mnie wybuchło.

– Zaczniemy nowe życie – mówię do niej którejś nocy i wierzę we własne słowa, bo obiektywnie czuję, jakbym cały świat, za przeproszeniem, w ramionach trzymał. „Naszą jest noc i oprócz niej nie mamy nic” śpiewamy razem i znowu rozpusta.

– Jesteś piękny, najlepszy. Z tobą mi dobrze, jak z nikim dotąd – powiada. A ja zaraz wierzę. Na jakiś czas znowu uwierzyłem w bajki.

– Tyś ma! – wykrzykuję. Zbuduję dom. Będziemy mieli dzieci!

– Pierwszy będzie chłopiec. I podobny do ciebie – śmieje się, oczami diabolicznie strzela, ramiona oplata. Każdy chłop przejść musi taką wzniosłą chorobę. Jak ktoś mówi, że czegoś takiego nie doświadczył, to nie wierzę. Obiektywnie. O czym to ja?... No więc... Odeszła. Nie pisze. Przyjechałem do niej do Piotrkowa. A tam już przy Zośce inny – legalny, zaobrączkowany. I co ja robię? Uwierzyłby pan inspektor? – Nocami krążę wokół ich domu. Zazdrość skomli we mnie, pali ogniem piekielnym.

– Puszczasz w szwach – przepija do mnie kumpel, przyjaciel niby, niejaki Widerski Józef. – Jak się nie weźmiesz w garść, to wysiądziesz. Już wyglądasz, jakbyś na księżą oborę patrzył.

– Ja puszczam w szwach? Źle widzisz? Ja? Ona mi wisi. Wszystkie baby, to kurwy! – mamlą po pijacku. – Ja z tobą!... konie kraść... na... pijesz... się? Stary!... Bracie!... – Nowe sety zamawiam, do barmanki się uśmiecham, jakbym i ja miał na czarnulę ochotę. I – jak we śnie – jestem z nią w łóżku. Prezenty dałem, komplementy mówiłem różne. Zgodziła się.

– Pan taki inny – chodzi goła po pokoju. Wstydu nie ma. Do umywalki za przeproszeniem... tego... Nogę podnosi tylko. Z hotelowymi pokojami obeznana. Z chłopami też. „Mógłby być tu z tobą każdy. Też byś się nie wstydziła” – myślę.

– Miła jesteś. Jak ci na imię?

A ona: Chwile szczęścia są takie krótkie. – Przeciąga się. Ale to już nie to. Odeszło mi.

Mogłaby się wdzięczyc całymi nocami, a ja zimny, nie jej, wyważony. Wszystko widzę wyraźnie, doceniam. Ale niczego nie czuję. Nie! Jak to bardzo trzeba uważać na słowa – czuję! Ale jak gdyby poza mną i pomimo mojej woli. Czuję, że zaczyna mi się nowy okres tego... Jak to nazwać – życia, istnienia?... Nie – nadziei. Bo wszystko co jakiś czas w sobie zmieniamy. No, to wyjechałem po tym romansie. Na zapadłą wiochę mnie poniosło. Fabrykę zaczynali budować. Las wycinają, mordują drzewa po kolei. Miejscowi oczy wybałuszają na te wszystkie potwory sunące dookoła. Na gąsienice, co miażdżą łąki pełne kwiatów i głuszą śpiew ptaków.

Na dziwne, fufajkowe stwory ryczące nocami po pijaku. A ja apiać głupi, na oczach bielmo. W budowaniu od podstaw moja nadzieja. Na magazyniera mnie przyjęli. Zaraz się pan inspektor ucieszy, bo jeszcze jedną krychę pan u mnie odkryje. Ale stary nie jestem i pracować mogę. Podkreślam – pracować!... Wcale nie krzyczę. Panie inspektorze, ja obiektywnie mówię, jak było. O żadnym tam krzyczeniu nie ma mowy. Nic więcej. Nieczęsto tak opowiadam o sobie i nie do byle kogo. Przyjechał pan do mnie. Jak to się mówi – „w mojej sprawie”. Rzecz służbowa. Miałem mówić o sobie, to mówię, tak czy nie?... No, to wysłuchać mnie pan ma prawo... Co to znaczy – „nie na temat”? Bo mówię szybko, o latach, jakbym leciał przez nie odrzutowcem. Może pan inspektor śpiący?... Dać kawy? Hotel mały, ale porządny. W kuchni pewno jeszcze mają. Pan chce mnie załatwić i jechać. Może by pan tak dawniej zrobił – odfajkował i z głowy. Ale... zmieniło się. Ja mam swój związek zawodowy – własny, w sobie. I silny, bo sprawdzony przez lata. Innym nie wierzę. Tyle powiem, że mnie z tego magazynierowania wysiudali. Dwaj ze mną pracowali – Kubasik Andrzej i Kownacki Stefan. Cwaniacy. Myśleli, że dalej będą podkradać. Ale nie ze mną lewe interesy. Tyle, że ci dwaj wtyczki wszędzie mieli. U góry, u dom...

A ja sam jak palec. Jeszcze to drzewo doszło. Afera, że aż w gazecie o tym pisali. Dąb stary, ale jary. Pień, że pięciu ludzi nie obejmie. Korona piękna. Trzysta lat się rozrastała najmniej. A tu – na wyrąb. Dyrekcja przy swoim obstaje, bo niby drzewo na szosie przyszłej stoi. Jakoś tak... – sam nie wiem, jak to nazwać – ulubilem sobie te konary potężne, ten pień ogromniasty, a nawet chyba coś większego czułem.

- Psiakrew! Po moim trupie go zetniecie! – mówię do tych z piłą mechaniczną.
- Nie podskakuj! – odpowiada jeden, taki z płaską twarzą, jakby mu ją ktoś sprasował.
- A co, twoje? – zbliża się drugi. – Magazynier od wszystkiego jesteś?
- A od wszystkiego! – Złość we mnie narasta. – Głaby kapuściane, jeden krok zrobicie, to ciężka wasza niedola!
- Dołóż mu! – Spłaszczony zwraca się do towarzysza.

– Jak pragnę Boga, zjeżdżaj stąd, wuju! – Tamten podchodzi i wtedy ręka moja, jak nie własna, bije go na odlew w czerwony, opalony pysek. Panu inspektorowi wyraz się nie podoba. Ale jest tak – jedni ludzie twarze mają, a inni – pyski. To ja mu w ryja, że aż się nogami nakrył. Rękę mam, nie chwaląc się, twardą. Drugi do mnie i znów robię to samo. Afera. Komitet fabryczny mnie wzywa. Na ścianie orzeł, pierwszy sekretarz – jak trza.

– Machowiak, czy wyście zwariowali! – sekretarz POP-u nic tylko się po pokoju przechadza.

– Drzewa ściąć nie dam. Za długo rosło. – Siedzę patrząc przed siebie.

– Budujemy wszystko od podstaw – ten mi na to. – Będzie wspaniała fabryka. Ileż miejsc pracy dla okolicznej ludności! Jedno takie drzewo nie ma najmniejszego znaczenia. Zasadzimy tu setki nowych. Park zrobimy.

– To już jedno parkowe będzie z głowy.

– Zastanówcie się! – Zapala papierosa. Mnie ani myśli dać, bo wściekły. – Już proboszcz się wmieszał i z ambony zachęca ludzi, żeby tego dębu wyciąć nie dali. Z klechą się bratacie? Dywersję ideologiczną chcecie robić? Droga ma iść prosto do zakładu. Drzewo przeszkadza.

– Droga? A myślałem, że szosa – własnego papierosa zapalam.

– Do walki ze stonką się nie włączył. Dla mnie wszystko jasne.

To sabotaż – mówi taki jeden, Mągwa się nazywa, który dopiero co wszedł, a już wie, o czym mowa.

– A z sabotażystami umiemy się rozprawić. Machowiak, objawiliście się jako wróg klasowy. Nie będziemy się z wami cackać.

– Rozprawiajcie się. Ja tam się nie boję. Drzewo też potrzebne – próbuję się bronić wodząc oczami, bo teraz kiedy sekretarz wreszcie usiadł, to Mągwa zaczął się przechadzać.

– Komu potrzebne jedno drzewo w samym środku szosy! – wrzeszczy dyrektor, który też się pojawił. – Machowiak, czy wy jesteście normalni?! Plan nam się zawali! Ludzie na akordzie szosę robią. A ten jakiś tam – romantyk!

Już się zaczynałem bać. Człowiekiem bym nie był, lęku nie czując, kiedy wszyscy najważniejsi szarpią. Szczerze mówiąc, samego siebie nie pojmowałem. „Drzewo... Co mi się stało? Jakbym o cały las walczył. W dodatku o własny” – myślałem już prawie gotów do uległości. A tu nagle dyrektor z tym „romantykem” wyjechał i słowo, którego wtedy – szczerze mówiąc – nie rozumiałem (dopiero od początku portierskiej „kariery” książki czytać zacząłem). A więc po dyrektorsku wypowiedziany wyraz „romantyk” zabrzmiał tak obraźliwie, że się zaciąłem na dobre i postanowiłem nie ustąpić za nic.

Drzewo wycięli w nocy. Wyjechałem. Las poważam. Obiektywnie. Więcej poważam, niż

najlepsze maszyny. Las to jak naród. Drzewa dumne i nie ukrywające niczego. Drzewo kłamać nie umie. Stoi i przyznaje się do wszystkiego tym, że wiatrami wygięte, tym że rany ma albo blizny. Słabi się własnych blizn boją. Obiektywnie. Myślą, że jak je kłamstwami osłonią, to silniejsi się staną... Pan mówi „do rzeczy”! A to nie „do rzeczy”, co o mnie? Przecież się od dziś nie zaczął. Wszystko we mnie, jak to kolano wojenne – głupie, a po trochu – tak sobie nieraz myślę – mądre. Uśmiecha się pan inspektor. A kolano własne szczęście mi daje, bo przypomina, że żyję. Jak boleć przestaje, tom dwa razy zdrowszy od innych. Jak émi albo rwie, to mówię: „Machowiak, tylu porządnych ludzi wykończyli. Kiedy cierpisz, to się do nich przybliżasz...”. W tym nic wesołego nie ma, panie inspektorze. A do naszej sprawy dojdziemy. Pociąg ma pan rano. Śpiący pan?... No, jak nie śpiący, to panu inspektorowi... O szczęściu pan usłyszysz... Jaki tam ze mnie aktor. Chyba ze spalonego teatru... Opowiadam, bo mnie pan nie tylko słucha, ale SŁYSZY.

A ze szczęściem, to było tak. Żona jeszcze ze mną, kuternogą wytrzymywała. Jeszczem się jej nie uprzykrzył. Opowiem o tym szczęściu. Nigdy o tym nikomu nie wspominał.

Panie, okupacja u nas w Zamojskiem była ciężka. Taka ciężka, że zdawało się, że trwa już ze sto lat. Szwaby ludzi męczyli, zabijali, dzieci wywozili na zniemczenie, wsie palili... Więc jak nastuplenije się zaczęło, znaczy jak Ruskie przysły i pognały Niemców jeszcze dalej, czołgi, to, panie, najprzód szły dniem i nocą, a dookoła tylko dudniło. Obiektywnie. Potem, to już ani człowiek nie wiedział, co to tak dudni: armaty czy czołgi. Wielkie wszystko było jak domy. Parę dni się las palił, to tu, to tam. Od bomb, panie inspektorze, bo Niemcy (dzisiaj to „hitlerowcy” o nich mówią) jeszcze latali w samolotach. Jak ich odrzucili, to sztab radziecki się zainstalował na plebanii. Nie na plebanii – co ja mówię – w szkole. W szkole sztab ruski siedzi, front za lasem, a szosą ambulanse i wozy z rannymi suną. Wloką się ciągiem na wschód i wloką, aż strach patrzeć – dzień i noc to trwa. Jak skończyli z rannymi, to znowu jeńcy idą. Czwórkami ich prowadzili. Cała wieś przyszła patrzeć i radość w narodzie siedziała taka, że ani opisać. Obiektywnie. Pięć lat przecie szwaby mordowały, a tu każdy patrzy: idą jak baranki, jakby nie ci sami. Jeden z głową obwiązaną brudną szmatą, inny z sinym nosem od odmrożenia albo kulejący, a jeszcze inny... Ech, co tu mówić. Sam pan inspektor wie, jak było, choć pan młody. Filmy o tym są, książki... Nie nudzę pana inspektora?...

Kiedy to wszystko się przewaliło, to Ruscy krowy zaczęli pędzić. Bauerzy pouciekali, a krowy zostawili. Szły, panie inspektorze, jak rzeka. Nie, jakby rzeka wystąpiła z brzegów. Aż się coś z człowiekiem robiło, bo to przez te pięć lat zabrali cały przychówek i w oborze jedna krowa została wszystkiego, a marna taka, że za pół ją trzeba było liczyć.

To moja stara mówi – idź, zabierz naszą, poproś któregoś z Ruskich, żeby wymienił ci na

inną, wydarzoną. Przecie nawet jak policzone, to się im liczba będzie zgadzać.

No i dowlokłem się jakoś kulejący. Przystanąłem wedle drogi pół żywy (w kolanie łupie) i jakby nigdy nic patrzymy z krasulą na te, co idą szosą. A szły, panie inspektorze – obiektywnie – takie, że tylko na wystawie pokazywać. Ta nasza wyglądała przy nich jak nie przymierzając koza. Jak raz pokazał się któryś z tych mundurowych, co na tę godzinę uważali, to ja do niego po rusku – Tawariszcz, zdraswujcie! Krowa u mnie płocha. Pamieniaj! On tylko spojrział i mówi: – Charaszo.

No to moją puściłem ze stadem i wybrałem: holenderkę. Mógł pan inspektor ją widzieć: kark jak u byka, zad szeroki, wymiona takie, że prawie po ziemi wlecze. Przypędziłem ją do domu. Kolano boli. Opatrunki cięgiem zmieniam, a tu moja stara jak nie zacznie oglądać i wydziwiać, że to niby to złe, tamto jej się nie podoba. A na końcu mówi: ochwacona. Jaka znowu ochwacona – odpowiadam. – Kobieto, przecie miej rozum. W życiu takiej krowy nie miałaś. Obora będzie za mała. I takie jeszcze inne rzeczy mówię, a ona nic, tylko swoje: ochwacona i ochwacona.

Rozeźliłem się, bo widzę obiektywnie, że racji nie ma. Ale co było robić. Pan inspektor wie, jak to z kobitami. Zagnałem holenderkę na to samo miejsce, co tamtą. Znaczy tę pierwszą. Ledwo się z nią dowlokłem.

Patrzę, a tu jak raz idzie stado takich górskich, czerwonych. Niby mniejsze od tamtej, ale mleczne! Do szesnastu litrów dziennie potrafią dawać. To znowu mówię do któregoś z tych taborowych, co pędzili:

– Pamieniaj! Przecie „kazionne”, nie?

A ten apiać to samo – Bieri! – Dobrzy ludzie byli ci Ruscy, tylko wydali mi się wtenczas ubrani jakoś nie po naszemu.

I przypędziłem tę czerwoną do domu. Już ją nawet po drodze nazwałem. Na „Malinę” mi wyglądała. Ja to, panie inspektorze, nawet dziś jeszcze krowę po chodzie poznaję, co ona za jedna i ile warta. Ta chód miała piękny. Szła, jakby ją kto na bal prowadził albo do innego buhaja. Przychodzę, zapędzam do obórki i mówię do swojej:

– No i jak? Widzi ci się?

– Udoję – powiada i bierze skopek. Niedługo nawet siedziała. Wraca. Już kiedy się pokazała, poznałem, że coś nie tak. Wtenczas tom z jej twarzy jeszcze wszystko umiał wyczytać.

– Coś ty przyprowadził?! – mówi.– Krowy nie potrafisz znaleźć? Ta jak dwa litry da, to dobrze będzie. Ledwo co miała w sobie. Wymiona miękkie, kark jej się zapada, pysk suchy...

Jak kark się zapada to jeszcze nic. Ale jak wymiona miękkie, to sam pan inspektor wie –

krowa do niczego. Nie wiedział pan inspektor?... Patrz pan – tyle lat już nic z krowami nie mam, a ciągiem gospodarzę. Wtenczas coś tam jeszcze mówiłem, ale mnie żona przegadała.

To ja znowu do szosy. Ostatkiem sił. Czarną przywiodłem z takimi dużymi rogami, że anim nie wiedział, co to za rasa. Ale ta też się nam nie widziała. Może pan inspektor wierzyć albo nie – pomienialiśmy tego dnia sześć krów i ani jednej mniej. Po następne, to już żona chodziła, bo mnie siły odeszły. Co rusz, to inna przy żłobie stała. W głowie mi się kręciło od tego wszystkiego. Z gorączki chyba też. Ale radość mocniejsza od bólu. To było, panie tak, jakby się coś człowiekowi śniło albo jakby w kinie siedział. Pięć lat nędzy. Do gęby nie ma co włożyć. A tu nagle odmiana – sześć krów mam w oborze. I to jakich krów! Co jedna to inna.

– Ani nie wiem, co robić – mówi żona. – Całkiem jakby cały świat nam przez oborę przechodził.

– Ja tam wiem – odpowiadam rozeźlony. – Moje ojce więcej niż sześć krów mieli.

– Mieli, ale nie jednego dnia, tylko przez lata – śmieje się. I ja jej śmiechem odpowiadam, bo wciąż nie przestaję się dziwić, że takie szczęście na nas przyszło.

A już za rok żony nie mam. Zostawiła mnie na rozstajach. Wszystko co dalej ze mną było, to pan inspektor wie. Chcę tylko nadmienić, że po tym ściętym drzewie, dość miałem wsi, budowy i wszystkich takich. Jak raz znajomek mi powiedział o tym portierowaniu i że dla inwalidy taka praca na Ziemiach Odzyskanych najlepsza. Tom się – jak to dzisiaj mówią – przekwalifikował i przesiedlił.

Jakem w tym hotelu nastał, to trzeba było najsamprzód cegły nosić i dziury po bombach latać. Ale hotel mały – trzydzieści numerów, to jakoś uradziłem... A panu ciągle chodzi o te wyjaśnienia?... Co tu mogą być za wyjaśnienia? Albo dobrze – powiem. Ale tak – obiektywnie – znowu od samego początku. Niech pan inspektor nie wzdycha. To już długo nie potrwa. Jest pan dzisiaj dla mnie jak spowiednik. Wszystko, co się we mnie zbierało przez lata, uszło nagle. Ja nie dlatego, żeby się tłumaczyć. Pan ma rację. Kiedy tak pana inspektora słuchałem, jak pan mówił, to we wszystkim ma pan rację. Wszystko czysta prawda. Takiej jak ona do numeru wpuszczać nie wolno z nikim. Ja nigdy przedtem czegoś takiego nie miałem. Hotel, to jest hotel. Jak recepcja nie patrzy, kto wchodzi, to się z niego robi, sam pan wie co. Rozumiem – obiektywnie – pan inspektor spisze swoje, meldunek musi złożyć, że to niby portier Machowiak w „Morskim” wpuszcza z gośćmi do numerów prostytutki. Że albo ślepy, albo już całkiem zgłupiał na stare lata. Wszystko to pan napisze, wiem. Po to pan jest. Za to panu... No, nic. To nieraz tak jest, że jak na człowieka coś takiego spadnie, to nie wie, od czego zacząć i mamrocze o sobie, jakby obiektywnie słów ludzkiego języka zapomniał.

Pan mówi, panie inspektorze, że uczciwi ludzie na mnie donieśli, że napisali oburzeni, jak to niby ja – za przeproszeniem – burdel z „Morskiego” robię. Ale ważne, kto pisze takie słowa. Ważne czy nie?... Bo napisali – przysięgam, że prawdę mówię! – napisali to rajfurzy, fągasi i ich lafiryndy. Co od dawna na moim miejscu swojego chcą osadzić i wziąć „Morski” we władanie. Nie pasuje im moja chłopska twardość. Nie wyszło im z kupieniem mnie czy zastraszeniem, więc wykorzystali ten jeden raz, kiedy zmiękłem. Jak tu nastąpiłem, to jeszcze w holu, na tej ścianie za panem inspektorem gdzie zegar, swastyka wykuta w murze była. Sam ją wtenczas odbijałem młotem, na drabinie stojąc. Nie dawała się, drańskie nasienie. Parę dni mi na kuciu zeszło... Przepraszam, już mówię. Do nas, do „Morskiego” – widzi pan inspektor – to nie przyjeżdżają żadni tacy ważni goście. Jeszcze w lecie, w sezonie, to się może prędzej ktoś taki trafi, bo plaża piękna, ale w jesieni i na wiosnę to przeważnie tylko tacy do stoczni z teczkami, na służbowych delegacjach. Stocznia jest nieduża, bo tylko kutry rybackie buduje. Ci na delegacji pieniędzy nie mają za wiele, to nie „szumią”, zabawy nie szukają i wracają raz dwa tam, skąd ich przyniosło. Ten kulawy, w sprawie którego – za przeproszeniem – donos pan inspektor dostał, to przyjechał w sobotę. Jak raz miesiąc temu. Dowód mu spisałem, zameldowałem jak należy. Nawet pamiętam – kogoś mi z początku przypominał. Potem dopiero zmiarkowałem, że chyba do mnie samego... he, he..., że do mnie samego był podobny. Kulał tylko mocniej i widać było, że się tego wstydzi. Oczy miał takie jakieś... Obiektywnie trudno powiedzieć, jakie on miał oczy. Wyglądały, jakby patrzył nimi na niewesołe rzeczy w życiu. W lewej ręce niósł walizeczkę poobijaną i wytartą, że pozał się Boże.

Pan jest – jeszcze raz to powiem – młody, panie inspektorze. Ale jakby tak pan posiedział tyle lat na moim miejscu, toby się pan napatrzył różności. Ja to nauczyłem się poznawać ludzi na tej drodze, co to – widzi pan – mają do przejścia od drzwi do mnie. Będzie ze trzy metry po dywanie koło tych dwóch foteli pod oknem. Każdy te trzy metry przechodzi inaczej. Jedni jakby się spieszyli, ale to nieprawda, bo już za chwilę po tym spieszeniu potrafią siedzieć godzinami nad małą kawą i palić papierosa, inni jakby wchodzili przedtem do stu najlepszych hoteli gdzieś na świecie, a znaleźli się w „Morskim” przypadkiem i bardzo cierpieli z tego powodu, ale to też nieprawda, bo już za chwilę sami nie potrafią wypełnić karty meldunkowej, a jeszcze inni...

To wszystko potrzebne, panie inspektorze, bo inaczej, pan nie zrozumie, dlaczego to zrobiłem. Więc kiedy ten wszedł, to ja od razu poznałem, że to człowiek, co się boi. Że to taki, co się boi za innych. Tym, którzy mocno dostali po skórze, najtrudniej przychodzi udawanie. Ten nie udawał... A dziewczynę? Ją znałem już przedtem. To małe miasto. Sam



pan inspektor rozumie. Ramona ją nazywali. Ciotka ją trzymała u siebie czy stryjenka, bo matki zdaje się nie miała.

Tu jest „Dancing” po drugiej stronie ulicy i wysiadywała tam zawsze z innymi takimi jak ona sama, nad butelką oranżady czy coca-coli czekając na „klientów”. Nudziła się czy co?... Kiedyś ją ktoś tam chciał „naprawiać”. Pisarz jakiś przyjechał czy coś takiego. To mu tak odszczeknęła, że poszedł jak zmyty i więcej się nie pokazał. Za dnia, to nie powiem – grzeczna nawet była. Jak mnie spotkała, to „Dzień dobry, szanowanie” potrafiła człowiekowi powiedzieć. I obiektywnie – żadnych tam jakichś „śmichów-chichów”. Po prostu zwykła dziewczyna, nawet niebrzydka. Nikt z niewiedzących nie powiedziałby, że to taka... Za to wieczorem, jak podpiła, to dopiero wyłaziło z niej wszystko, co najgorsze. Niewiele potrzebowała – dwa kieliszki i „gotowa”. Rozrabiała wtenczas tak, że nie było rzeczy, co by tu na nią w mieście nie powiedzieli. A pan inspektor wie, jak to ludzie. Lubią takie cuda mówić, jakby im kto za to płacił. No, i zapoznała się z tym kulawym, nawet nie wiem gdzie.

Widywałem go codziennie. Trzydzieści cztery lata miał w dowodzie, ale wyglądał na więcej. Zabierał klucz i oddawał. Smutny jakiś był, nigdy do człowieka nie zagadał, to zaraz któraś z pokojówek powiedziała o nim, że pewno chory. Raz tylko – pamiętam – spojrzął na mnie i wyglądało na to, że coś powie. To było tak, jakbym sam na siebie spoglądał. Obiektywnie. Nie powiedział nic. Oddał klucz i powłókł się gdzieś ulicą. Dziwny był – daleki, a bliski. Po co przyjechał, też nie wiedziałem, bo delegacji nie ostemplował. Trochę mi to z początku nawet podpadło. No, bo co tu w maju robić nad morzem? Słońce niby jest, ale wiatry wieją, woda zimna, na plaży żywego ducha. Bursztyn tylko można zbierać, bo w wodorostach wyrzuca, a więcej to nic.

Jak ich spotkałem, to się trzymali za ręce, a ona niosła kwiaty. Ludzie się śmiali, no bo niby z taką jak ona i za dnia... Ale on jakby nigdy nic – główną ulicą... Wie pan inspektor – tam, niedaleko dworca. I najbardziej mnie zdziwiło, że rozmawiali. O czym oni mogli ze sobą rozmawiać? Wtedy pomyślałem pierwszy raz, że może on nie wie, co ona za jedna, że trzeba by mu jakoś powiedzieć, bo to i okraść go może albo jeszcze co gorszego.

Nic nie powiedziałem. Tego wieczora wrócił późno i kiedy podszedł do mnie prosząc o klucz do swego pokoju, zobaczyłem, że coś jakby w nim przybyło. Nie umiem tego powiedzieć, ale wyglądało to tak, jak gdyby czegoś było w nim więcej.

Pokojówki z naszego hotelu mówiły, że widziały ich na brzegu morza niedaleko Zawodzia i śmiały się, że na pewno tam w lesie... Rozumie pan inspektor – że niby po to tam chodzą. Nie wiem dlaczego, ale nie wierzyłem. Coś w nich obojgu było takiego, coś takiego się zrobiło, że nie podobało mi się obiektywnie to, co ludzie o nich mówili.

Niech pan inspektor z łaski swojej tu stanie. O tu. Może trochę dalej. Dobrze. Z tego miejsca widać kawałek restauracji i ten stolik. Oni, nim się to wszystko zdarzyło, jedli przy tym stoliku kolację. Stąd wszystko widać. Sam pan inspektor może sprawdzić. Obiektywnie. Najpierw to zobaczyłem, że byli oboje jakby niepewni, czy nie bardzo wiedzieli, co robić. Nawet prawie ze sobą nie rozmawiali, tylko dotykali swych rąk. Potem zrobiło im się weselej i ona widocznie powiedziała coś do śmiechu, bo on zaczął śmiać się pierwszy. Nigdy bym nie uwierzył, że tak się śmiać potrafi. Zrobił się zaraz całkiem nie ten sam.

Myślałem, że piją wódkę, i dlatego, ale Filipczak – to jest taki jeden nasz kelner – przyszedł i żartował, że Ramona coś źle prosperuje, bo ten, z którym siedzi, karmi ją „na sucho”, a zamówił na deser tylko kawę. Ten Filipczak zresztą stał jak raz koło mnie, kiedy podeszli oboje. Myślałem z początku obiektywnie, że się przesłyszałem, a wtedy ten kulawy powtórzył, że prosi o klucz do swego pokoju. Zobaczyłem, że trzyma dzbanek z kawą i dwie filizanki. Było jasne, że chce iść na górę z nią razem. Na chwilę zupełnie zgłupiałem. Przysięgam, że odebrało mi mowę. Spojrzałem najpierw na nią i pomyślałem, że wystarczyłoby teraz jedno słowo, żeby poszła sobie w diabły, a on dowiedział się, co to za jedna... Nie powiedziałem tego słowa. Patrzyła mi prosto w oczy i coś się ze mną zrobiło takiego... Człowiek, to niby siebie zna – tak sobie myśli... a tu przychodzi chwila, kiedy obiektywnie widzi, że nic o sobie nie wie, że tak jest, jakby jeszcze ktoś inny w nim siedział.

Kiedy ona tak stała, tak patrzyła, to z początku nie pojąłem, o co jej chodzi, ale zaraz zrozumiałem, że mnie prosi, błaga, abym nic nie mówił, że wie, co teraz mogę z nią zrobić. To tak, jakby stała przed sądem. A ja sędzią nie jestem, tylko...

Trudno to wszystko opowiedzieć. Filipczak wymamlał mi na ucho jakieś świństwo. A ja naraz – nie wiem dlaczego, przecież często mi podobne rzeczy mówił – poczułem taką złość, że o mało nie trzasnąłem go w gębę.

Kulawy trzymał jej rękę. Różnie można trzymać rękę kobiety, ale on to robił tak, jakby nakładał jej na palec obrączkę, a jednocześnie jakby tonąc schwytał znalezione przypadkiem koło ratunkowe.

I jeszcze te jego oczy. Nie umiem powiedzieć, co się w nich zmieniło, nie potrafię. Zimą czterdziestego czwartego, jakem w lazarecie partyzanckim z przestrelonym kolanem leżał, jeden młody chłopak – zrzutek podobno – płuco miał przestrelone na nic. Tylko krwią pluł i jęczał. Aż tu w tydzień po operacji doktor do niego przychodzi.

– No i co, zuchu? – mówi po badaniu. – Wszystko w porządku. Życ będziesz. Jeszcze na twoim weselu zatańczę.

– To prawda? – szepce leżący.

– A dlaczego miałbym kłamać. Zdrow będziesz jak rydz. Ale mnie na wesele nie zaprosiłeś. I ładnie tak?

– Narzeczonej nie mam – chłopak na to.

– Będiesz miał. Już gdzieś tam na ciebie czeka.

– To... zapraszam – odpowiada ranny tak słabo, że ledwo słycać.

Tylko oczy ma odmienione, podobne do oczu tego kulawego, który o klucz prosił. Też jakby świat na nowo zobaczyły.

No i dałem klucz, a resztę to pan inspektor wie. Milicja przyszła na kontrolę koło północy. Donieśli ci, co chcieli mnie wykończyć. Od lat czekali na taką okazję.

Jedno tylko chcę wiedzieć, tak obiektywnie. – Czy to Filipczak był z nimi w zмовie?... Nikt inny nie wiedział. On pewno myślał, że ten kulawy dał mi za to grubą forszę. A ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobił za żadne pieniądze, za nic. Może pan inspektor myśleć o mnie co chce, ale nie wziąłem nic, ani grosza. I tylko zrozumienia chcę.

Pan inspektor zaskoczony, że o rentę inwalidzką się nie starał, że się do ZBoWiD-u nie zgłosiłem, że mnie na emeryturę nie przenieśli. Samo zdziwienie. Co pan patrzy?... „Kto tak postępuje, o własny interes nie dba?” – powiedział pan na samym początku. Dopiero mnie pan zobaczył, pierwsze słowa z ust moich usłyszał i zaraz – „Kto tak postępuje?”...

Nie dziwił się pan?... No, widzi pan – sam pan przyznaje. A w tym, że ani renty, ani emerytury nie chciałem i dalej nie chcę – nic nadzwyczajnego nie ma. Obiektywnie. Mogę tak szczerze?... Nie obrazi się pan?... Porządny z pana człowiek. Inny, to... Ale powiem: To ja się dziwię, że pan nie rozumie, jak ktoś może na wsparcie się nie godzić, obiektywnie... Co mnie obchodzi inni?... Niech wykorzystują te swoje... uprawnienia. Niech jęczą w nieróbstwie, starzeją się koślawo, biadoląc nad swoim losem.

Myślałem kiedyś – w polu umrę, jak czas przyjdzie. Bać się nie będę, bo padnę w czasie orki albo bronowania. Zapach ziemi czuć będę do końca i w ziemię się obrócę. Inaczej się stało. Nie dla mnie już takie ze świata odchodzenie. Mój pług albo zagroda moja, to ta recepcja. A wie pan, że długo nie umiał tego słowa wymówić?... Rysepcja... rezepcja... – ćwiczyłem wieczorami przed lustrem. Zależało mi widać, żeby się ze cmem wtopić w hotelowe życie. Nieważne.

Stało się, że ziemię rzuciłem, a może to ona mnie rzuciła, bo niegodny był jej służyć... Rozumie pan to?... Pan z miasta?... No... Trzeba ze wsi być, żeby pojąć, co to skowronkowe nad głową śpiewanie... Dlatego proszę o darowanie winy. Możecie wpisać do akt perso... A, już się nie wpisuje?... To mnie zostawcie, zlitujcie się!... Mam tylko ten hotel. A on – mnie. Jemu służę, a może i ludziom trochę... Bo, przecie... przewinięło się tu, Jezusie!... Narodu ile



Kochać jeszcze potrafię... Też pan nie wierzy?... Z jakimi ludźmi pan się chował?... Miłość zrozumiałem, bo sam... (donośnie) Hanka! (Odwraca się) Zaraz taka kobieta tu wejdzie, że pan zbaranieje i o własnym wyjeździe zapomni. Żenić się zamiaruję (donośnie). Hanula, co jest z tobą? Przebudź się, jak Boga kocham! Chodź tutaj! Pan inspektor chce kawy!

## Gwiazda

Jerzemu Skolimowskiemu

Dawno temu, kiedy Cromtonville było jeszcze małą osadą, co trudne do wyobrażenia, więc sam pan widzi, ile to lat musiało upłynąć, przy dzisiejszym, zbiegu ulic 47. Zachodniej i 21. Północnej, w miejscu, gdzie znajduje się obecnie departament store Smitha, a zaraz obok budynek YMCA i oszklony pawilon pływalni – wczoraj pan tam przechodził – stał hotelik „Pod Lotną Strzałą” z pubem (na drug store potem przemianowanym). James Stocking, właściciel tego przybytku miał wtenczas niebogata, ale stałą klientelę oraz dwie córki, niczego sobie dziewczyny, usługujące gościom: Daisy – blondyneczkę z dołeczkami na policzkach, wiecznie roześmianą, i Stellę – szatynkę, która nigdy nie nosiła stanika, a piersi miała... ej, lepiej nie gadać. Powiem krótko – zdawały się przebijać nie tylko sukienkę, ale także fartuszek, w jakim dziewczyna obsługiwała gości. Gapiącym się pożądliwie w te dwa arbuzy rozkołysane nad kuflami piwa piękna szatynka przesyłała pogardliwie spojrzenia, co jeszcze bardziej rajcowało wszystkich. Mężczyzna lubi nieraz być postponowany, a zwłaszcza, gdy napalają się na dziewczynę wszyscy dookoła, a ona nikomu tego... nie daje – *if you know, what I mean.*

W tych latach kinematograf już świat podbijał. Głośno o filmach było także w Cromtonville. A do Davenportu, jako że to już wówczas miasto było, przywędrował dnia jednego prawdziwy CINEMA-HOUSE, więc wszyscy z Cromtonville polecili to oczywiście zobaczyć, jak kto zdołał: w wolantach, konno, w karetach, na rowerach, a rodzina Crebsów (ze starą, prawie stuletnią babcią Crebs na wyższym siedzeniu) w pięknym, połyskującym niklem i lakierem automobilu marki Oldsmobile.

Wszyscy wrócili wstrząśnięci, porażeni filmami, jakie obejrzeli. Porażeni, *that's just the right word.* A obie panny Stocking, Daisy i Stella chyba najbardziej. Nie, to było coś od porażenia gorszego – szok, zamęt, toń jakaś wciągająca, pełna niezdrowych zwidów przywidzeń i czegoś tam jeszcze, czego nawet na seansach spirytystycznych (wtenczas były modne) nie uświadczysz. Każdy chodził jak błędny i nie potrafił sobie miejsca znaleźć. Nikt o niczym innym nie mówił, tylko o tych ruchomych obrazach. W dodatku wnet pokazało się

pismo „Cinemascope” pełne kolorowych fotografii aktorów, a Cromtonville odwiedziło prawdziwe, objazdowe kino (filmy – o dziwo – były inne, lecz nie mniej od davenportskich wstrząsające).

Wtedy to chyba Stella i Daisy Stocking postanowiły, że zostaną filmowymi aktorkami. W dodatku zaczęły jeździć do Davenportu na lekcje tańca do pani Schiller. Całe Cromtonville aż się trzęsło od plotek i domysłów, to jasne. A one wracały z tych lekcji z każdym dniem coraz to bardziej odmienione.

Taki to był, z grubsza biorąc, początek historii ukoronowanej później rzeźbą na placu przy Main Street, opodal budynku Municipal Office, posągiem widniejącym dzisiaj na kartach pocztowych i nie tylko. Być może, uda się radnym przeforsować wreszcie uchwałę, aby tę rzeźbę uczynić godłem naszego miasta. A do sedna sprawy już wracam. *Just a moment*: upłynęło trochę czasu. Stara Schillerowa umarła. Dziewczyny Stockinga zdążyła chyba jednak tego tańczenia nauczyć. Na wszystkich zabawach były nie do zdarcia. Kończyło się to zawsze tym, że obie chopsały solo. Zupełnie jak w balecie.

No, dobrze – tańczą obie jak baletnice, a tu nic się nie dzieje. Nic nie zmienia. Podają dalej gościom w ojcowej knajpie, uśmiechają się nawet do niektórych. Ale są smutne. Pracowałem już wtenczas u Stockinga jako kelner i widziałem to wszystko. Bywa, że nieszczęście w takie grymasy, niby radości, się ubiera. Tylko bystry się w tym rozezna. I naraz te zdjęcia do filmu, który w Davenport ma być kręcony. („Kręcony”, to było wtenczas nowe słowo!). Sensacja! Obie dziewczyny Stockinga stoją dzień i noc wśród setek kandydatek do filmowej sławy. Nie zostają przyjęte. Odpadają, jak to się dzisiaj mówi. Znowu piwo roznoszone po sali, te same dowcipy klientów, niezmienny widok za oknami.

Któregoś dnia to się stało. Nie wiem. Już dobrze nie pamiętam, jak to było. Ponoć panna Stella postanowiła, że obie z siostrą raz jeszcze szczęścia w Davenport spróbują i do filmowców się zgłoszą. Podobno, z jakiegoś powodu, Daisy nie chciała jechać i Stella powędrowała sama. Dalej, to już plotki jedynie do mnie docierały o pannie Stelli i to takie, że powtarzać trudno. W łaski miała się wkraść jednego reżysera – wiadomo w jaki sposób. Mówili, że ten reżyser straszny był – gnom pono, garbaty, mały, kaprawy. Więc jasne, czemu to zrobiła. W filmie *Zagłada fortu Milens* małą bo małą rolę miała, ale w nim zagrała. Potem kochała się podobno z różnymi z innych filmów, nawet za epizody. Ale grając często, uczyła się chyba jednak aktorskiego fachu, bo kiedym ją w filmie *Ucieczka* po paru latach zobaczył, to – możesz mi pan wierzyć – płakałem, ani o tym nie wiedząc – tak grała. I poszło. Wielu kochanków miała. Każdy popychał ją trochę do przodu. Potem mężów kilku – w górę. Ale w filmach tak wielkich zaczęła występować, że wszystkie, krążące o niej plotki przestały być

ważne, oddalały się te sprawy, gasły. Nagrody się posypały jedna po drugiej – festiwale, rozjazdy po świecie, pieniądze.

A Daisy? No cóż... Uczciwa była, czysta. Do własnej siostry niepodobna. Nie potrafiłaby nigdy zdobyć się nawet na cień... kurestwa. Przepraszam, ale – na mój rozum – tak trzeba nazwać to, co Stella z początku robiła. Jesteśmy już chyba dorośli, a nawet krzywnę więcej, bo po kolana w piachu he, he... Talent miały obie. Daisy po wyjeździe siostry coś tam przecież także osiągnęła w życiu jako aktorka. W davenportskim teatryku przez jakiś czas występowała. Stella ją w którymś roku do Hollywood ściągnęła, już się wtenczas inaczej nazywała, to jasne. Pierwszy pseudonim Dolores Ruffino chyba. Jedzie do niej Daisy śliczna jak marzenie, gotowa – jakem wtenczas myślał – na wszystko, na każde ustępstwo. Ale nie miałem racji. Wróciła wnet i tylko jakby jej dołeczki w policzkach pogłębiły się w zmarszczki, czy w coś tego rodzaju się zamieniły. I zerkałem na nią z za baru – jak znowu gościom zaczęła usługiwać, tom widział wszystko. Aha, bo barmanem zostałem. Staremu Stockingowi się zmarło i Daisy lokal i hotelik po ojcu przejęła.

No, tak to jest. Znowu wiele lat przeszło. W wojnę jej siostra – niemłoda już przecie – na Dalekim Wschodzie, na Filipinach czy gdzieś tam indziej, przed wojskiem występuje, bo jak raz największy film w swej karierze kręci *Maskotka eskadry*. Widział pan? No, jasne. Kto tego nie widział! Ja sam z pięć razy na tym byłem.

A Daisy już dawno wtenczas zamężna. Za Roberta Drummera, urzędnika bankowego wyszła. Dzieci mają troje. Już duże, dorosłe dzisiaj. Daisy teatryk szkolny zrobiła. Coś tam w nim reżyseruje (tak to się nazywa, prawda?), wystawia... To wszystko, co osiągnęła w życiu... A jej siostra – patrz pan – prze wciąż jeszcze do przodu, choć ledwo o cztery lata ode mnie młodsza – sunie jak lokomotywa, czy lepiej po dzisiejszemu – rakieta kosmiczna. Staruszka nie do zdarcia. Wiadomo, potwierdzenia ma – gwiazda prawdziwa, uznana na całym świecie za wielką, to odmładza.

Sam wiem, com czuł, gdy barmanem wreszcie po latach zostałem. Więc... takie życie. Kto dziś o nieczystych początkach Stelli myśli? Kto nad tymi – jak to nazwać – ...,ustępstwami” z jej strony się zastanawia?...

A może... – tak sobie nieraz medytuję – ... może to jest tak, że z gnoju czasem piękny kwiat wyrasta i on się tylko liczy, gdy rozkwitnie, oczy sobą radując?...



## Księga

Pamięci J.W.

Rzecz przed wiekami się działa i przeto żadnego podobieństwa do dzisiejszych zdarzeń mieć nie może. W kraju przez możną dynastię od lat rządzonym, urodziwe pacholę wzrastało z rodu ponoć poczciwego Oportnisów się wywodzące. Po latach nad podziw zgrabnym stał się gołowąs dworzaninem. Jak insi młodzieńcy z królewskiego orszaku dworki zwodził i – jak sam prawil – żadnej z nich nigdy nie przepuścił. Rychło wagę pochlebstw doceniwszy, moźnym panom mającym wpływ na dworze ukłony słał i słówka miłe prawić uradził tak składnie, iż najjaśniejszy pan w dowód swego uznania na zagraniczny go dwór do swego starszego brata był wysłał, wiedzę i przyszłą karierę zdolnego młodzieńca mając na względzie. I oto, kiedy tak na onym zagranicznym dworze w dostatku młody Oportnis bytował, początkującym dworzaninem przecie jeszcze będąc, snadnie brzydnać począł. Nie wiedzieć kiedy, lubo wiedzieć (boć zrazu potrawom najprzedniejszym, a potem i ordynaryjnym folgował bez umiaru), brzuszysko mu urosło ogromne, a kark z głową się połączył szyi zanikiem tak doskonałym, że korpus jego na przy krótkich nogach – wielkie jajo jął na myśl przywozić. Rychło też, gdy na dwór swego pana powrócił, chorować począł. A to skrofuły, a to podagra i kaszel ciężki go dręczyły, a to serce z trudem nadążało nadmiar cielska obsłużyć. Złość młodego Oportnisa wzięła straszna na inszych, co zdrowi byli. Osobliwie co urodziwszych znienawdził. Przecie w łaski królewskie, mimo swej szpetoty się wkupił, usłużnością swoją bezmierną, a takż tym, iż jaką by krytykę królewskiego rządzenia który z dworzan nie wypowiedział przed nim w konfidencyi wielkiej (a władca zła wiele i nieprawności czynił), takż to krytykę, a jeszcze co nieco pogłębioną, *relata refero* król z ust swego wychowanka Oportnisa *in promptu* słyssał, by użytek z niej czynić co prędzej. Jako że zaś *clara pacta claros faciunt amicos*, wdzięcznym będąc, swego zaufanego słuęę dostojenstwem obdarzył wielkim.

Aliści szpetny dworzanin niewiele doznawał z zaszczytów radości, bo co tylko własne odbicie w lustrze obaczy, to aże z wściekłości na los się trzęsie. Co jeno swych rówieśników konno harcujących lubo potykających się dojrzy, to niby blekotu podjadł, a takż zółć go z

kretelem zalewa. A już jak który z dworzaków z dwórką figluje, to tęgie straszdyło noce ma bezsenne i nic jeno wystawiając sobie, co też kochankowie wzajem ze sobą czynić mogą, na pościeli precz się przewraca i sapie, i jęczy!... A co się nakaszle przy tem – strach powiedzieć!

Sam przecie wszelką męską moc postradał. Jeno chęć w nim siedzi. Chuć szalona cielsko opasłe burzy, do szaleństwa doprowadza. Precz pnie się coraz wyżej i fortuna dalej mu skłonna. Szpetnym w królestwie onym mniej zawiść ludzka przeszkadza, żyje więc estymą się ciesząc na dworze.

Już starszym będąc, zrzędzeniem losu, cudem prawie z wypadku kolasy wywrócenia wyszedł i przez cyrulika nadwornego, a doktorów najprzedniejszych życiu został przywrócony. I tu odmiana w nim nastąpiła: Odkąd *mortus et sepultus* był prawie, o własnej nieśmiertelności myśleć począł. I tak roi ta góra mięsa: „Lepszym od inszych, to jasne, bo czyżbym do takich dostojenstw doszedł, zdolności niezwykłych nie posiadając, a mądrością szczególną się nie wyróżniwszy? Wszelako coś by zrobić należało na miarę mych talentów, co by na wsze czasy ostać się mogło, a takżej mej wielkości być dowodem widowym”.

Głowił się, rozmyślał, aż do konkluzji *ex aequo et bono* doszedł: umyślił w księdze opisać ludzi, z jakimi się był na królewskim dworze zetknął, a uczynić to śmieje, wad przyrodzonych takżej grzechów wypomnień nie skąpiąc nikomu. „Księga ta odwagi mej wielkiej *exemplum* się stanie. Podkreśleniem, iż zarzuty, iżem wżdy był przekupny, a tchórzliwy – wymysłem czczym były wrogów moich!”. Nad elaboratem pracował długo, z królewskiej kiesy wspomagany. Wreszcie i wydał oną księgę. A w niej – ku podziwowi maluczkich – istny zbiór plotek, intryg dworskich opisów, z podglądań izb biesiadnych, łożnic, a nawet abortów wyniesiony.

– Zręczna to praca! – mówiły praczki w królewskim maglu.

– Cudowny plotkarz ten Oportnis! I jaki dowcipny – zachwycali się słudzy królewscy.

– To prawdziwy filozof – oceniali księgę nadworni szpiedzy i konfidenci. – Jak to bystro podpatrzeć zdołał te wszystkie najważniejsze wydarzenia, które nawet naszej uszły uwagi!

– Jego księga, to potwierdzenie obowiązującej w mej krainie demokracji oraz wolności słowa – orzekł król i Oportnis otrzymał nowe zaszczyty. Większość jednak mieszkańców królestwa zbyła plotkarską księgę pogardliwym wzruszeniem ramion.

Mędrzec zaś powiedział: „Z jadu nienawiści może powstać jeno trucizna lub śmierć. Z miłości i mądrości połączenia dopiero wznosi się rzeczy wielkie. Tworzą je często ludzie, którzy potrafią być piękni mimo swej szpetoty”.

## **Dramy finis nagły**

**Jaimie Cloud**

W rycerzu Alfredzie, tym samym któren przykładem się stał męstwa, kiedy samotnie pod Berlandem setnika Saracenów był pojmał, naszła dworka Anita kochanka wielce miłego, o sprawności w miłosnych igraszkach nie wspominając, gdyż tego się czynić nie godzi w przypowieści krótkiej, jako też inszemu przesłaniu zgoła służącej.

W konfidencji wielkiej, a w sekrecie występki swój uprawiali kochankowie, osobliwie w zamczku myśliwskim barona R., któremu rycerz Alfred niegdyś żywot ocalił. Zamczek na ustroniu był, opodal morskiego brzegu, tedy schadzki odbywali pod pretekstami różnymi: a to łodzią przejażdżkom, a to zbieraniu grzybów, jagód czy też łowom niby się oddając. Nawet one łowy kłamliwie odbywali, ubitą zwierzynę od myśliwych kupując, że to jakoby oni sami ubili sarnę, łosia lub cietrzewia.

Jak to bywa, ani ślubna żona rycerza Alfreda– Ileana, ani też małżonek pięknej Anity, szambelan królewski Jakub – niczego się nie domyślali. I trwał ten związek występny Alfreda i Anity rok i niedziel sześć lubo dłużej, nic przecie z żaru namiętności nie tracąc. A nawet, rzec by można – jakoby do słońca w zenicie upodobniony – jeno na gorącości uczuć zyskawszy.

– Och! Nie zdzierzę! To aż boli! Nikt tak... nigdy... mnie... Pofolguj waszmość, błagam! Nie! Nie!– miotała się piękna Anita w szale miłosnego zapamiętania.

– Tak! Tak! – odpowiadał takóž rytmicznie jej kochanek. – Cierpisz pani, ale tuszę... rozkosznie! – sapał spocony z wysiłku niby w bitewnym zmaganiu.

Rycerz Alfred, któren kochliwy był nad podziw, przez nockę całą potrafił ani na chwilę nie spocząć, a nawet na prąciu swoim potężnym nabitą białkę z pościeli unosić, co wspominam jeno z kronikarskiego obowiązku. W takim to właśnie szczycie miłosnych uniesień, kiedy świat obojgu występny kochankom zdawał się mały i zwykły, gdy opornie po doznanych rozkoszach do przytomności wracali, w onym okresie największego w ich wspólnym grzechu i miłości zbliżenia, stało się: czerwcowego przełomu lubo zrównania dnia z nocą, rycerz

Alfred nie przybył na umówioną schadzke. Na próżno czekała nań w zameczku stęskniona Anita. Upływały godziny, rosły jej niepokój, rozpacz i trudne do opisanego zdesperowanie.

– Miły, zlituj się przecie! Panie Boże, dopomóż! – szeptała cała we łzach, spoglądając z okna sypialni.

Nie doczekała się. Rycerz Alfred nie przysłał nawet sługi z listem i kwiatami, lubo też z pierścieniem brylantowym, co by jeno mogło pomniejszyć choć trochę rozczarowanie i boleść straszną. Despekt to był, lekceważenie jawne niewieściej miłości i dumy. Na domiar złego, już nazajutrz ku siurpryzie wielkiej i strapieniu, boć tego się przeca nie spodziewała, wypadło Anicie z mężem swoim Jakubem w podróż się udać i to aż na rok cały, w dodatku za morze do krainy Luzelów z ludożerstwa słynących.

Piękna szambelanowa trochę ze złości na objawioną przez rycerza Alfreda niegodziwość, wnet młodego luzelskiego księcia w sobie rozkochała. Ten zupełnie dla niej głowę stracił. Podarki śle – słonie różne, tygrysy, brosze ze złota i jaspisu...

Szambelan Jakub kontent.

– Dzięki tobie, droga żono, miękki jak wosk się stał dla mnie ten władca. Precz się dziwuję. Całkiem nie jak przódy, kiedy samotnie tu posłował. Król jegomość rad wielce z mej misji będzie. Nagroda hojna nas nie minie.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby piękna żona szambelana w posła do Luzelczyków dla dobra korony na rok obróconego – mimo sukcesów widomych tyłu i adoracji dowodów – co rusz myślami do rycerza Alfreda nie uciekała. Jakby tu rzec – w głowie się jej nie mogło żadną miarą pomieścić, że oto ona – najpiękniejsza z pięknych, tak okrutnie rzuconą została.

„Wolej moi było pierwiej Alfreda rzucić krom mej wielkiej ku niemu skłonności, odejść samej, uprzędzić jego niecny postępek. Nie cierpiałabym tak bardzo” – rozmyślała często przed zaśnięciem lubo przed kolejnym, namiętym oddaniem się mężowi własnemu, co ten z osłupieniem szczerym, a po jakimś czasie z lękiem przyjmował.

Wrócili przecie wreszcie oboje na królewski dwór. A król jegomość w uznaniu poselskich zasług swego szambelana bał wielki wydał na cześć wiernego i obrotnego dworzanina. Na balu onym Anita (w sukni nad podziw pięknej i dobrze jej stan błogosławiony maskującej) naszała się niespodziewanie z Ileaną, żoną swego kochanka, rycerza Alfreda.

Krew do głowy Anicie uderza, jak to zwykle białogłowom w tym stanie się dzieje. A może też z uczuć pomieszania, bo prawie że mdleje. Poziera zdumiona: Ileana w szacie czarnej, żałobnej przed nią stoi. Pobladła przy tym jakaś, odmieniona.

– Kto pomarł? – rzuca Anita zdjęta złym przecuciem, usta jej jeno te słowa wypowiedziały, oczy do poruszających się warg rywalki przywarły. Prawie nie słyszy jej

słów, z których wynika wszakże prawda straszna. Żałobnica wciąż mówi. Ta czerń to po rycerzu Alfredzie, jej ukochanym, szlachetnym i najwierniejszym mężu, którego przed rokiem utonął był w przedziwnym miejscu.

– Gdzie? – pyta Anita i czuje, że teraz dopiero słucha uważnie.

– Niech waszmość pani sobie przedstawić raczy– Ileana ociera oczy chusteczką batystową, piękną i lekką jak obłoczek różowy. – Wystaw sobie pani, że w morzu opodal zameczku barona R. zatonął razem ze swoją łodzią. I cóż on zamierzał nieszczęsny, czegoż tam szukał akurat świętojańskiej nocy? Gdybym to jeno wiedzieć mogła!

– Uspokój się, pani. Bóg tak, widać chciał – Anita dotyka współczującym gestem ramienia wdowy.

„Do mnie płynął. Nie porzuconam zatem. Wszystko w porządku” – dopowiada sobie w myślach i dopiero po raz pierwszy od roku czuje, że wypełniło ją osobliwe uspokojenie, radość niemal.

– Ja rzekę o tym przypadku... – twarz mędrca w powagę się oblekła – ... rzekę jeno, iż nic bardziej nie dręczy kobiety, gdy piękna i próżna, niżli ból zadany jej miłości własnej. Urodzi dziecko, tak? – zasępia się jeszcze bardziej.

Potwierdzam, choć to zbędne. Wiem przecie, że i tak ciężę Anity zapamiętał.

– A zatem jeszcze jedna prawda z tej bajki płynie: Niezbadane i dziwne bywają niekiedy uzasadnienia naszego pojawiania się na tym świecie.

## Historia odległa wielce

Tadeuszowi Konwickiemu

Tyle wieków przetoczyło się przez świat od onych wydarzeń zwykłych przecie. I aż mi dziw, bo nie zliczyć bardów niosących tę historię przez czas w pieśniach swoich. Może coś w niej tkwi zatem, bo i moim udziałem się stało dalej, jeno w inszej wersyi, ją podać. Dalibóg, sam nie wiem z jakiej przyczyny. Może liczę, że ktoś ją i po mnie poniesie a w wiek nowy z nią wkroczy? Choć przecie zwykłą jest ta historia jak ból człowieczy, skrywany przed światem pod śmiechu maską. Przyznacie – *ars est celare artem* – casus częsty.

Dawno temu, nim wieków wiele szlachetnością swą lub też niegodziwością zaznaczyć się zdążyło, z ludzkich – to jasne – namiętności, wzniosłości lubo braków meandry swych losów tworząc – na dworze możnego cesarza Teodora, syna niecnego władcy Euzebiusza IV rzecz się przydarzyła.

Na dworze onym sławny aktor Calitus występował, obok niego zasię poeta pomniejszy, choć z rodu zacnego Xetinusów, działał. Calitus sławę był zyskał, jeszcze cesarza Euzebiusza IV nadwornym aktorem będąc, a nawet szcodrze przez władcę onego po wielokroć dostojenstwami obdarzony.

Poeta Xetinus sławnym nie był. Żył skromnie u boku swej pięknej żony Lavii, której – umiłowałszy ją ponad wszystko – poematy i wyznania miłosne słał ze swych podróży po świecie. Gdyż – jak prawił – Lavia piękna wszędy z nim wędruje, w myślach jego i tęsknocie, on zasię jeno w oderwaniu od codzienności te swoje ody i poema tworzyć jest zdolny.

Calitus aktorkę młodą i ładną za żonę miał.

I tak żyliby spokojnie w miarę, gdyż czasy rozkoszy i buntów nastąpiły, a te ani teatrum, ni poezyi i podróżom sprzyjać przecie nie mogły. Aliści aktor Calitus piękną Lavię, żonę poety Xetinusa zoczył, a poznawszy, rozkochać w sobie zdołał. Sam – jak i ona – żądzą przy tym pałając, schadzki jej wyznaczył, na co ona przystała ochotnie, jakoweś męża swego niewierności wykryte mając na względzie. W tym sposobie Lavia i Calitus kochankami się stali oboje. A czasy jeszcze gorsze, miłości nieskłonne, namiętnościom przeciwne nadeszły. Aktor Calitus od swego protektora cesarza Teodora i dworu całego się odwraca, niepomyślnie na dawne apanaże. Nikt o to nie dba, gdyż, *de nihilo nihili*, bunty, rokosze i ubóstwo wielkie na

krainę spadają. W tym zamęcie i wartości pomieszaniu, kochankowie miłości się oddają, gdzie popadnie. A to w karocy Calitusa się pieszczą wyznań miłosnych nie skąpiąc, to znowu piękna żona poety Xetinusa w alkowie swej, pod nieobecność męża, kochanka przyjmuje. Aktor Calitus zaś we własnym domu Lavię gości, podwici swej absencium wykorzystawszy snadnie.

I wszystko jest jasne. Boć czyż od świata początków coś takiego się nie przydarza?

– Zdradzając małżonka, uprzedzasz jeno cios podobny z jego strony, mający cię niechybnie ugodzić zdradliwie – rozwiewa Lavii wątpliwości aktor znamienity. – My przecie Tristanowi i Izoldzie jeno podobni. Sama to chyba czujesz....

– Czuję – odpowiada Lavia i znowu łączą się oboje w miłosnym porywie, niepomni nawet w swym szczęściu, że cesarstwo Teodora wali się i rozpada.

Poeta Xetinus nic nie wie o ich związku. Precz uznanie swoje i admirację wielkiemu aktorowi objawia dumny, gdy ten (i w jego przytomności) wizyty składa, kwiatów Lavii nie szczędząc. W naiwności swej wielkiej i niewiedzy poeta precz poematy różne swej umiłowanej żonie pisze. Ta zaś wiersze mężowskie przerabia na inszą modłę i nic jeno – *video meliora proboque, deteriora sequor* – kochankowi śle, że to niby ona sama one poematy napisała. Finis jest zwykły, jak to w życiu. Lat pięć trwał romans. Poeta – *casus conscientiae* – rozmowy swej żony z przyjaciółką wysłuchuje przypadkiem, drwin z siebie takż. A wreszcie i o romansie Lavii słyszy. Cierpi okrutnie. *Extremis malis extrema remedia*, życia umyśla się pozbawić. Aktorowi, że podły, w twarz rzuca. Tak oto miłości finis nastął. Dramy zaś początek.

Mędrzec ocenił one zdarzenie:

„Kto wiele ma, a więcej mieć pragnie”.

Często przyjaciół zabija zdradnie.”

## Manneken Pis

Pili już od obiadu. Głosy w pokoju przycichały, to znów, wybuchłe potężną wrzawą, zagłuszały dźwięki radia. Może z godzinę temu Jacek zdobył się na odwagę i przytknął oko do dziurki od klucza, ale jak na złość wycelowana była prosto w okno, a tam oczywiście nie działo się nic. Zobaczył tylko kłęby papierosowego dymu, które były tak gęste, iż kaktus stojący na parapecie wydawał się daleki i zupełnie do siebie niepodobny. Chłopiec wyprostował się i wracając na swoje miejsce pod zlew, potracił siostrę niby przypadkiem, pełen niejasnej nadziei, że mu odda, a on będzie mógł wtedy wydrzeć jej zeszyt i z czystym sumieniem napluć na najładniej zapisaną stronicę. Nie znosił tego jej pisania – i sposób, w jaki, pochylona nad zeszytem, przesuwiała języczkiem po bladych wargach, wzbudzał w nim wstręt.

Nie zwróciła na niego uwagi, jak gdyby w ogóle nie istniał. Spojrzał z niechęcią na jej chudą szyjkę przygiętą nad stołem i wrócił do konkursu skoków na desce do prasowania. W konkursie startowało wiele państw. Zawodnikami były różnokolorowe gipsowe kulki, które, nie wiadomo dlaczego, przyszły w paczce z Ameryki. Najlepiej skakały czarne i „Państwo Murzyńskie” zdobyło już największą liczbę punktów. Nic nie pomagało, że dawał „fory” innym zawodnikom, a czerwonego „Marusarza” popychał palcem na rozbiegu. „Murzyny” skakały daleko poza wystający w podłodze gwóźdź i nie dawały się pokonać.

– O meczu mówią. – Staszka uniosła głowę i oparła na dłoni. Jacek zrobił mądrą minę.

– Zalewasz. Wcale nie – rzekł nasłuchując. – Pan Wroński opowiada, jak zabijał Niemców, kiedy był partyzantem.

– Nieprawda!

– Nieprawda? Zaraz będzie mówił o tej jednej, co go zdradziła, jak w lesie siedział, zobaczysz! – zaperzył się.

Zły na siebie, że nie starczyło mu odwagi, aby przejść przez pokój do drzwi wejściowych i zajrzeć do Witka, syna krawca, co miał rower, dodał pewnym głosem:

– A ja przez okno wylizę i pójdę do Witka.

Wiedział, że nigdy się na to nie zdobędzie, bo uszczelnionego na zimę okna ojciec nie



pozwoili by teraz za żadne skarby otworzyć, lecz przerażone oczy siostry zrobiły mu przyjemność oraz w jakiś osobliwy sposób wróciły wiarę we własne siły.

– Zobaczysz, wyjdę i nie wrócę, a ojciec nie zauważy, bo jest wlany.

– A jak mama przyjdzie ze sprzątaniam, to cię spierze.

W głosie siostry wyczuł zdenerwowanie i obawę. Ucieszony, specjalnie powoli, aby przedłużyć przyjemność straszenia, wygramolił się na stół stojący na wprost okna.

– Mama dzisiaj sprząta w ministerstwie, to wróci późno – dodał ze złośliwą radością. Staszka wiedziała, że ma rację, i zaplotła palce z niepokojem.

– Powiem ojcu, zobaczysz – rzekła, zwracając się w kierunku drzwi. Za ścianą gruby głos huknął niespodziewanie tak głośno, że aż szyby zadźwięczały:

    Nie szumcie, wierzby,  
    nam z żalu, co serce rwie!...

Jacek przestraszył się i czym prędzej zeskoczył na ziemię. Staszka nie uśmiechnęła się nawet i uczył do niej za to coś w rodzaju wdzięczności.

– Jest chleb? – zapytał pojednawczo, siadając na wprost skoczni i dłubiąc w nosie. W zlewie zabulgotało, głuszając odpowiedź siostry. Nie powtórzył pytania. Głodny był, lecz wiedział, że nie ma nic do chleba, a na suchy nie miał ochoty.

    Chodź Marysiu na pieszczoty  
    Tam gdzie szumi, szumi gęsty las...

zaśpiewał ktoś ochryple, a Jacek poznał od razu, choć głos był zmieniony.

– Tatusz śpiewa – powiedziała nie wiadomo po co Staszka jakoś nie po swojemu. Jacek zerknął na nią ukradkiem i uczył, że się boi. Podszedł bliżej. Oczy siostry były duże i ciemne. Bała się także. Jacek wiedział, że ojciec śpiewa tylko wtedy, gdy jest już zupełnie pijany.

Przypomniał mu się milicjant w ceratowym płaszczu, który przyszedł w lecie do ich domu, wezwany przez grubego doktora spod dwunastego, i stojąc na środku pokoju, szeroko rozstawiwszy nogi, patrzył straszonymi oczyma na twarz ojca wgniecioną w poduszkę. Jacek marzył wtedy o czymś ogromnym i potężnym, co by mogło jednym pchnięciem wyrzucić tego człowieka, sprawić, żeby i on uczył się pogiębiony i słaby. Wyobraził sobie, że ojciec ma brata generała i ten generał wchodzi właśnie do pokoju, wspaniały, z błyszczącymi medalami na szerokiej piersi, a jest wyższy od milicjanta co najmniej o głowę. Milicjant salutuje, wytrzeszcza zdumione oczy, a generał siada na łóżku obok ojca i mówi jak gdyby nigdy nic, marszcząc groźnie brwi: „Co to, Władeczkule. Partyzantowi, który tyle wyzabijał na wojnie, nie pozwalają trochę pośpiewać?”. Milicjant jest blady i trzęsą mu się nogi, a generał wskazuje drzwi palcem i krzyczy: „Precz!”. Niestety, generał wtedy nie przyszedł, a mama

placząc zapłaciła karę i wcale się nie przyznała, że ją ojciec uderzył krzesłem, aż miała siniec.

W pokoju stuknęło, jak gdyby coś ciężkiego upadło na podłogę. Dźwięk rozbijanego szkła zmieszał się z rechotem grubych głosów. Jacek oparty o bok siostry wstrzymał oddech. Działo się znowu coś strasznego, coś, co napawało go zawsze lękiem tak wielkim, że chciało mu się biec daleko, daleko od domu i od tych dźwięków – które sprawiały, że serce stukało mu w piersi rytmem patyka przeciąganego po sztachetach.

– Tatę kładą na łóżku, już dobry – szepnęła Stasia nasłuchując.

– Starowin, cholera, schował! Mówiłeś, że nie znajdę, a... znalazłem od ra... od razu – wymamlał głos tuż przy drzwiach.

Drzwi otworzyły się. Kiwał się w nich nieznajomy mężczyzna w kraciastej, rozpiętej na piersiach koszuli z butelką w ręku, mrugając, jak gdyby żarówka u sufitu świeciła zbyt jasno. Był łysy, a różowa kopuła nad czołem błyszczała od potu. Pochylony do przodu stał chwilę, gdy wtem, straciwszy widać równowagę, zatoczył się aż pod lustro. Dzieci patrzyły w milczeniu. Poruszona tafla przestała odbijać ślubne zdjęcie rodziców, a niespodziewanie ukazała cienki warkoczek Staszki. Jacek czuł, że serce siostry bije chyba jeszcze szybciej niż jego. Zaciśnął zęby tak mocno, że ten mleczny, z przodu, co się ruszał, wbił mu się w wargę. Nie czuł bólu.

Łysy wstawił butelkę do zlewu i przekręcił kurek puszczając wodę. Odwrócił się burząc skoczniami i rozrzucając kulki po całej podłodze. Nagle twarz mu się rozjaśniła, a rzadkie brwi uniosły się wysoko.

– O! O!... Gołąbki kocha... ane! – wybełkotał, mierząc tłustym palcem gdzieś ponad głowami dzieci. Wyciągnął rękę, pragnąc widać pogłaskać któreś po głowie. Staszka uchyliła się, ale niepotrzebnie, bo i tak by nie trafił.

– Kobietka, mała kobiet...ka! Jak Boga Kocham! – czknął niespodziewanie nad ich głowami, oblewając twarze kwaśnym zapachem. Staszka cofnęła się, przyciskając do siebie oburącz drżące ciało brata.

– A tam ci już cie... cie... mniej, he, he...? – roześmiał się, szeroko wyciągając obie ręce.

„Mówi, jakby miał usta pełne jedzenia” – pomyślał Jacek.

– No, co tak patrzysz...?

Gruby wzruszył ramionami i powędrował w kierunku jasnego prostokąta, z którego kłęby niebieskiego dymu wpełzały powoli do kuchni. Nogi rozstawiał szeroko, jakby się uczył chodzić. Zniknął i trzasnął drzwiami.

– Co on się ciebie pytał? – szepnął Jacek.

– Nie wiem. – Stasia płakała cicho, żałośliwie. Chude łopatki drżały.

– Nie płacz, mama zaraz wróci – pocieszył ją, choć wiedział, że w soboty matka pracowała najdłużej. „Właściwie to dobrze, że nie przychodzi, boby i tak tym razem nie dała rady” – pomyślał jednocześnie. Uniósł głowę i wciągnął głęboko powietrze. Ostry zapach idący z pokoju przypominał mu plastry krwistego salcesonu, po który ojciec posłał Staszkę przed obiadem. Powoli, niepostrzeżenie, odsunął się od drżących pleców. Wyobraził sobie kromkę chleba przykrytą tłustym mięsem i wraz z napływającą do ust śliną uczuł nagły wzrost odwagi.

– Dałbym temu grubemu! – powiedział z groźbą w głosie, drapiąc się palcem po podeszwie, co mógł uczynić z łatwością, jako że zarówno filcowa zelówka pantofla, jak i pończocha były dziurawe na wylot. – Znasz go?

Postanowił, że zajrzy TAM, choćby nie wiadomo co miało się stać.

– Nie znam. Pewno kolega taty – chlipnęła Staszka, znowu pochylona nad swym zeszytem.

Radio zatrzeszczało. Widocznie któryś z gości kręcił gałką. Coraz to nowe strugi wody oblewały z szumem podrygującą w zlewie butelkę. Żółta etykieta odlepiła się z jednej strony i fruwała wokół półlitrowki spazmatycznymi ruchami, jak chorągiewka. „Nie chce się oderwać – pomyślał o niej z sympatią. – Pewno. Przyzwyczaili się do siebie jeszcze w sklepie, to chcieliby razem być do końca”. Zapragnął, aby żółta kartka wygrała walkę z potężnym żywiołem i nie oderwała się wcale. „Jeśli nie odpadnie, nim doliczę do dziesięciu, mama wróci dziś wcześniej” – z determinacją włączył swoje nadzieje do zapasów kawałka papieru. Zdawał sobie sprawę, że zmagania nie mogą trwać dłużej. Zresztą liczyć dalej nie potrafił. Poruszał wargami specjalnie powoli, pełen uznania dla swej odwagi, zapomniawszy o wszystkim, co działo się dookoła.

– Raz, dwa, trzy, cztery...

Etykieta zafalowała silniej. Jej lewy róg odkleił się i drgał teraz pod nieustannymi atakami nieprzyjaciela. „Boi się” – pomyślał z lekceważeniem, zaciskając brudne palce na chłodnej ceracie pokrywającej stół.

– Zobacz, pani Felińska!

Radosny głos siostry kazał mu na moment odwrócić głowę. Na białej stronie zeszytu, pokrytej równym starannym pismem, narysowana była malutka figurka w żółtej sukni, zupełnie do pani Felińskiej niepodobna. Spojrzał na zlew. Butelka kiwała się ze złośliwą radością. Nalepki nie było, widocznie odpadła, kiedy nie patrzył, i leżała już na dnie. Jedna chwila wystarczyła, aby zły los zatriumfował. „Jeszcze nie rozegrane, bo nie skończyłem liczyć” – przyszło mu do głowy coś w rodzaju tłumaczenia, ale gdzieś tam „w środku” wiedział, że przegrał, i że matka nie przyjdzie wcześniej na pewno. Był już bardzo głodny, bo

ojciec zabrał cały gulasz dla gości i na obiad zjedli tylko zupę z chlebem.

– Odknaj się, cholero! – powiedział zupełnie jak pan Banasik do żony. Ten pan Banasik to był motocyklista i Jacek naśladował go we wszystkim. Mama mówiła zawsze, że z dwojga złego wolałaby mieć już męża, który zdradza, a wszystkie pieniądze do domu przynosi, aniżeli pijaka i safandulę. Mama też chyba lubiła pana Banasika.

Stasia wzięła zeszyt i nie powiedziała ani słowa. Bardzo często ozdabiała swoje pisanie rysunkami kwiatów i zwierząt. Ludzi dotąd nie rysowała nigdy.

– Podobna do Felki Pawlaczki – dodał po chwili, bo wiedział, że tym dotknie siostrę najbardziej. Czarna Felka mieszkała w małym pokoiku, przerobionym z części strychu i – jak mówił ojciec – zaczynała się puszczać. Staszka okropnie bała się piekła i zaraz przeniosła pełne niepokoju oczy z zeszytu na twarz brata.

– Felka nie ma takiej sukni – rzekła cicho. Oczywiście nie chciała mieć Felki w zeszyście.

– A właśnie że ma.

– Nie.

– Ma. Sam widziałem!

– Takich złotych sukien nie ma w ogóle.

– To czemu narysowałaś? – Jacek nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Bo, bo... chciałam narysować coś... czego nie ma. – Stasia opuściła głowę. Jacek dał spokój. Kto by zrozumiał takie gadanie. Postanowił wyobrazić sobie, że jest synem pana Banasika. Marzenie to należało do żelaznego repertuaru wyobrażeń, jakie wykorzystywał w chwilach, kiedy nie chciał myśleć o sprawach przejmujących go lękiem i niepokojem. Bez najmniejszego trudu i przygotowań stawał się wtedy tym, czym chciał, a wszystko, co działo się wokół, było od razu mniej ważne i w cudowny sposób pozbawione sensu.

Kiedy na przykład pijany ojciec krzyczał na zapłakaną matkę, a potem w nocy szmery dobiegające z łóżka rodziców wypełniały zda się cały pokój, Jacek nie potrafił leżeć w ciemności tak, jak Staszka z szeroko otwartymi oczyma, lecz wpychał od razu głowę głęboko pod poduszkę i natychmiast w tym pozbawionym głosów „poduszkowym” świetle zaczynał żyć jako zupełnie ktoś inny, do prawdziwego Jacka niepodobny.

Drzwi uderzyły o ścianę i dźwięki z pokoju wtargnęły do kuchni tak niespodziewanie, iż nie zdążył wyobrazić sobie nawet ulubionej przejażdżki motocyklem z „tata Banasikiem”. Wtłoczyli się do kuchni wszyscy jednocześnie. Rozczochraniec w szarej marynarce trzymał w pół pana Wrońskiego, który dysząc rozglądał się zamglonymi oczyma, a okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Koszula Łysego była wypuszczona na spodnie i tuż pod kieszenią czerwieniała duża plama. „Winem sobie oblał” – pomyślał Jacek. Łysy niedopałkiem

papierosa celował w kubek ze śmieciami, lecz nie trafił.

– Pamiętaj, jak nie będzie miała, stawiam pół eks... eksportowej! – Czując, że traci równowagę, chwycił framugę drzwi oburącz. Obliznął wargi dużym, czerwonym językiem i patrzył.

Nieznajomy w szarej marynarce puścił pana Wrońskiego i jakby pchnięty niewidzialną ręką przebiegł obok stołu, zatrzymując się tuż przed Staszka.

– A już myślałem, że dziś nie będę... pieścił! Nie dadzą!... Nie daadzą!... – roześmiał się przeciągle, ukazując rząd białych zębów. Włosy miał rozwichrzone i kiedy się pochylił, opadły mu na czoło. W ciągu długich sześciu lat życia Jacek nabył rzadkiej w jego wieku umiejętności określania pijackiej kondycji na podstawie chłodnych, rzeczowych obserwacji. Nie zwiodła go nigdy krzykliwa wesołość kobiet markujących podniecenie, aby uchronić się od dalszego picia mocnej wódki, ani nienaturalnie sztywny krok ojca, kiedy przepiwszy pieniądze, nie chciał pokazać mamie, że jest „na bańce”.

Teraz wystarczył mu jeden rzut oka. Ten w marynarce, który starał się postawić bladą z przerażenia Staszka na krześle, musiał wypić najwięcej ze wszystkich.

– Och mammo! Mammo!!! – krzyknęła naraz dziewczynka, rzucając się wstecz całym ciałem.

– Ten pan tylko tak... chce coś... zobaczyć – stęknął pan Wroński łapiąc ogromnymi dłońmi oszalałą z trwogi dziewczynkę. Jego niebieska koszula była wyblakła pod pachami.

– Nie wolno! Nie wolno tak! – wrzasnął Jacek piskliwym głosem, bijąc z całej siły pięściami w wypięty zad. Nie wiedział, co robią Staszce, ale wstręt i obawa o siostrę dodały mu sił. Kochał teraz to poważne, blade stworzenie w kusej, wytartej sukieneczynie i gotów był walczyć z całym światem w jej obronie. Ogromne mięso w granatowych spodniach, które było panem Wrońskim, ani drgnęło. Po prostu nie zwróciło zupełnie uwagi na jego ataki. Chwycił pogrzebacz.

– Hej, młodzieńcze! Ostrożnie!

Gruby jednym ruchem ręki odrzucił go daleko od stołu. Upadł, lecz wstał natychmiast nie rezygnując z walki. Przed oczyma migotały mu białe cętki podobne do płatków śniegu. W uszach słyszał szum, jak gdyby sto wiatrów wiało za oknem. Rzucił się do przodu, macając nieudolnie rękami. Łysy zachichotał, wyciągając grubą nogę w podkutym bucie. Wpadł na nią z impetem i legł na ziemi, widząc pochyloną nad sobą błyszczącą, roześmianą lekceważącą twarz.

– Jak rany, dajesz gołdę! – wykrzyknął triumfalnie człowiek w szarej marynarce. Pan Wroński zaczął się nagle śmiać, jakby usłyszał coś niezmiernie zabawnego. Jacek wpelzł do pokoju na czworakach, minawszy ogromne buty we drzwiach. Widok zastał nieoczekiwany.

Ojciec stał pochylony nad zastawionym stołem, wsparty ciężko na obu rękach. Błędne oczy, które wyglądały teraz jak szklane, utkwiał w talerzu z salcesonem. Widać było, że podniesienie się z łóżka zabrało mu całą energię.

– Dziecka nie... dziecka... nie... – wyrzucał z każdym chrapliwym oddechem, kiwając się to w przód, to do tyłu. Usta miał wykrzywione, a na policzku odgnieciony okrągły ślad guzika.

– Tato! Tatusiu!... – Jacek chciał prosić o ratunek, lecz ujrawszy bladą, pełną nieopisanego zmęczenia twarz i nieprzytomne oczy, urwał. Uczucie słabości i cała wypełniająca go dziecięca bezradność ścisnęły mu gardło.

– Co tu?! Co tu?! – zapytał nagle ojciec wytrzeszczając oczy i wyciągając ręce jak niewidomy. Bezwolnie postąpił krok naprzód i nagle, tracąc równowagę, runął w sam środek stołu. Przybiegli od razu. Pan Wroński razem z tym w marynarce wsunęli ręce pod granatową kurtkę, którą mama kupiła ojcu jeszcze na wiosnę i próbowali podnieść go, aby posadzić na łóżku.

– W trupa wlany, jak Boga kocham! – sapał pan Wroński, który sam ledwo trzymał się na nogach. Gruby położył mokrą od potu dłoń na karku Jacka. Chłopiec pozwolił prowadzić się tak parę kroków i dopiero przy drzwiach, robiąc raptowny zwrot ciałem, rzucił się na swego pogromcę, niepomny bolesnych doświadczeń. I tym razem jednak szaleńczy zryw skazany był na niepowodzenie. Wystarczył niemal niedostrzegalny ruch ręki, aby chłopiec przebiegł przez pokój na nie swoich nogach i znalazł się znów w kuchni, uderzając boleśnie plecami o kredens.

Towarzyszący temu pchnięciu uśmiech grubego i szczęk zamykanych bez przeszkód drzwi były dla Jacka tak oczywistym dowodem lekceważenia jego chęci walki, że zagryzanie wargi nie pomogło i długo wstrzymywane łzy nie chciały już siedzieć pod powiekami. Trwało to chwilę. Chłopiec zerknął na śmieszny warkoczyk siostry, który drgał teraz do taktu nerwowym podrzutom jej ciała, i straszna, zapalcząwa, dziecięca wściekłość zmroziła go jak lodem.

Podszedł do stołu potrącając coś, co potoczyło się z turkotem po podłodze. Spojrzał. Była to połowa pękniętego „Marusarza”.

– Potnę im palta żyletką, nie bój się – powiedział w formie pocieszenia. Głowa Staszki nie uniosła się ze złożonych na stole rąk. Sukienkę miała zatkniętą na plecach poza różowe, połatanne majtki i zdziwił się, że wcale tego nie czuje.

– Stacha, słowo daję, że im potnę! – wykrzyknął zaniepokojony jej milczeniem. Pomysł był przecież doskonały.

– Panu Wrońskiemu... nie pot... niesz – dobiegło spod chudych ramion. Zastanowił się. Pan Wroński był majstrem w warsztacie wulkanizacyjnym i to on wyszukał ojcu pracę. Stasia miała rację. Wrońskiemu ciąć było nie sposób, a jeśli już jemu nie, to i innym... Rozejrzał się bezradnie. Półlitrowka tkwiła wciąż w zlewie, już teraz bez żadnego uzasadnienia, bo wodę ktoś zakręcił. Przez chwilę spoglądał bezmyślnie na połyskujące zimno szkło, gdy wtem coś musiało mu widać przyjść do głowy, bo jednym susem znalazł się na krześle, obok zlewowego krateru.

– Staszka, popatrz! Staszka!– wykrzyknął zduszonym z podniecenia głosem, wyjmując korek z butelki. Nawet nie sprawdził, czy siostra uniosła głowę. Wiedział, był przekonany, że znalazł najlepszą karę, najdoskonalsze zadośćuczynienie wyrównujące wszystko, czego doświadczyli tego dnia oboje.

Sięgnął ręką i wypiął brzuch ruchem pełnym spokojnej, godnej powagi, z jaką wszyscy mężczyźni załatwiają tę rzecz od zarania dziejów. Cieniutka strużka nie od razu trafiła i przez chwilę oblewała smukłą szyjkę półlitrowki.

– A ten łysy pił tutaj, jak nikt nie widział! – Staszka dusiła się w ataku wesołości.

Nie odpowiedział. Niepomny tego, że drzwi mogą się otworzyć lada chwila, trwał teraz skupiony z natchnioną twarzą jak pogański kapłan świadom ważności spełnianego obrządku. Dopiero kiedy w szyjce półlitrowki zabulgotało i zdobył absolutną pewność, uśmiechnął się z łagodną wyższością.

Oczy Staszki błyszczały. Zdawała się zupełnie już nie pamiętać, iż płakała przed chwilą. „Dziewczyny to są jednak bardzo dziwne” – pomyślał zapinając spodnie.

## **Kobieta pierwsza, czyli wyzwolenie**

To były jakieś szalone wakacje. Lipiec nadszedł wprawdzie zwykły, upalny i natura działała planowo, bez pośpiechu. Szaleństwo tkwiło jednak we mnie. Miałem właśnie dziesięć lat i pierwsza miłość rozbiła rzeczywistość, do której przywykłem, na niezliczoną ilość części nie przystających do siebie tak dalece, że miały mną na przemian uczucia przerażenia lub zachwyty.

Nie czułem się już „w środku” sierzantem Kingiem z kanadyjskiej Królewskiej Konnej, lecz zupełnie niespodziewanie dla siebie samego stałem się Jontkiem z *Halki*, nieszczęsnym śpiewakiem, który chodząc po rozległych wrzosowiskach rzuca na wiatr tęskne arie widzianej nie tak dawno po raz pierwszy opery.

Nie miałem pojęcia, do czego tęsknię, lecz rozkoszowałem się samym faktem istnienia we mnie żywiołów, jakich nie przeczuwałem nigdy przedtem. Jakże cudownie boleśnie można było cierpieć na wzgórzach otaczających folwark, w którym wypadło mi spędzać wakacje razem z moją ukochaną lub raczej obok niej.

Jeszcze przed rokiem nie widziałem nic szczególnego w czarnookiej, wyrosniętej dziewczynie – ot, ruchomy cel, do którego można było od biedy strzelać z łuku siedząc ukryty w krzakach. Należało jedynie wyobrazić sobie w takich razach, że Elżbieta nie jest zwykłą pensjonarką z długimi blond warkoczami, lecz okrutnym Komanczem przedzierającym się właśnie prerią w celu dokonania jeszcze jednego napadu na pocztowy dyliżans jadący samym środkiem Gór Skalistych.

Wystarczył rok. Zniknęły warkocze, a pojawiły się jakieś krągłości, które odebrały mi od razu całą pewność siebie. Elżbieta ze swymi piętnastoma latami przeszła niespodziewanie do innej przegrody, stając się całkowicie i oszałamiająco dorosłą.

Zupełnie jakby wyczarowani spod ziemi, jak gdyby przyciągnął ich zapach rumianku, jakim pachniały jej włosy tego lata, zjawili się adoratorzy. Niektórzy z nich golili się już od roku, inni mieli buty do konnej jazdy, a wszyscy razem i każdy z osobna reprezentowali w moich oczach walory doskonałej i nieosiągalnej męskości.



Dałem się wchłonać. Wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans, i trwałem w sferze działania krzykliwej gromady jak nieważny przecinek w wielkim i oszalamiającym zdaniu, które zdaje się nie mieć końca.

Burze w sercu, jak i nieustanne upokorzenia, jakich doznawałem na każdym kroku, pokrywałem rozpaczliwymi próbami zaakcentowania własnej odrębności. Wypadało to blado i nieprzekonywająco, lecz na szczęście zbyt byli zajęci nieustannym popisywaniem się przed bogdanką, aby jeszcze móc zwracać uwagę na moją nieważną osobę.

Całe dni zajmowały im dzikie próby dosiadanania koni jednym skokiem wprost z ziemi, jazdy na rowerze tyłem czy nurkowanie w rzece „na czas”. Nie wiedziałem wtedy, że wszyscy znajdowali się w owym specyficznym okresie wielkich prób pasowania na mężczyznę.

Byłem ich cieniem i bezlitosnym krytykiem, to znów pełną chęci samounicestwienia pokorną ofiarą. Elżbieta nie dostrzegła mnie zupełnie. Dla niej nie istniałem.

Cierpiałem. Zazdrość, jak też świadomość własnej niedoskonałości, budziły we mnie czarne, złowrogie myśli i plany zemsty.

Tymczasem nadeszło przesilenie lata. Zboże żółkło i pochyliło się ku ziemi. Pojawiły się pierwsze jabłka, a wokół lip pszczoły uwijały się już jak szalone.

I oto stało się, że zostałem zauważony, lecz był to zarazem koniec mego istnienia. Nie mogło się to bowiem zdarzyć w straszniejszych okolicznościach.

Jechało się na żniwa jak zwykle drabiniastymi wozami, ze śpiewem i z ogromnymi bańkami zimnego barszczu dla kosiarzy.

Zrobiłem to od razu, na samym początku. Jakieś nieszczęsne pochylenie, głupia chęć zobaczenia rozedrganej w pędzie, piaszczystej powierzchni drogi i oto głowa moja została uwięziona pomiędzy pionowymi żerdkami wozu z taką pewnością, jakby zamknięta w dybach.

Na próżno spocony z przerażenia, starając się rozpaczliwie, aby nikt nie dostrzegł mych zmagañ, ciągnąłem ją do tyłu z całych sił przesuając zarazem na różne wysokości pomiędzy prętami niby przypadkiem i wciąż nie przestając śpiewać z innymi. Przez pewien czas miałem jeszcze nadzieję, że przecież na jakiejś wysokości odległość pomiędzy żerdkami będzie większa i uda mi się uwolnić. Nadaremnie. Upływały minuty, chór, w którym słyszałem jedynie głos Elżbiety, podejmował coraz to nowe melodie, a ja trwałem wciąż pochylony w niewygodnej pozycji z głową uwięzioną pomiędzy nieustępliwymi patykami, robiąc wszystko, aby nikt z sąsiadów nie odkrył beznadziejności mej sytuacji.

Chwilami klarowałem sobie bezgłośnie i dodawałem odwagi, że przecież jeżeli głowa

przeszła tak lekko, to musi mi się udać jakoś ją wysunąć i cofnąć do zwykłej pozycji. Była to jednak tylko teoria. Przysięgnęłbym, że odległość pomiędzy żerdkami zmaląa lub że powiększyły mi się w zadziwiający sposób uszy.

Kiedy zatrzymaliśmy się i otoczyły nas sylwetki żniwiarzy, a Elżbieta i jej towarzysze zaczęli zeskakiwać na ziemię, została mi już tylko metafizyka. Postanowiłem, że jeżeli już zaraz uda mi się wyswobodzić i jeśli nikt nie zauważy mojej strasznej przygody, to ofiaruję swój album ze znaczkami pierwszemu lepszemu chłopcu ze wsi. Za chwilę zrobiłem to samo z rowerem. To były ogromne ofiary, lecz nie przydały się na nic. Upływały minuty. Wiedziałem, że już za chwilę wszystko zostanie odkryte, i marzyłem o śmierci, udając, że pochylony manipuluję przy rozwiązanej sznurowadle. Miało to choć na chwilę odwlec mój ostateczny upadek.

Stało się. Któryś zobaczył i zaryczał pierwszy, a potem już wszyscy zaczęli tarzać się w napadzie szalonej wesołości. Boże, jak okropnie głośno i lekceważąco potrafi śmiać się pięciu takich jak oni. Tylko na chwilę starczyło mi sił, aby śmiać się z samego siebie.

Łzy siedziały mi tuż pod powiekami. Rozpłakałem się i to najgorsze, że takim beznadziejnym, dziecinnym szlochem, który objawił mi całą moją słabość.

Wówczas właśnie stało się coś wstrząsającego. Nie wiem, kiedy podeszła do mnie Elżbieta. Zobaczyłem opalone nogi w żółtych sandałach tuż obok wozu i poczułem lekki zapach rumianku.

– Nie płacz – powiedziała odciągając jeden z prętów obiema rękami i uwalniając mnie. – To się mogło przecież każdemu zdarzyć.

W ten sposób poznałem po raz pierwszy w życiu kobietę.

## **Kobieta druga – początek złudzeń**

Alicja spóźnia się. Pewno jej rodziców przestraszyła ostatnia egzekucja i nie pozwalają jej teraz wyjść. To nic, jest sprytna – coś wymyśli. Rozstrzelali tych zakładników za blisko jej domu. Akurat dzisiaj rano, kiedy chcę jej powiedzieć, że ją kocham. Pech. Zresztą może to i lepiej, że jej jeszcze nie ma. W ten sposób choć trochę dłużej będziemy przyjaciółmi. Wszystko się skończy, kiedy powiem. Przecież wiem, że nie mam żadnych szans. Nigdy na mnie nie zwraca nawet uwagi.

Spojrzałem jeszcze raz w stronę bramy parku. Jakiś bahnschutz w ogromnych butach przeszedł obok mojej ławki – naszej ławki. Dobrze, że nie usiadł. To byłaby profanacja.

Jeden z tych zakładników coś podobno krzyknął. Pewno – „Niech żyje Polska!”. Ciekawe, czyja... Gdyby tak mnie postawili naprzeciw plutonu egzekucyjnego... To musi być bardzo trudne. Dużo ludzi naprzeciwko, a wszyscy wrogowie. Samotność.

A właściwie od czego miałbym zacząć mówić jej o tym wszystkim? Czy takie „kocham cię” jak w książkach wystarczy? Przecież trzeba coś jeszcze przed tym chyba powiedzieć.

Wyobraziłem sobie na moment, że Alicja patrzy na mnie tymi swoimi zielonymi oczyma, i uczułem, że zasycha mi w gardle. Chyba łatwiej byłoby mimo wszystko krzyknąć „Niech żyje Polska!”.

Boże, jak ją kocham i jak bardzo mnie onieśmiela. Właściwie to wielkie szczęście, że ją poznałem i że pozwala mi się widywać. Lubię stać obok niej i udawać, że patrzę gdzieś daleko przed siebie, ale tak naprawdę to obserwować ten złoty meszek, jakim ma pokryte ramiona.

Już jestem mężczyzną. Niedawno przedostałem się przez zieloną granicę do Reichu. Jak zwykle po kartki na chleb, które można tam kupić taniej. Poszedłem do fryzjera. Ostrzygł mnie i zapytał zupełnie jak gdyby nigdy nic: – Rasieren? To był wstrząs, ale odpowiedziałem po prostu: – Ja, bitte – a on namydlił mnie tak samo, jak jego kolega siedzącego obok na fotelu leutnanta SS. Wcale nie wyglądał na zdziwionego. Obserwowałem w lustrze jego twarz.

Jak to było, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem? Zdaje się, że kupiła pastę do zębów. Weszła z Rexem. Podałem jej tubkę tej wiedeńskiej, najlepszej, jaka była w sklepie. Płaciła przy kasie, a rudy seter obwąchiwał mi zaplamiony fartuch. Powiedziała do niego ostro: – Chodź! – i zdaje się, że uhmiechnęła się do mnie, ale tak, jak uśmiecha się dama do windziarza, listonosza czy też właśnie takiego jak ja subiekta w firmie „Max Arndt – Drogen und Chemikalien Geschäft”.

Gdyby ten Rex nie uciekł jej wtedy nad bagrem, to chyba nigdy bym jej nie poznał bliżej. Tylko Henryk widział ją już kiedyś. Powiedział: – To córka tego doktora. Widzicie suknię? Tato bierze 50 marek za wizytę.

Henryk pracuje w ogrodach miejskich. Praca ciężka, ale można od czasu do czasu coś podkraść. Wygląda najlepiej z nas wszystkich i chyba rzadko bywa głodny. Ma nawet forszę na uczenie się na tajnych kompletach gimnazjalnych. Ja w swojej drogerii zarabiam jako hilfsarbeiter zaledwie dwadzieścia marek tygodniowo.

Nasza plaża nad bagrem, to miejsce, gdzie można mówić o wszystkim. Ostatnio studiujemy jogów indyjskich. Silna wola bardzo jest potrzebna mężczyźnie. Dziewczyny nic nie rozumieją.

Bagier to jest rozległa, wodna przestrzeń zajmująca miejsce „podsadzkowego” piasku zabranego pod ziemię w celu wypełnienia „wybranych chodników kopalń”. Zaraz za naszym bagrem biegnie granica Warthegau. W okresie, kiedy handlowałem cukrem, przekraczałem ją nielegalnie tak wiele razy, że teraz nie robi już na mnie wrażenia.

Front na wschodzie zatrzymał się pod Charkowem. Gestapo poszukuje mojego ojca. Śmieszne – matka nie chce mi powiedzieć, gdzie się ukrywa. Ciągłe tylko mówi, co mam robić, jeśli ją zaaresztują. Mówi, że mam uciekać do Guberni. Jakby tam było bezpieczniej. Traktuje mnie wciąż jak dziecko.

Nad bagrem nucimy wszyscy *Stern von Rio*. Wspaniale to śpiewa Rossita Serrano w niemieckim radiu.

Bahnschutz znowu zawrócił. Czemu on się tak gapi? Pewno czeka na jakąś dziewczynę. Obaj czekamy.

A w naszej piątce organizacyjnej przerabiamy już od dwóch tygodni zamek karabinu. Zwariowali czy co? Każdy z nas umie to już na pamięć, a o strzelaniu ciągle nie ma mowy. W ten sposób przecież nie wygramy wojny.

Więc od chwili, kiedy schwytałem tego jej psa, Alicja zaczęła przychodzić do nas na plażę. Byłem nawet w jej domu i poznałem ojca. Mają biedermajerowski salon, ale – spostrzegłem to od razu – antyki są fałszywe. To bardzo dziwny czas, kiedy subiekt drogerii może

krytykować antyki takich ludzi.

Najstraszniejsze jednak, że jestem chudy. Urosłem ostatnio bardzo i schudłem niesamowicie. Głos mi tylko zgrubiał. Groteska. Na pewno wszystkie dziewczyny śmieją się ze mnie za plecami, a już taka jak Alicja... Nienawidzę swego odbicia w lustrze.

– Jurek! – usłyszałem jej głos. Odwróciłem się. A więc przyszła. Niemiec w mundurze spojrzał na zegarek, a potem odprowadził wzrokiem jej zgrabną sylwetkę. Uśmiechnięta zbliżała się od strony klombu. Pomyślałem, że można by powiedzieć jej od razu, przywitać ją tymi dwoma słowami. Lecz natychmiast uczułem, że serce pulsuje mi w skroniach. Wstałem i podałem jej spoconą dłoń. Nie byłem w stanie wyrzec słowa.

– Ojciec nie chciał mnie puścić, rozumiesz? I ja... – spojrzała na moją twarz i nagle, widziałem to wyraźnie, zaniepokoiła się. – Co się stało? – spytała ciszej.

– Nic. Chodź, przejdziemy się.

Alejka była pusta. Słońce zniżyło się nad horyzontem. Czerwonawy blask wydobył z szarości muru reklamowe malowidło na jednym z domów opodal parku – *Ata macht alles rein*.

Uprzytomniłem sobie, że takie rzeczy mówi się przecież zwykle o zachodzie słońca. Lęk straszliwy i nieokreślony wypełnił mnie już całkowicie. Za chwilę miałem powiedzieć coś, czego nie powiedziałem nigdy w życiu nikomu. Spociłem się tak, że koszula przylgnęła mi do grzbietu.

– Wiesz, co to znaczy NSDAP? – spytałem zupełnie niespodziewanie dla samego siebie. To było jakby pokonywanie siły inercji.

– Nie.

Przeczuwała dowcip i uśmiech błąkał już w kącikach jej warg.

– Nasi Są Daleko, Ale Przyjdą – rzuciłem szybko. Oczekałem, aż przestanie się śmiać. – Alicja, ja ciebie kocham – powiedziałem natychmiast głośno i wyraźnie. Pulsowanie serca siedziało mi już teraz nawet w czubkach palców.

Zatrzymała się. Spodziewałem się, że w takich chwilach kobieta jest zawsze poważna. Tymczasem ona jakby uśmiechała się lekko.

– Ilu dziewczynom to już mówiłeś?

Oślupiałem. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że się przesłyszałem. To, co powiedziała, było burzą, huraganem odwracającym istnienie, wszystkie myśli, marzenia i oceny. Wiedziałem, że coś się we mnie wali, coś zmienia i czułem to tak fizycznie, że przysiągłbym, iż fiknąłem jakiegoś szalonego kozła i teraz z trudem i niezdarnie podnoszę się, widząc wszystko do góry nogami.

Zwrócona do mnie plecami, dotykając dłońmi gałązki jakiegoś krzewu, czekała na odpowiedź.

Daleko na drugim planie bahnschutz spojrział raz jeszcze na zegarek i wyszedł z parku. A więc jego dziewczyna nie przyszła. Byłem „lepszy”.

Zaczerpnąłem tchu. Pojęcia nie mam co, jaka siła kazała mi uśmiechnąć się naraz ze sztucznym, kłamliwym zakłopotaniem.

– No, nie tak znowu wielu – powiedziałem lekko, czując jednocześnie do siebie coś w rodzaju odrazy.

W ten sposób narodziła się we mnie pewność.

## **Kobieta trzecia, czyli czas**

Zobaczyła mnie w czasie uroczystego cocktailu z okazji urodzin Króla Jerzego VI. Podobno zrobiłem na niej duże wrażenie. Powiedziała mi to sama później, po paru miesiącach. W gwarnej, wypełnionej gośćmi sali na pierwszym piętrze Ambasady Brytyjskiej byłem właściwie jednym z gospodarzy. Wykorzystałem to wskazując jej stół z różnokolorowymi czworobokami kieliszków zapraszającym gestem. Powiedziałem zdaje się: – Polecam ten z oliwką – „Old English”. – A ona podziękowała z uśmiechem.

Potem – stojąc obok Ireny Rossinotti, z którą przyszedłem – miałem jeszcze okazję sprawdzić, że ten zareklamowany cocktail z oliwką zbytnio chyba smakował nieznajomej dziewczynie o wspaniale osadzonej głowie i zgrabnych nogach.

Słyszałem jej zabawną i głośną angielszczyznę będąc zwrócony do niej plecami, gdyż Irena rzuciła już jedną z tych uszczypliwych uwag, jakie zawsze wypływały u niej z zazdrości. Z nieznajomą rozmawia tymczasem o ostatniej kreacji Jamesa Masona w *Odd Men Out* jeden z urzędników ambasady. W chwilę potem spotkałem go przypadkiem, kiedy wracał z biura prasowego. Spieszył się, co było u niego dość niezwykle. Zawsze trzymał butelkę „Yardleya” w swym biurku. Teraz oblał się dawką zdecydowanie „interwencyjną”.

– *She is extremly interesting. Just marvelous one.* – Jej polskiego nazwiska oczywiście nie zapamiętał. Nawet nie próbował. Miał w dłoni jakąś paczkę obwiązaną dokładnie kolorowym sznurkiem. Pożegnał mnie z wyraźną ulgą i pognął na górę, gdzie czekała.

– Przyjęłaś wtedy tę paczkę? – spytałem kopiąc piętą piasek.

Leżeliśmy oboje na plaży w Międzyzdrojach opodal otoczonej jeszcze kolczastym drutem wyrzutni V-1. Nie wolno było tu przychodzić. Spotkałem ją ubiegłego dnia na dworcu obok leżącej w trawie i kupach śmieci tablicy z napisem – MISDROJ. Pytała o powrotny do Krakowa. Od chwili kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w ambasadzie, minęło parę miesięcy.

– Niemądry jesteś. On myślał, że wszyscy jesteśmy żebrakami czy co? Tam były jakieś ciuchy. Nie wiedziałam, jak się zachować.

– On jest „równy” gość. Naczytał się o nas w gazetach, to co się dziwisz. W Anglii piszą, że jesteśmy „załatwieni” na sto lat. – Obserwowałem jej profil. Miała zamknięte oczy.

– A skąd ty się tam właściwie wziąłeś? – otworzyła nagle oczy i wsparła głowę na łokciu.

– Gdzie?

– W tej ambasadzie.

– To długa historia. Nie zdążę.

– Więc jutro jedziesz? – przesypywałem dłonią piasek. Słońce piekło. Fale wydawały niesamowite dźwięki wewnątrz sterczącego opodal wraka desantowej łodzi.

– Jadę. Gdzie byłeś w czasie wojny? – usiadła i sięgnęła po papierosa.

– W wielu miejscach.

Nie pozwoliłem jej zapalić. Sprawiało mi wielką przyjemność robienie jej na złość. Objąłem ją i pocałowałem. Leżała chwilę z zamkniętymi oczyma.

– Wpisz mi do notesu swój adres – poprosiłem.

– Dobrze. Gdzie jest ten notes?

– W kieszeni.

Teraz ja miałem zamknięte oczy. Słyszałem nieustanny oddech morza. Pomyślałem, że pewno nie potrafi znaleźć notesu w kieszeni mojej koszuli, ale nie. Zapytała:

– Irena Rossinotti to ta, z którą byłeś w ambasadzie, tak?

– Tak.

– A dlaczego zapisałeś jej nazwisko pod datą siódmego października?

– Bo wtedy są jej urodziny.

– To ja ci się wpiszę... – usłyszałem, że wrywa kartkę. Pomyślałem, że to bardzo dobrze, że „likwiduje” Irenę – ... wpiszę ci się, kiedy już jej nie będzie – dokończyła po krótkiej chwili.

Podniosłem się i zobaczyłem, że skrawki papieru rozwiewa wiatr. Miała złe oczy. Zapamiętałem ich wyraz. Wyjechała następnego dnia.

Po powrocie do Warszawy, po miesiącu czy dwóch znalazłem w notesie imię Ewa i krakowski numer telefonu. Przypomniała mi się piosenka. Śpiewał ją w czasie naszego pożegnalnego wieczoru refrenista w „Zdrojowej”:

Chcesz, spotkamy się na molo tam, gdzie zawsze,

Może dzisiaj będziesz miała oczy łaskawsze,

Może dzisiaj świat wyzwoli się z cienia,

Bo to tylko zależy od twojego spojrzenia...

Śmiałem się z tych „oczu”, „sposjrzenia” i mówiłem, że śpiewa to specjalnie dla niej. Było



nam bardzo źle się rozstawać. Płakała w oknie wagonu.

W Krakowie zjawiłem się po jakichś mniej więcej trzech latach. Przejazdem. Nie znałem tego miasta. Miałem godzinę czasu i kiedy dowiedziałem się, że ołtarz Wita Stwosza jest niemożliwy do obejrzenia, przypomniała mi się nagle – ona. W ciągu tego czasu, który upłynął, rozwinęła się jakoś we mnie pedantem. Sięgnąłem do kieszeni. Przyznaję, że się zdziwiłem. Okazało się, że trzy razy przenosiłem ją na coraz to nowe kartki, coraz to innych kieszonkowych kalendarzy.

Była zapisana pod „E” z braku nazwiska. Numer telefonu widniał obok.

Zaniepokoiłem się. Wiedziałem, byłem pewien, że mnie pamięta i nie może wybaczyć milczenia. Przypomniały mi się jej łzy i doszedłem do wniosku, że na pewno tęskniła.

Kto wie, czy nawet nie miała jakichś tam planów. W jej życiu nie mogłem minąć ot tak. Dla jej istnienia byłem jednak z pewnością kimś. Spoważniałem. Należało się jakoś dostroić do sytuacji. Przed podniesieniem słuchawki przygotowałem zwroty, które mogłyby pomóc nam obojgu w utrzymaniu rozmowy w jakimś miłym klimacie dawnego zbliżenia. A więc: „Bałem się słów, bo wszystko między nami było zbyt piękne” (po namyśle zmieniłem „piękne” na „niezwykłe”). „Niełatwo było się zdecydować. Bałem się ciebie”. Tak – „bałem się ciebie”. To powinno zrobić dobre wrażenie.

– Ewa? – powiedział w słuchawce starszy, kobiecy głos.

– Ewunia jest na wykładach. Wróci około...

– A, to, bardzo przepraszam – przerwałem w trwodze, nie pozwalając nieznannej pani na zadanie żadnego pytania. Położyłem słuchawkę.

I oto znów w Krakowie. Upłynął rok czy dwa. Wracalem do Warszawy po miesiącu praktyki w Tarnowskich „Azotach” wioząc w walizce setkę nowiutkich biletów wizytowych z wpisanym a przysługującym mi od niedawna naukowym tytułem. Jeszcze nie miałem okazji ofiarowania komukolwiek nawet jednego z nich.

W tym czasie wiele razy postanawiałem, że już nieodwołalnie napiszę do Ewy, lecz jakoś do tego nie doszło. Coraz trudniej było tłumaczyć się korespondencyjnie. Zresztą głupio byłoby przemilczeć ten mój ostatni romans. Krystyna (ta aktorka) nie była kimś zwykłym i to, co nas łączyło, na pewno też zostanie w jej pamięci na zawsze. Zresztą – tak zupełnie szczerze – żał mi jej. Nie powinna była mnie poznawać. Moje odejście może wywrzeć nie najlepszy wpływ na jej dalszą, teatralną karierę.

Jeśli chodzi o Ewę, to byłem pewien, że nie przebaczyła mi brutalnego zerwania kontaktu.

Na pewno uważa mnie za cynika. Nie pamiętałem już niemal jej twarzy, lecz oczy pozostały nie zmienione. Przypominam sobie chwilę, kiedy znalazła u mnie w notesie adres Ireny Rossinotti. „Była naiwnie, po pensjonarsku zazdrosna, ale kochała mnie, kochała mnie naprawdę. Podczas gdy ja?... Zlekceważyłem jej uczucie, tęsknotę i nadzieję. Być może, zламаłem życie”...

Piłem z kolegami kawę w krakowskiej kawiarni. Autobus mieliśmy o czwartej. Trzy godziny czasu. Telefon był obok szatni. Nieznacznie zerknąłem do swego notesu. Wstałem. Jakaś jejmość tłumaczyła coś krawcowej. Wreszcie jednak:

– Czy mogę prosić panią Ewę?

– Bardzo mi przykro, ale Ewa ma dzisiaj dyżur w szpitalu – odpowiedział lekko ochryply baryton. – Ale zaraz, może jeszcze jest. Zobaczę.

Straciłem na moment całą pewność siebie. A więc „dyżur”... Jakiś „szpital”. A w ogóle, co robi u niej w domu ten człowiek? Kim jest? Brat? Mąż? Nie. To niemożliwe. Widziałem, że siedzący przy stoliku koledzy dają mi jakieś znaki. Na pewno wydawało im się, że to jest stosowna chwila do wypowiedzania idiotycznych dowcipów.

W słuchawce usłyszałem jakby odległy szcęk drzwi, a potem bardzo bliski chrobot. Nie myliłem się. Ktoś oddychał bardzo blisko telefonu, tuż przy słuchawce.

– Halo! – rzuciłem tak głośno, że staruszek czekający na swą kolej obok mnie spojrzał zdziwiony. Było mi to obojętne.

– Halo! – powtórzyłem jeszcze donośniej. – Słucham – i nagle usłyszałem.

– Halo! – odpowiedział cieniutki, nieśmiały głosik w słuchawce. – Mamy nie ma. Już wyszła do szpitala.

Zaniemówiłem. W tej samej chwili dotarł do mnie baryton tamtego. Dobiegał jakby z drugiego pokoju i brzmiał nieco inaczej. Nie od razu pojąłem, że mój niedawny rozmówca śmieje się. „Ach, więc to tak... Ach, więc to tak...” powtórzyłem bez sensu w myślach.

– A kto ty jesteś? – zapytałem, aby coś powiedzieć.

– Ja jestem Marcysia – usłyszałem w odpowiedzi.

– Aha, no to do widzenia, Marcysiu – powoli opuściłem słuchawkę i położyłem ją na widelki.

W ten sposób straciłem pewność.

## Smak słońca

Dziecięcy wózek – białe pudło o pretensjonalnie opływowym kształcie – był tak ciężki, że Wierzbicki zatrzymał się na podeście drugiego piętra, aby odetchnąć. To zmęczenie, powtarzane niezmiennie każdego dnia oznaczonego w kalendarzu czerwonym kolorem, budziło w nim zawsze myśl z gatunku tych, jakie ludzie szepcą, nieraz bezgłośnie do taktu swych kroków. „Nigdy nie przywyknę do tego ciężaru”.

Jego strapienie było mało efektowne i równie niewidoczne jak kilka kresek temperatury na termometrze gruzlika. Miał przeciwko sobie cały świat gloryfikujący macierzyństwo wciąż jeszcze z zapalem i optymizmem pierwszych chrześcijan żyjących na pustawym globie i świadomych wagi naturalnego przyrostu. Temu wszystkiemu mógł jedynie przeciwstawić gorycz własnych, nie spełnionych nadziei. Lubił dzieci jak człowiek, który woli podziwiać egzotyczne kwiaty w botanicznym ogrodzie, aniżeli zabiegać wokół nich we własnym domu. Te, które urodziła Barbara, pokochał jakąś zwyczajową, obowiązkową miłością. Zabierały mu zbyt wiele. Gdyby nie one, na pewno miałby już do tego czasu wystawę swych obrazów.

Okazało się, że Barbara myślała tylko o sobie. Jej życie było wypełnione. Jeśli miała jeszcze jakieś pragnienia, to związane one były bez reszty z przyszłością dzieci i ich szczęściem... Nie rozumiał własnej matki, a i ona – wiedział o tym dobrze – nie była z niego zadowolona. Czy na takie szczęście w przyszłości liczyła właśnie Barbara?

Samiczy egoizm obudził się w niej tuż po ślubie. Na pewno nie przeczuwała, że w dniu, w którym urodziła pierwsze dziecko, on był tak samotny, jak nigdy przedtem. Od tej chwili zacisnął zęby i pracował. Pieniądzy było wciąż za mało. Przyjął posadę w biurze i to był koniec. To przeklęte miejsce wysysało z niego wszystko. Próbował malować w niedzielę, ale to były wysiłki tonącego, który nie wierząc we własne ocalenie próbuje utrzymać się na powierzchni wody.

W cztery lata po ślubie wziął pędzel do rąk po raz ostatni. W ciągu następnych pięciu dorobił się mieszkania, awansu na samodzielnego referenta oraz futra ze strzyżonych baranów, wręczonego żonie z okazji narodzin trzeciego dziecka, którym był syn.

Stanowczo zbyt długo stał tego dnia obok wiecznie uchylonych drzwi Gorzelaków, ale przestrelone w ostatnim roku wojny ramię dawało o sobie znać silniejszym niż zazwyczaj

strzykaniem. „Moja *Humerus Articulatis Coraciobiahiasis*” – pomyślał żartobliwie uprzytamniając sobie jednocześnie, że łacińska nazwa uszkodzonej kości była dlań o wiele bliższa niż strzępy tekstów Owidiusza, jakie udało mu się wynieść ze szkoły.

Wiedział, że za chwilę w szparze ukaże się głowa o gładko przyczesanych włosach i regularnych rysach kobiet z obrazów Otto Webera. Tamte kobiety miały przypominać Niemcom surowością swych twarzy o czystości rasy. Twarz żony upijającego się co wieczór fryzjera Gorzelaka była wiecznie ścięta podobną, wrogą nieufnością. Wierzbicki pomyślał kiedyś, że częste wizyty kumpli jej męża sprawiły, iż nie umiała już pozbyć się maski, którą nakładać zwykła na przywitanie.

Życie Gorzelaków nie rozpręgåło się mimo wszystko, a syn mógł zdać na politechnikę chyba właśnie dzięki wyrazowi twarzy swej matki. Gorzelakowa od dawna przestała już walczyć z nałogiem towarzysza życia. Kiedy zamroczony wódką zwał się na łóżko, zdejmowała mu buty, jak gdyby wyłączając go tym aktem na jakiś czas ze swego istnienia. Fryzjer zresztą upijał się „na spokojnie” i zdaniem mieszkańców kamienicy robił to właśnie dlatego, że jego żona była jakoś „nie z tego świata”.

„Za cicha kobieta nigdy mężowi szczęścia nie da” – dowodziła Rudalska z parteru, wdowa od lat dwudziestu pięciu.

Przemieściwszy rękę, ruszył w dół schodów. Tym razem Gorzelakowa nie wyjrzała.

Nad betonem podwórka wisiały obiadowe zapachy i dźwięk krakowskiego hejnału. W niedzielę o dwunastej wszystkie radia grały zawsze to samo.

Motocyklista z siódmego piętra „od frontu” przykucnął przed swoją jawą zwrócony do przeraźliwie niebieskiego posążka Matki Boskiej na drewnianym postumencie.

Wierzbicki, postawiwszy wózek obok trzepaka, poszedł do budki na róg po papierosy. Ramię bolało go przy każdym stąpieniu. Nigdy nie przejmował się tym zbyt. Jeśli się czegoś lękał, to snów, które ten ból sprowadzał. Ostatecznie jak długo można powtarzać skok z okna pędzącego pociągu, dokonany pod ogniem niemieckich automatów gdzieś w czterdziestym trzecim roku. Do dziś dnia budził się złany potem. Dziwiło go to, bo nie zwykł tych spraw rozpamiętywać w nieskończoność, jak inni. Siła, która przywołała nocne zwidy, z tak ogromną dokładnością osadzając je w czasie i przestrzeni, była dlań czymś niezrozumiałym. Przecież kiedy świeciło słońce, najwyższy alarmowy sygnał przejeżdżającego ambulansu przynosił jakieś niejasne skojarzenia. Wszystko inne było już w odległym, nierzeczywistym wymiarze.

Zenek, siedmioletni syn dozorczyńni, wisiał na trzepaku zwrócony głową w dół jak śpiący nietoperz. Jego brudne nogi, zagięte na metalowej rurce, trwały przez moment nieruchomo.

Potem uchwycił rurkę rękami i zeskoczył.

Wierzbicki przeniósł oczy na rzędy okien zbiegające się wokół kwadratu nieba, gdzieś niezmiernie wysoko. Tylko do najwyższych pięter oficyn docierało słońce.

Emerytowany pułkownik Lipski obserwując go z pierwszego piętra czekał na to, co powinno teraz nastąpić. Zwalczył chęć pokazania mu języka i przymusił się do ukłonu.

– Barbara! – zawołał kierując głowę ku górze. Widział, że emeryt oddalił się w głąb pokoju. Wszystko szło zwykłym trybem. Te dwa kółeczka, które reprezentowali obaj w mechanizmie przyzwyczajęń kamienicy, zazębiły się na wystarczająco długi moment, aby przypomnieć im wzajem o swym istnieniu, i rozeszły. Ich zużycie było zbyt równomierne, by mogli uświadomić sobie niszczące działanie czasu. Wierzbicki nie wiedział, że zmęczone oczy staruszka widzą go już tylko w postaci ciemniejszej nieco plamy na szarym tle betonu. Emeryt zaś na pewno nie był w stanie uświadomić sobie, że w ciągu dziewięciu lat kobiece imię wywoływane przez „młodego człowieka” z czwartego piętra zmieniło się, że nie jest już Siulką, Babrałą, Baśkiem ani nawet Basią, a brzmi twardo zawierając jedynie zniecierpliwienie. Zupełnie niespodziewanie pojawiła się w drzwiach korytarza.

– Andrzejka ząbek boli – zawsze dostrzegając jego spojrzenie, wołała zwrócić uwagę na coś innego niż siebie samą. „Przytyła – zdołał jednak pomyśleć – niepotrzebnie się odchudza i tak jest coraz grubsza”.

– Który? – spytał biorąc z jej rąk małego.

Zaczęła wyjaśniać z ożywieniem i niepotrzebnymi uśmiechami, mającymi – wiedział doskonale – pokazać wyglądającej oknem Rudalskiej, jak bardzo są ze sobą szczęśliwi. Litość kazała mu odpowiedzieć na jakies pytanie z cukierkowym uśmiechem.

– Gdzie idziemy? – spytała żona na ulicy.

Dostrzegając, że na jej twarzy utwierdza się zwykły wyraz godnego, niedzielnego zadowolenia.

Często mówiła, że jest z nim nieszczęśliwa. Teraz w to nie wierzył.

– Nad rzekę. Chodźmy nad rzekę! – usłyszał nagle cieniutki głosik córki i natychmiast opanowało go rozczulenie. Zawsze martwił się, że mała zbyt rzadko przebywa na powietrzu.

– Dobrze, pójdziemy – rzekł pogodnie.

– Andrzej, rzuć ten wstrętny patyk! – żona uprzytomniła sobie widać, że wypadnie im iść główną ulicą.

– Daj spokój! To dla niego coś bardzo cennego – zaoponował, próbując przypomnieć sobie własne kryteria z czasów dzieciństwa, ale to było niepotrzebne. Malec w jednej chwili i bez najmniejszego żalu wyzbył się swego „oreża”.

„Jest inny – zupełnie inny. Nie ma w nim nic ze mnie” – pomyślał Wierzbicki.

Wymijani przez defilujących spacerowiczów, kroczyli już ulicą. Barbara od czasu do czasu rzucała krótkie spojrzenia na pchającego wózek męża. Nie wiedziała, że ten nienawidzi siebie w tej chwili z całego serca. „Ustatkował się jednak jakoś w ciągu ostatnich lat. Dobrze zrozumiał, że z tym swoim malowaniem daleko nie zajędzie” – głaskała w myślach z absolutnym, pokornym oddaniem mężowskie barki.

Daleko, daleko dostrzegła zbliżającą się rodzinę Wolskich. Helena była znowu w nowej sukni, zobaczyła to natychmiast. Tak szybko, jak to było możliwe, poprawiwszy koszulę Andrzejowi, zacisnęła palce na rurce wózka obok dłoni męża. Pchali teraz oboje.

Wiedział, co oznacza tego rodzaju manifestacja wspólnoty. Poszukał wzrokiem i od razu przyspieszył kroku. Rozmowa z Wolskimi oznaczała co najmniej dziesięciminutowy postój obok nagrzanego słońcem muru. Koszula przylgnęła mu już do grzbietu. Marzył o zdjęciu marynarki. Pochylili na moment głowy i podnieśli je mając ich tuż przed sobą. Chyba bezbłędnie udali zaskoczenie.

W oknie antykwariatu wisiały wyblakłe obrazy. Przyspieszył kroku. Przechodnie razem z doskonale bezosobowymi garniturami, wyjęli chyba z szaf odświeżone twarze. Skinął głową biurowemu koledze, rozpoznając go w ostatniej chwili. Nim doszli do mostu, spotkali jeszcze paru znajomych.

Plaża widziana ze wzniesienia ostatniego przęsła była dość odległa. Ludzkie sylwetki przypominały rozsypaną, gryczaną kaszę.

– Zdjęcie by było dobre prawda? – usłyszał głos żony. Przytaknął. O wszystkim, co robiło na niej wrażenie, zwykła od pewnego czasu mówić tonem rasowego fotografa. Bawiło go to, gdyż zdjęć nie robiła nigdy.

W chwilę potem ustawiali już oboje wózek w cieniu filara. Mały wciąż jeszcze spał.

– To jest boja – odpowiedział na pytanie córki. Skonstatował, że żona poruszając jedną ręką wózek, drugą rozpina guziki swej bluzki. Na plaży obowiązywała nagość. Tutaj, obok mostu, na wymęczonym piasku, który był ni tym, ni owym – bielizna.

– Boja pokazuje przepływającym statkom, gdzie jest płytka woda. Ostrzega, żeby nie wjechały na mieliznę.

– I one się boją – Andrzej chichocząc z triumfem nagłego zrozumienia począł skakać dookoła koca.

– Boją – boja! Boją – boja! Boją – bo...

– Cicho bądź! Idźcie gdzieś dalej! – Barbara usiadła na kocu obok męża.

– Nie zdejmiesz butów?

– Zdejmę – czując jakąś niezmierną, bezgraniczną rezygnację, począł rozwiązywać sznurowadła.

– Może jesteś głodny? – Barbara była naprawdę w dobrym humorze. – Chcesz jabłko?

– Nie, dziękuję – sięgnął po gazetę, gapiąc się na własne stopy. Na dużym palcu lewej miał ciemną szramkę. Zawsze się dziwił, że głupie zdarzenie z dzieciństwa starzeje się z nim razem. Wchodził przez płot do ogrodu rodziców, choć drzwi były otwarte.

Życie w rodzinnym domu było zbyt łatwe i należało je utrudniać. Wtedy ten gwóźdź... Matka była oczywiście na kawie z przyjaciółkami. Ojciec omal nie zemdleł. Zawsze widok krwi czynił go nieporadnym. Obecnie nie było już na świecie nikogo, kto by pamiętał tę nieważną historię. Może on sam?... Ale też chyba niezbyt dobrze. Na pewno lepiej pamiętał palec. Pomyślał o nim jak o kimś mającym własne życie.

Leżący opodal grubas przykrył lśniąca łysiną chusteczką i ziewnął. Z nogawek spodni zwisały mu białe tasiemki.

– Lody! Lody! – dobiegło od strony wózka.

– Nigdzie nie ma spokoju – Barbara poderwała się od razu. Najmłodszy Wierzbicki buczał już monotonicznie. Na całe szczęście głos miał słabszy niż Andrzej w tym samym wieku.

Mężczyzna w brudnym fartuchu poprawił białą skrzynkę na brzuchu.

– Cztery proszę! – Wierzbicki sięgnął do kieszeni leżącej obok marynarki. „Dwadzieścia dni do pierwszego. Po co szastam?” – pomyślał jednocześnie.

Dzieci biegły już w jego stronę.

– Musimy iść gdzieś dalej. Tutaj nie uśnie – żona ciągnęła już wózek. Jej ciało, ściśnięte zbyt wąską spódniczką, rozlewało się nieco wyżej w różowości halki. Wstał leniwie, lecz zaraz usiadł.

Otoczona trzema chłopakami jak gwardią przyboczną, w wąskich spodniach, wymijając leżących, szła właśnie ku wodzie smukła dziewczyna.

– Tu jest zupełnie nieźle. Ostatecznie wszędzie są ludzie – rzucił postanawiając, że nie odejdzie stąd teraz za żadną cenę. Dziewczyna zdawała mu się przybyszem z innego świata. Jej małe piersi drgały lekko. Doskonale świadoma swej urody, kroczyła na strzelistych nogach, nie zwracając uwagi na nikogo, lecz na pewno czując odprowadzające ją spojrzenia. Był rad, że wybrała drogę obok jego koca. Nadepnęła sam kraj kraciastej materii białym sandałem. Jej cień przesunął się po nim, a on gotów był natychmiast uznać, zupełnie absurdalnie oczywiście, że świadczyło to, iż jego osobę właśnie zauważyła w tłumie rozmamłanych, wybałuszających ślepień samców.

Suknię zrzuciła z prostotą, stając po prostu w miejscu i nie spytawszy żadnego z

towarzyszy o zdanie, czy ten punkt brudnawego piasku im odpowiada.

Uczuł podziw dla jej hojności. Śniade ciało w białym kostiumie zdawało się jednak być czymś zupełnie zwyczajnym dla trzech muskularnych drągali, którzy szli już wraz z nią w stronę wody.

„Profani. Zbyt dużo jest im dane na co dzień, aby byli zdolni do zachwytu”.

Uśmiechnął się do żony, próbując naiwnie choć w części dać jej ekwiwalent własnych pragnień. Nie wiedziała przecież, jak bardzo był w tej chwili daleki. Usiadła bliżej.

– Co czytasz? – poczuł jej zapach.

– Ech, nic takiego – rzucił okiem na tytuł – reportaż ze Stoczni Gdańskiej.

– W przyszłym roku pojedziemy nad morze, chcesz? – otoczyła jego szyję ramieniem.

– Chcę.

Dziewczyna baraszkowała w rzece ze swymi chłopakami. Woda wokół nich kipiała. Budzone uderzeniami dłoni bryzgi zraszały „deszczem kropel brązowe ciała. Dziewczyna śmiała się. Nawet grubas z chusteczką na łysinie nie odrywał oczu od całej czwórki. „Ma mniej szans ode mnie” – pomyślał zazdrośnie Wierzbicki.

Wyruszyli do domu wcześniej, niż przypuszczał. Andrzej skaleczył sobie nogę i przy wtórze jego płaczu wlekli się w stronę stopni wiodących na szczyt mostu. Dziewczyna od długiego już czasu leżała na piasku, zwrócona w stronę słońca. Tej nocy żona miała jej twarz.

Poniedziałkowe, biurowe odprawy były resztką niedzieli. Wszyscy ich uczestnicy „donaszali” koszule i wrażenia z ubiegłego dnia.

Dyrektor zjawił się tego ranka nawet w wieczorowym krawacie. „Pewno wrócił z jakiejś libacji późno w nocy, rzucił go na krzesło, a rano nie miał już czasu na wyszukanie innego” – myślał leniwie Wierzbicki, obserwując jego poruszającą się grdykę. Chudzielec przypominał błotnego ptaka żywiącego się rybami. Jego wymuskana elegancja podkreślała to podobieństwo jeszcze bardziej. „Nie wrócił chyba sam – próbował wyobrazić go sobie w chwili miłosnych zapałów. – Ta, z którą spędził noc, była chyba niebrzydka. Brak pieniędzy najtrudniej zawsze znoszą ładne kobiety”. Widział już nagie kobiece ciało rzucone na tapczan.

Elegant mówił wciąż o jakichś panewkach nie przysłanych na czas z Poznania. Krawat tańczył pod jego „jabłkiem Adama” do taktu słów. Wierzbicki kazał mu w swych marzeniach bezlitośnie wystąpić w przykrótkiej, nocnej koszuli. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że podświadomie obdarzył jego partnerkę twarzą dziewczyny widzianej ubiegłego dnia na plaży. Uznał to niemal za świętokradztwo. I, chyba wówczas właśnie, zdał sobie sprawę z tkwiącego



w nim przez cały czas, dręczącego pragnienia zobaczenia jej raz jeszcze. Wtedy, gdy ją widział, zda się przed chwilą zaledwie, tkwił w nim jedynie podziw dla jej urody, jego ocena nie odbiegała chyba w niczym od najbardziej dosadnych, zwykłych, męskich terminów, z których „babka pod nóż” mówił chyba najpełniej o intencjach. Teraz było to już czymś innym. Zupełnie bez logicznego uzasadnienia, w oparciu o własne myśli jedynie, obudziła się w nim nadzieja.

Barbara kochała dzieci, a to, co udało się jej zachować dla niego, miało w sobie posmak odpłatności za zapobiegliwość, której dawał dowody. Po prostu nie potrafiła nazwać swego uczucia innym słowem niż miłość.

Tuż po zebraniu wyrwał się z biura na miasto pod jakimś „służbowym” pretekstem. Już z wagonu jadącego mostem tramwaju dostrzegł, że nie ma białego kostiumu w miejscu, w którym widział go wczoraj. Mimo to zszedł na dół. Brzeg rzeki miał tego dnia sztubacką, wagarującą klientelę. Jemu wydał się pusty. Dopiero po jakimś czasie wałęsania się opodal puszczających „kaczki” chłopaków opadło zeń bezsensowne zdumienie. „Jakże mógł przypuszczać, że ona będzie tu tego dnia. Na co liczył?”. Własne nadzieje wydały mu się ogromnie śmieszne. Nawet konduktor autobusu, którym wracał, zdawał się spoglądać nań z lekką ironią. Postanowił odtąd nie poświęcić nieznanym dziewczynie ani jednej myśli.

W domu Barbara zajęta była pastowaniem podłogi i gotowaniem ziółek dla Andrzejka, którego bolało gardło. „Jestem świnia” – przeszło mu przez głowę, gdy ujrzał czerwone z wysiłku dłonie pochylonej nad podłogą żony. W poczuciu swej winy odsunął zjedzenie obiadu na później, od razu zabierając się do pomocy.

Nad rzekę pojechał następnego dnia około jedenastej. To było jak narkotyk. Obraz nieznannej dziewczyny rósł w jego wyobraźni, wypełniał się z każdą chwilą jakąś inną treścią. Na próżno mówił sobie, że była czymś najzupełniej zwyczajnym, że setki takich samych mijały go na ulicach. Zwyciężały barwy i chyba czas, który przemijając dodawał im uroku. Cała kompozycja – śniadość jej skóry podkreślona białym kolorem kostiumu, błękitem nieba i wody – dojrzewała jak wino. Im była odleglejsza, tym więcej znajdował w niej piękna. Wtedy nie pojmował, że nawet najmniej interesujący ludzie znaleźli się na piasku tylko po to, aby podkreślić kontrast urody kąpiącej się dziewczyny. Teraz potrzebny się stał nawet łysy jegomość o głowie przykrytej chustką.

W tydzień potem, kiedy Andrzej zachorował na szkarlatynę, miał już za sobą sześć takich konspiracyjnych wypraw – sześć zawodów z których ostatni nie był ani odrobinę mniej gorzki od pierwszego.

Choroba syna, a później pozostałych dzieci, zabrała resztę lata. Kiedy cała trójka

wyzdrowiała wreszcie, była jesień.

Chyba na początku zimy rysunki Wierzbickiego na bibule, znalezione w szufladzie jego stołu przez jednego z kolegów, wywołały powszechną wesołość. Postać dziewczyny w białym kostiumie, powtórzona w różnych pozach, uznana została za niewątpliwy wyraz zdrożnych zainteresowań. Ich autor uchodził za zbyt zamkniętego w sobie, aby to odkrycie nie miało posmaku jednej z owych lekkich sensacji, jakie rozpalają wyobraźnię, tak cudownie skracając pracę w biurze. Zresztą i to minęło.

Następnego lata nad morze oczywiście nie wyjechali. Znowu podróżowały koleje i taka rodzinna wyprawa kosztowałaby fortunę.

Nie myślał już o dziewczynie z plaży. Zapomniał ją tak dokładnie, jak zapomina się słyszaną tylko raz melodię.

Wtedy właśnie ją spotkał.

Było to gdzieś w połowie sierpnia. Barbara wróciła już wraz z dziećmi z wakacji, które zdecydowała się spędzić u swej matki w małym, podgórskim miasteczku. Przyjechała rozradowana, gdyż uchodziła tam ponoć za osobę przybywającą z „wielkiego świata”, a nawet zdobyła jakiegoś adoratora. Chyba ten ostatni sprawił, że wyładniała i zdawała się być bardziej pewna siebie.

W biurze największa fala urlopów minęła i duszne pokoje wypełniały się ludźmi. Gdyby nie burze, które przeciągały nad miastem, można by uznać, że nie dzieje się nic godnego uwagi. Nawet nowe mieszkanie przyznane księgowemu Stefańskiemu nie wzbudziło zainteresowania. Od paru dni rozmawiano tylko o pożarze, który strawił ogromny młyn na przedmieściu.

Księgowy dostatecznie długo wycierał jednak obce kąty, aby osiągnąwszy wreszcie cel swych marzeń i zabiegów nie uczcić tego faktu wódczanym szaleństwem. Wierzbicki, zaproszony w wyniku wyświadczonej mu kiedyś przysługi jako jeden z pierwszych, już na schodach usłyszał tumult płynący z trzeciego piętra.

Był spóźniony, i to sporo. Barbara dopiero w ostatniej chwili zdecydowała, że nie pójdzie, a to z kolei stało się powodem dość ostrej wymiany zdań pomiędzy nimi. Nie znosił jej nieoczekiwanych zmian decyzji. Choć w głębi ducha imponowała mu trochę nonszalancja, z jaką traktowała jego biurowy światek. On sam nie przystawał doń wciąż jeszcze tak dalece, że musiał dbać o zachowanie pozorów koleżeńskości.

Znienacka skrzypnęły drzwi na górze. Głosy rozlały się w pustce korytarza. Usłyszał czyjeś kroki.

– Inka, nie wygłupiaj się! – wykrzyknął jakiś mężczyzna. Radio przetykane śmiechem

dudniło głucho.

– Inka!

Kroki były coraz bliższe. Ktoś zbiegał w dół, sadząc po dwa stopnie. Wierzbicki zatrzymał się mimo woli, przekładając do drugiej ręki owinięty papierem wazon, który zamierzał wręczyć Stefańskiemu jako prezent.

Biegąca zobaczyła go zapewne w ostatniej chwili. Zdążył jeszcze dostrzec zapłakane oczy i mokre policzki. Poznał ją, nim opuściła głowę. „Dziewczyna z plaży. Płacze? Dlaczego płacze?”.

– Ina! – dobiegło z góry donośniej niż poprzednio. – Co się wygłupiasz?

Dziewczyna zatrzymała się i Wierzbicki pomyślał, że zawróci. Nie uczyniła tego jednak. Stali chwilę bez ruchu naprzeciw siebie. Tylko jej piersi zdawały się biec wciąż jeszcze.

– Nie myśl, że cię będę gonił! – powtórzył ten sam głos. Trzasnęły drzwi ucinając wszelkie dźwięki. Usłyszał naraz, że dziewczyna oddycha jak ktoś bardzo zmęczony. Chyba teraz dopiero zdała sobie sprawę z jego obecności. Przetarła oczy dłońmi.

– No i co? Czemu się pan gapi? – burknęła ruszając w dół.

Na moment wypełniło go absurdałne zdumienie, że nie przeczuła, iż on był tym, który marzył o spotkaniu jej przed rokiem.

Spróbował wzbudzić w sobie tamten niepokój. Nie potrafił. Odwrócił głowę. Znajdowała się już na zakręcie schodów. Poprawiała włosy. Żal nie był chyba zbyt głęboki. Dostrzegł nagle jej biodra. Musiała mieć buty na wysokich obcasach. Tylko wtedy kobiece uda poruszają się tak drażniąco. Te trzysta sześćdziesiąt pięć dni, które upłynęły od owej „plażowej” historii, z pewnością jednak coś uprościły. Dzisiejszy niepokój był innego autoramentu.

– Przepraszam – wyjąkał, nie mając pojęcia, co powie. Dawna, „przedślubna” rutyna, z jaką niegdyś mógł zaryzykować zaczepienie takiej jak ona, należała już do przeszłości. Zatrzymała się bez specjalnego zaskoczenia nie patrząc w jego stronę.

– Przepraszam – powtórzył, przebiegając panicznie w myślach wszystkie, nieomal zupełnie już zapomniane zwroty, stanowiące niegdyś przecież zupełnie wystarczający argument do zawarcia znajomości. W jednej chwili wypełniła go wściekłość na siebie samego. „Jestem stary koń, a boję się takiej rzeczy” – pomyślał z nagłym przypiływem odwagi.

– Chciałem tylko powiedzieć – wyrzekłszy te pierwsze słowa uczył, że na twarz wpełza mu „nie używany” od niepamiętnych czasów, lekko drwiący uśmiezek zdobywcy. „Jestem chyba nieopisanie śmieszny” – przebiegło mu przez głowę. Nie bał się już jednak.

– Chciałem tylko powiedzieć – ciągnął z wolniejszym nonszalancko i ze zdumieniem słuchając samego siebie – że diabelnie mi się pani podoba i że jeśli mógłbym coś pomóc w pani zmartwieniu... – zawiesił głos.

– No, słucham – uśmiechnęła się lekko.

„Jest sympatyczna” – skonstatował. Coś w sposobie jej oczekiwania na to, co jeszcze powie, usunęło resztkę niepewności. Mógł już pozwolić sobie na udane zakłopotanie.

– Chciał pan na pewno zaproponować mi kawę jako środek likwidujący wszelkie kłopoty – zatoczyła się lekko, śmiejąc się jakoś zbyt głośno. Dopiero teraz pojął, że była pijana.

– Mężczyźni nie potrafią nigdy zdobyć się na nic innego. Wydaje im się, że każda kobieta marzy tylko o wypiciu z nimi właśnie małej kawy. Co pan tam ma? – spytała nagle, spoglądając na kopulasty kształt w jego dłoniach.

– Wazon – zdecydował się zejść nieco niżej.

– Wazon?

– Tak.

– Dla kogo? Chyba nie idzie pan do tych wrzeszczących idiotów – wskazała w górę, skąd płynęły tony jakiejś nierówno i z pijackim patosem śpiewanej melodii.

– Nie wiem.

– Czego pan nie wie?

– Nie wiem, czy to są idioci i zupełnie przestałem wiedzieć, gdzie idę.

– Aha – spojrzała nań krótko. – Niech pan lepiej pokaże ten wazon.

Wyjęła mu go z dłoni. Suknię miała głęboko wyciętą. Mimo mroku korytarza widział, że była opalona jak wtedy.

– Niezły jest – obserwowała pękaty kształt z uwagą. – Da mi go pan?

Wsparta o balustradę schodów, zwróciła na Wierzbickiego oczy. Było to pytanie dziecka. Zupełnie tak samo zwykła prosić go córka o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Gdzieś w dole skrzypnęły drzwi. Ktoś szedł pod górę.

– Dam, jeśli... – zawahał się, by nieoczekiwanie dokończyć odwróconym zwrotem, jaki rzucał nieraz dzieciom w odpowiedzi na tego rodzaju prośby – jeśli będzie pani... niegrzeczna.

„Zdobyłem chyba jakąś pozycję” – pomyślał, słysząc jej śmiech. Wciąż roześmiana, wychylała się teraz daleko poza poręcz schodów.

– Chce pan, zrzucimy go stąd. Będzie wielki huk.

– Niech pani uważa! – wykrzyknął, bo zdawało mu się, że lada chwila straci równowagę. Chwytał ją wpół.

– A zresztą mówią przecież – rzekła jakby do siebie – że jeśli coś się rozbija, to przynosi...

Nie musiała powiadomić go o tym, że rzuciła. Poczł to po drgnieniu jej pleców.

Wazon gruchnął o beton z impetem. Łomot przewalił się jak grom w pustce korytarza. Głos pękającej gliny nie zawierał płaczących nut rozbijanego szkła. Był jednolity i silny. Wierzbicki, wytrącony z równowagi, niezdolny zebrać myśli, usłyszał, że teraz dopiero dokończyła zupełnie w tej samej tonacji.

– ... szczęście.

Starszy pan, który minął ich nie wiadomo kiedy, spoglądał przerażony.

– Szцениaki, psiakrew!

Wierzbicki, słysząc jego nienawistną uwagę, uczł coś w rodzaju zadowolenia. Epitet nieznanego był najprawdziwszym, szczerym komplementem. Gotów był przysięć, że ubył mu lat.

– Uciekajmy! – W oczach dziewczyny dostrzegł umowny lęk, jaki potrafią jedynie wyzwałać w sobie bawiące się dzieci lub dobrzy aktorzy. Popędził za nią na złamanie karku.

– Jest pani szalona – powiedział, sapiąc lekko, kiedy znaleźli się już na ulicy.

– Po co pan nosi wazon? – wzruszyła ramionami. Była już inna.

Uprzytomnił sobie, że teraz nie przypominała ani dziewczyny z plaży, ani tej, która przed chwilą bez mrugnięcia powieką rzuciła jego prezent z wysokości drugiego piętra.

– Zresztą powiedział pan, że bym była niegrzeczna.

– Zawsze jest pani taka posłuszna? – rzucił z lekką złośliwością. Zaczynała denerwować go jej pewność siebie.

– Zawsze w stosunku do starszych – wykrzywiła się pod jego adresem. – A widzi pan. Trzeba panu było tego? Niech pan nie zaczyna.

– Dobrze sobie. Pani rozbiła mi wazon, a teraz zarzuca mi, że to ja zaczynam – powiedział prawie serio.

– Teraz mi przykro – miała minkę rozpieszczonej dziewczynki.

– Niech pani nie udaje, że żałuje tego wazonu.

– Kiedy ja wcale, nic a nic nie żałuję tych wstrętnych skorup. Jest tak nudno na świecie, że gdyby mi dali bombę atomową, to rzuciłabym ją w ten sam sposób bez namysłu. Mnie jest przykro, że powiedziałam coś o pana wieku.

– Bardzo dobrze pani zrobiła. Jestem stary i niepotrzebnie pokusiłem się o zaczepienie takiej młodej osoby jak pani. Będę miał nauczkę.

To była kokieteria. Śmiał się w duchu sam z siebie.

– „Pokusiłem, pokusiłem” – rzekła z niezadowoleniem.

– A właśnie, że pan wcale nie jest stary. Nie ma pan więcej niż trzydzieści pięć lat. Tylko piętnaście więcej niż ja. Powiedziałam tylko tak. Zresztą mnie się podobają właśnie tacy. Nie lubię szczeniaków – ujęła go pod rękę.

– Przejdźmy na drugą stronę jezdni, dobrze?

– Czy po to, aby ten, który wołał panią na schodach, mógł nas zobaczyć?

Roześmiała się.

– Może.

– Więc uznała pani, że potrafię wyzwolić czyjaś zazdrość. Zaszczyt to dla mnie niemały.

– Jest pan niedobry – wzruszyła ramionami. – Tam jest niezły sklep z ciuchami i chciałam po prostu zobaczyć wystawę. A ten, który mnie wołał, przestał istnieć, rozumie pan? Nie ma go. I niech pan już nigdy o nim nie wspomina.

Uderzyła go szczerość tego „nigdy”. Najwyraźniej nie przewidywała, że ich znajomość zakończy się tego dnia. Stali na wprost sterty najprzeróżniejszych rzeczy rozrzuconych beładnie za wystawową szybą. Zdawało mu się, że ze specjalnym zainteresowaniem obserwuje parę bucików na wysokim obcasie.

– No i co, co dalej? – spytała i uprzytomnił sobie, że mylił się, bo ona przez cały czas bezczelnie przyglądała się jego odbiciu w oknie.

– Nie wiem – włożył rękę do kieszeni.

– Jak to pan nie wie? Co będziemy teraz robili? Nawet się pan nie przedstawił.

– Wierzbicki – skłonił się lekko, wyzwalając tym gestem jej nowy wybuch śmiechu.

Stanowczo wypła zbytek wiele.

– No więc co zrobimy?

– Przecież powiedziałem już pani, że nie wiem – nieudolnie próbował ukryć opanowujące go uczucie bezradności.

– Ładna historia – pokiwała głową z ponurą miną. – Najpierw zaczepia kobietę, a potem nie wie, co z nią zrobić. Nieraz łązi za mną jakiś facet przez pół dnia, a potem, kiedy wchodzi do domu, zawraca na pięcie i odchodzi. Zawsze zastanawiam się, co to za przyjemność.

– Chodźmy – Wierzbicki ruszył nagle przed siebie.

– Zdenerwował się pan, co? – przez chwilę kroczyła obok niego w milczeniu. Mijali mały kościółek, który wciśnięty pomiędzy ogromne, nowe bloki z czerwonej cegły przypominał zgrzybiałego staruszka otoczonego roslymi, chełpiącymi się własną młodością synami.

– Zły pan jest na pewno, że przeze mnie nie poszedł na to „oblewanie”.

– Ani trochę. Właściwie to wcale nie miałem ochoty tam iść.

Dopiero w ostatniej chwili zauważył, że zawróciła w stronę drzwi kościoła. Ciężko tu był

chłodny.

- Wpadniemy do niego na chwilę, dobrze?
- Do kogo?
- Do Boga. Chyba miło mu będzie, że go odwiedzimy.
- Pani jest wierząca?

Potrząsnęła głową. Świątynka była pusta i głos ich kroków rozchodził się dudniącym echem.

– Nie wierzę w Boga, ale go lubię. Rozumie pan?

– Rozumiem – przycichł nagle. Obserwował ją, jak nieświadoma własnego piękna, czesze się bez troski nad ogromną kropielnicą wykorzystując taflę wody jako zwierciadło.

Nie wiedziała, że uwielbia ją w tej chwili, rysuje w myślach wraz z antycznym rekwizytem, że nie zapomni już nigdy kompozycji, jaką stworzyła.

– Właściwie, to szkoda, że nie miał pan ochoty iść na tę bibę – mówiła w chwilę potem, kiedy szli już spokojnie chodnikiem nagrzanym słońcem.

– Dlaczego?

– Bo po prostu w ten sposób z niczego pan dla mnie nie musiał zrezygnować.

– Zależy pani na tym, abym zrezygnował? – obserwował jej profil.

– Chyba tak – odparła z namysłem. Dostrzegł, że odpowiada na ukłon jakiegoś młodego człowieka. – Zresztą nie jestem pewna – dodała zaraz, jak gdyby przejście znajomego coś zmieniło w jej ocenie.

– Życie to beznadziejna rzecz, nie uważa pan? – rzekła nagle bez związku.

W równe siedem dni później, kiedy pili wino w wypożyczonym czy też wynajętym – bo tego rodzaju koleżeńskie usługi nie mają nazwy – na parę godzin pokoju, powtórzyła to raz jeszcze.

Miał już za sobą walkę z narastającym po każdym widzeniu jej sprzeciwem i niechęcią, którą nazwał tchórzostwem dlatego tylko, aby stworzyć w sobie więcej pewności siebie. To, co powiedział o godzinach nadliczbowych żonie, było śmiesznie naiwne, ale trzymało wszystko w równowadze. Najbardziej bał się oczu Barbary i jej milczenia. Chwilami nienawidził jej za to, że zna go tak dobrze. Nie miał zresztą pewności, że mu nie wierzy. Upłynęło już wystarczająco wiele dni, aby wyważył wszystko sam w sobie.

Wstyd, jaki pokonać musiał zwracając się do najbliższego wprawdzie, lecz jakże w owej chwili obcego znajomego, równy był chyba chęci zmiążdżenia pięścią jego rozciągniętej w domyślnym uśmiechu twarzy. „Jest pewny, że mnie przejrzał na wskroś. Teraz

dorozumiewać się będzie we mnie zupełnie tego samego, co u innych. Wrzuci mnie do jakiejś wspólnej szufladki i »odfajkuje« w myślach uznając w najlepszym razie za »kota chodzącego własnymi ścieżkami«. Ocena kolegi była mu w gruncie rzeczy obojętna. Gorzej, że własna nie odbiegła od niej zbyt daleko.

Nie miał niczego na swoją obronę. Zaplanowany występ, brutalny w swej przejrzystości i pośpiechu, podkreślała jeszcze obca przypadkowość miejsca, w którym oboje się znaleźli. „Mogło to równie dobrze stać się tutaj, jak i w każdym innym pokoju tego miasta” – myślał czekając na jej nadejście.

Kiedy przysła, obszerny pokój na najwyższym piętrze stał się nagle zbyt ciasny. Nie dopuszczał jeszcze do głosu pragnienia, lecz chyba i ona, świadoma jego istnienia, mówiła początkowo ze sztucznym ożywieniem o widoku z okna, by zaraz przeskoczyć na bezładną krytykę obrazu wiszącego nad tapczanem.

„Zdradzam Barbarę chyba dlatego, aby uwierzyć, że jeszcze reprezentuję »obiegową wartość« jako mężczyzna” – przeszło mu przez głowę, gdy nalewał pierwszy kieliszek.

Po drugim włączył adapter i pomyślał o swych wątpliwościach z lekkim zdumieniem. Po trzecim uznał, że w tej sytuacji jego gość zachowuje się z pewnością o wiele naturalniej niż on sam. Ciekawość i pragnienie rosły w nim równomiernie, lekką mgiełką otulając myśli. „Ina piękna jest dziewczyna” – przyleciał skądś głupi, pijacki rym. Opędził się od niego jak od natrętnej muchy, ale bez skutku. „Ina piękna jest dziewczyna” wróciło. Stało się naraz najmądrzejszym, najbardziej potrzebnym stwierdzeniem na ziemi. „Jakież ona ma piękne kolana” – stwierdził zrzucając marynarkę. Był już cudownie wyzwolony, spokojny o nią, o siebie i chyba nawet o przyszłość świata.

– Zgaś słońce – powiedziała, mrużąc oczy, kiedy się stało. Potem siedziała nago na skraju tapczana, a on gapił się na nią. Mówiła. Opowiadała o jakimś Bolku z Jeleniej Góry, który był jej pierwszym i jedynym, o własnej matce, o szkole i nie zdanej maturze.

Kłamała niepotrzebnie i śmiesznie. Słuchał, bo płaciła mu widokiem własnego ciała.

– Życie nie ma sensu – mówiła naciągając oporne, czarne majteczki na biały pas nie opalonych bioder. Była naprawdę smutna. – Czasem to się zastanawiam, po co ja właściwie żyję. Człowiek budzi się rano, je, spotyka takich samych jak on. Mówi im różne głupstwa albo słucha, jak oni mówią. Potem znów się kładzie i tak w kółko. Kiedy moi rodzice się rozwiedli – mówiłam panu – tobie – poprawiła się – to myślałam, że przynajmniej ojciec z nas trojga będzie szczęśliwy. Z tą inną oczywiście, bo matka była dla niego nieznośna. Ech, wcale nie słuchasz – wykrzywiła się z niezadowoleniem. Była już ubrana.



– O czym ty właściwie myślisz?

– O tym, gdzie nauczyłaś się tak ładnie poruszać, o obrazie, jaki tworzysz, o słońcu, o sobie.

Wszystko jest w nas i my jesteśmy we wszystkim. „Teraz powiem – pomyślał. – Boże, żebym nie wiedział, że te właśnie rzeczy mówią mężczyźni zdradzający żony, zacząłbym się skarżyć i zwierzać. Ale ona nie zrozumie. Ona przecież nie potrafi pojąć, że to, co się stało, obudziło we mnie obok zachwyty dla jej umiejętności coś jakby tęsknotę do Barbary. Pierwszą tęsknotę od tak dawna”.

– Dziwny jesteś jakiś – rzekła, obserwując go badawczo. – Zastanawiam się, dlaczego właściwie tego chciałeś – wskazała tapczan swobodnym ruchem ręki.

Zapalił papierosa, a przypomniawszy sobie po chwili, że paliła i ona, wyciągnął pudełko w jej kierunku przepaszającym gestem. Wzięła. Była zbyt młoda, aby nie czuć się choć lekko dotknięta jego roztrzepaniem.

– Ja też ciekaw jestem, dlaczego się zgodziłaś.

Wstała i podeszła do okna. Słoneczne promienie natychmiast prześwieciły jej suknię, ujęły włosy w złocistą aureolę.

– Byłeś sympatyczny – rzekła wolno z nieważnym namysłem.

– Myślałam, że będziesz trudniejszy. Robiłeś takie wrażenie. Zresztą nie wiem. Wydałeś mi się jakiś bardzo podobny do mnie samej. Domyślałam się chyba czegoś...

– Jesteś bardzo miła, że odpowiadasz na moje głupie pytanie – przerwał jej nagle. – Chcesz wiedzieć prawdę?

– Oczywiście.

Niespodziewanie wydała mu się tak urocza, że z trudem opanował chęć wzięcia jej znów w ramiona.

– Ale będziemy musieli stąd wyjść.

– Wyjść? Po co?

– Zobaczysz. Nie maluj się, bardzo proszę – dostrzegł, że sięga po szminkę. – Pójdziemy na plażę koło mostu. To niedaleko.

– Na plażę? – spoglądała zdumiona. – Co będziemy tam robili?

– Usiądziemy tylko na chwilkę i wtedy ci powiem.

– O mnie? O nas? – poprawiła się do razu.

– Tak.

– Ale wszystko, takie absolutne wszystko.

– Sama jesteś „absolutne wszystko” – roześmiał się w chwili pocałunku.

Opodal miejsca, gdzie zobaczył ją rok temu, siedział młody człowiek o nic nie mówiącej, jakby drewnianej twarzy. Jego szczęki poruszały się powoli. Uznając ich niewątpliwie za intruzów, podniósł się, by odejść nieco dalej. Został po nim zatłuszczony kawałek papieru.

Most odnawiano. Pólnadzy, pokrzykujący robotnicy pokrywali metalową konstrukcję farbą o kolorze cegły. Tylko ich krzątania mówiła tutaj o upływie czasu. Piasek był tak samo brudny, woda tak samo niebieska jak wtedy.

Zapragnął uprzytomnić sobie, że fakt, iż ona była tu wraz z nim, zmienił coś w sposób zasadniczy. „Powiem jej za chwilę, że tu zobaczyłem ją pierwszy raz. Mam to, co chciałem. Dzisiaj triumfuję” – myślał obserwując z jaką swobodą podciąga suknię, aby odsłonić nogi. Słońce prażyło mocno. Rozejrzył się nieznacznie, aby sprawdzić, czyjej gest został zauważony przez leżących najbliżej. Dostrzegli. Mógł być spokojny. Mężczyzna w białej koszuli, zajęty dotąd czytaniem gazety, udawał naiwnie, że zainteresowało go nagle coś na powierzchni wody. Dwaj wylegający się robotnicy o brązowych torsach wymieniali uwagi, chudy studenciak zdecydował się nawet na przeniesienie ręcznika, na którym siedział do tej pory, nieco bliżej, a na wprost jej rozchylonych nóg. „Każdy z nich jest mną z tamtego dnia – pomyślał – ale kim w takim razie jestem dzisiaj ja sam? Przecież żadnym z trzech towarzyszących jej wówczas chłopaków. Muszę zabawnie tu z nią wyglądać”. Rozejrzył się niepewnie. Ale nie, na niczyjej twarzy nie dostrzegał ironicznego uśmiešku. Traktowano go diabło poważnie.

– Szkoda, że nie wzięłaś kostiumu – powiedział obserwując jej palce przesypujące piasek.

– Też coś – wzruszyła ramionami, rozglądając się dookoła lekceważąco. – Za żadne skarby nie rozebrałabym się w takim miejscu. Przecież to w ogóle nie jest plaża, tylko nie wiadomo co. Zupełnie nie rozumiem, po cośmy tu się przywlekli.

– Nie przychodziłaś tu nigdy?

– Nigdy – spoglądała w ten sposób, że przysięgłby, iż mówi prawdę. – Czy nie myślisz, że istnieją inne, ciekawsze miejsca? Ostatecznie, jeśli mam ochotę na plażowanie, to mogłabym zawsze poprosić któregoś ze znajomych, aby podrzucił mnie samochodem do Konstancina. Tam są przynajmniej jacyś ludzie. Przyjeżdżają dyplomaci, coś się dzieje, nie uważasz?

Uzmysłowił sobie w tej właśnie chwili, że jej zwracanie się do niego per „ty” nie sprawia mu przyjemności.

– Uważam – rzekł, kładąc się na plecach. Promienie słońca były tak silne, że musiał zamknąć oczy. „Kłamie i pozuje. Jest głupia i zepsuta, a może nieszczęśliwa. W sumie wszystko lekko deklasujące” – pomyślał jakoś rozpaczliwie zaciskając powieki.

– ... Sądzisz, że mnie to cieszy? Nic mnie nie cieszy.

Nie słyszał jej nowego wyводу i teraz zmusił się do uwagi.

– Kiedy myślę sobie, że jutro będzie takie samo jak dziś, że po tym jutrze przyjdzie jeszcze jedno, zupełnie do niego podobne... A potem znowu i znowu. Że czas będzie mijał w ten sam głupi sposób, to mam dość wszystkiego, rozumiesz? – mówiła to, był pewien, zupełnie szczerze. Jej poprzednie kłamstwa zmalowały.

Zapragnął pocieszyć ją, wtrącić jakiś optymistyczny banał, jaki zwykli wypowiadać ludzie w tego rodzaju okolicznościach. Zacerpnął tchu. Most zadudnił nagle z ogromną mocą. Nie wyrzekł ani słowa. Coś nieopisanie ciężkiego jechało nad ich głowami. Nie wiedział, dlaczego nie otwiera oczu. Świat stał się naraz jedynie hukiem i różowym blaskiem, jaki miał zamknięty pod powiekami.

Tak, to było potrzebne. Na moment znalazł się znowu uwieszony na rękach za oknem grzmiącego na szynach, pędzącego w ponurej czerni pociągu. Tę czerń miały za chwilę rozjaśnić strzały. Raz jeszcze przeżył lęk i samotność, jaka owładnęła nim przed oderwaniem się od ramy klozetowego okna – zdającej się mu w tamtej chwili przed wyskoczeniem z pędzącego pociągu jedyną stałą rzeczą na ziemi.

Potem bili – drżący, oślepiający błysk i huk wpłynął mu pod czerep otworami uszu.

*Mach, dass du weg kommst! Du Dreck! Eintreten!*

Radio grało:

*Jeder tanzt, so gut er kann.*

*Alle Damen, alle Herren machen mit...*

Łysy gestapowiec Horn był „dobry”. Kopał tylko w pośladki. Weissner ze swoim psem i oczyma szaleńca, ten sam, który zastrzelił w ostatnim dniu wojny uśmiechniętego wiecznie Kurta Meltera, austriackiego zegarmistrza, był „niedobry”. Kopał w podbrzusze. Czemu ten Melter się uśmiechał? Dywanowe bombardowanie Hamburga. Ludzkie pochodnie tonące w płynnym asfalcie, mały, miotany podmuchami wybuchów barak, łóżko, w którego sienniku ukryty był skarb: kostki cukru. Czemu ten Melter się uśmiechał? Na Boga, czemu uśmiechał się Melter?

Mydło RIF, z nazwy którego żartowali Niemcy, twierdząc, że oznacza *rein judisches Fett*.

Melter musiał zjeść kostkę takiego mydła przed śmiercią. Pieniło się w jego ustach. Wyglądało to, jakby się golił. Gryzł gorliwie. Liczył może do ostatka na poczucie humoru swego kata. Zwierzęta jednak śmieją się, gdy są syte. Potem piana zrobiła się różowa.

„Istnienie i tylko istnienie jest czymś jedynym, co nie powtórzy się już nigdy, jesteś potrzebny światu. Najlepszy dowód, żeś się urodził” – mówił instynkt. – Wszystkim na ziemi bądź obojętny, lecz siebie samego, własnego ciała nie lekceważ. Ono powstało, a więc choćby

tylko dlatego dbaj o nie”. Czas był wtedy droższy, ostre i jasne myślenie – niemal świętością, rozmowa z człowiekiem – uściskiem dłoni. Promienie, kradzione promienie słońca zawierały smak. Były jak pokarm matki.

Pojął nagle, zdumiał się własnym, przypomnianym odczuciem. I naraz, najzupełniej niespodziewanie ucieszył się, że żyje. Ogarnął myślami wszystko, co posiadał – żonę, dzieci, ciasne mieszkanie. Kochał teraz to wszystko ogromną jakąś, rwącą miłością.

Jazgot przejeżdżającego nad nimi drogowego walca przycichał. Dotarł doń głos jego towarzyski. Nie miała pojęcia, z jak daleka powracał. Była po prostu zniecierpliwiona i nic więcej. „Ma mnie dosyć i jeszcze nie wie, jak skończyć. Biedna mała”. Zamknął oczy. Nie potrafił nazwać zrozumienia, jakie go wypełniało. Było to niemal jak przeniknięcie problemów całego świata. „Ona nie potrafi cieszyć się smakiem słońca, bo nie wie, co to śmierć” – pomyślał z leniwą rezygnacją.

Teraz już nagły, pulsujący ból ramienia był jak dotyk przyjaciela. Zawstydzila go w jakiś osobliwy sposób własna, niespodziewanie uzmysłowiona czy odkryta, zwierzęca radość istnienia. Wstał niezgrabnie.

– Ina, chodźmy do miasta. Chcę ci kupić coś bardzo dziwnego.

– Co? – miała oczy rozjaśnione słońcem. – Coś do jedzenia?

– Nie. Nie do jedzenia – odparł tak twardo, że zdumiało go brzmienie własnego głosu. – Kupię ci po prostu mydło: ogromne, kolorowe i pachnące.

## Tazza d'oro

Po mniej więcej trzech tygodniach nieufność zniknęła i doszedł do wniosku, że kompleks niższości, jaki czuł w stosunku do włoskich inżynierów, był nieuzasadniony. Przecież to jego projekt hali fabrycznej w Piazzo uznano za oryginalny, a plan pawilonu wystawowego zainteresował samego naczelnego inżyniera „Uffizio del Architectura” w stolicy. To już było coś.

Jeśli chodzi o halę fabryczną, to wiedział, że istniały jeszcze jakieś wady w rozmieszczeniu wywietrzników, ale ostatecznie przedstawił im jedynie szkic, a nie plan ostateczny. Dobrze jednak, że zdobył się na szczerłość i przyznał od razu, że nie jest ze swej pracy zadowolony. Niedociągnięcia w zaplanowaniu wywietrzników odkryliby niewątpliwie sami. Gdyby zaś nie powiedział otwarcie o ich istnieniu, mogliby go uznać za partacza.

Pawilon wypadł jednak zdecydowanie dobrze. Silna łukowa konstrukcja stalowych superterów była najłżejsza i niewidoczna niemal od strony secesyjnej w stylu dzielnicy miasta. To musiało na Włochach zrobić wrażenie. Chcieli przecież, aby pawilon „wtopił” się w ogólny styl i nie stanowił zbyt wielkiego kontrastu. Od wczoraj siwy „portiere” przed bramą biura przy via Lampezza zaczął mu się kłaniać zupełnie inaczej. Widocznie barometr szedł w górę, a „inginiere polacco” został zauważony.

Przeciągnął się. Pościel pachniała czymś nieuchwytnym i świeżym. Przez chwilę skłonny był uznać, że wszystko w tym mieście miało miły zapach. Ale nie – przypomniał mu się Tybr i tanie jadłodajnie w Trastevere. W chwilę potem wróciło wspomnienie Watykanu. Nigdy by nie przypuszczał, że księża ubierają się tak kolorowo. A znowu ten cicerone... Stary człowiek w czarnym ubraniu przypominał dymisjonowanego ministra, a opowiadał nieustannie o Borgiach, żując bez przerwy amerykańską gumę. Zabawne.

Myślał wtedy, że pewni ludzie w tym mieście zupełnie jakby stanęli w miejscu, a starzały się jedynie kamienie. Dotykał je dłońmi. Były porowate o spieczonych słońcem, zjadanych deszczem poprzez wieki powierzchniach. Niektóre przypominały pomniki pomników. Inne cofały się do swych pierwotnych, obłych kształtów nadanych im niegdyś przez naturę, pękając lub odpryskując w różnych miejscach. Był onieśmielony czując pod palcami

zmarszczki czasu podawane mu z taką prostotą i otwartością. Bał się jakoś zrozumiałej myśli, że czekały właśnie na niego.

Nie spał od godziny. Każda z nocy spędzonych w hotelu „Santos” była jak dotąd zbyt silnym odbiciem dnia. Tym razem obudził go reklamowy neon na dachu sąsiedniego domu. Różowy blask tłumiony nieco zasuniętą storą wydobywał z ciemności wciąż ten sam fragment jego hotelowego pokoju: złożony, pretensjonalny kinkiet na ścianie, fotel z częściami garderoby, jakie rzucił nań ubiegłego wieczora po powrocie z wycieczki do Palazzo di Nervi, i radio z oświetlonym od wewnątrz czworobokiem skali. Przypomniał sobie, że przed zaśnięciem słuchał jakiejś muzyki. Pokręcił gałką. Warszawa była albo zbyt odległa, albo wszyscy w niej już spali. Sięgnął po zegarek. Tak, jeśli w Rzymie było wpół do dwunastej w nocy, to tam nad Wisłą... Znienacka zachrypiał Armstrong tak głośno, jakby Monte Carlo było tuż za ścianą. Wyłączył radio i przez chwilę leżał spoglądając na lampę ponad stołem, oblewaną co pewien czas mlecznoróżową poświatą.

– Hanka – powiedział niespodziewanie w ciemność. Odczekał i powtórzył wyraźnie raz jeszcze: – Hanka.

Słowa zabrzmiały martwo, lecz pojął, że chyba podświadomie pragnął obudzić nimi w sobie samym uczucie samotności. Udało się. Przez chwilę – zwalczając pracowicie najświeższe, już rzymskie refleksje – myślał o żonie, osadzając jej obraz w zwykłej, szarej codzienności.

A więc: Hanka gotuje „niedzielny” obiad, Hanka wraca z zakupów, prasuje jego koszule na stole w kuchni, z której widać górne piętra nowego domu naprzeciwko (niepotrzebnie go zbudowali, bo zabrał im całe słońce), Hanka zaśmiewa się w wannie, podczas gdy on udaje, że szoruje jej plecy ryżową szczotką...

Postanowił, że już jutro napisze jeszcze jeden list, lecz po namyśle zmienił zamiar. Najlepiej wyśle jej coś ładnego, jakiś prezent.

Ta suknia kupiona przed wyjazdem z Warszawy... Początkowo miała stanowić coś w rodzaju przeprosin za to, że jedzie sam. Stała się czymś więcej. Pożegnalna kolacja w restauracji hotelu „Europejskiego” przeszła pod jej znakiem. Hanka już do hallu wchodziła krokiem nie znanej mu osoby, a oczy jej błyszczały. Aż zdziwił się, że tani materiałik może tyle zmienić. W czasie jedzenia powiedziała mu, że kwiaty na tym płócienu były „butelkowozielone”, a lodygi... (nie widział zupełnie lodyg i powiedział jej o tym).

– Jak to, „nie widzisz”? – była niemal wstrząśnięta.

– No, bo naprawdę nic tutaj takiego nie ma. Jakieś esy-floresy, linie czy coś w tym rodzaju.

– To są właśnie łodygi. Zrobili je w kolorze lilaróż dla kontrastu. Widzisz już teraz?

– Widzę – czuł narastające oszołomienie. Mówiła coś jeszcze o „krótkiej serii” i o tym, że sukienkę będzie mogła nosić do różnych butów. Obserwował ją, starając się jak najdalej trzymać palonego papierosa, gdyż zwróciła mu uwagę, że mógłby nim wypalić dziurę w materiale. Ubyło jej lat. Wyglądała jak dziewczyna uradowana gwiazdkowym prezentem. Dostrzegał, że zwracali na nią uwagę mężczyźni siedzący przy sąsiednich stolikach, i nie dziwił się im. Na tej sali to jakieś wewnętrzne, radosne jej promieniowanie biło w oczy.

Pożegnalna rozmowa była chyba dość bezładna. Wyjeżdżał tak daleko po raz pierwszy. Na pewno brakowało im rutyny par przywykłych do tego rodzaju rozstań. Samolot odlatywał już rano. Absolutna nieodwołalność rozłąki była w ich wspólnej historii czymś niezwykłym. Cieszył się, że Hanka co pewien czas wracała do sprawy sukni. „Mam uroczą żonę” – myślał obserwując twarz kelnera. Pamiętał, że chudy, poprawny mężczyzna w białej marynarce odpowiadał z jakimś niespodziewanie szczerym uśmiechem na jej żartobliwą uwagę. Kelnerzy mają zawsze bezbłędne wyczucie czyjejś naturalności.

– Mam uroczą żonę – powiedział jeszcze raz głośno już tu, w Rzymie. Wstał. Dywan sięgał aż do drzwi balkonu. Otworzył je. Padał deszcz. Wilgotny asfalt jezdni daleko w dole rozbłyskał co chwila tym samym różowym światłem, jakie miał u siebie w pokoju. Na ogromnej butelce zwróconej szyjką ku krawędzi dachu naprzeciwko najpierw zapalał się napis STOCK, a potem błyskały u góry rozstrzelone figlarnie i pogodnie a oślepiająco różowe litery CIN, CIN!

Powiedziała te dwa słowa, podchodząc do niego z kieliszkiem, a on zupełnie nie wiedział, co to znaczy. Oficjalne, późne śniadanie w mieszkaniu dyrektora Bettiego obfitowało w dobre trunki i obowiązkowe toasty. Był już chyba na lekkim rauszu. Zabrzmiało to jakoś po chińsku. Musiał zrobić głupią minę, bo się roześmiała. Te jej zęby. Chyba nikt nie ma takich zębów jak Włoszki. Kto ich ze sobą poznał? Zdaje się, że gruby inżynier Gellotti. Powiedział coś do niej po włosku, a ona spoważniała. – Carla – rzekła po prostu, podając mu rękę. – Werner – niepotrzebnie popisał się swym nazwiskiem. – *Are you German?* – spytała, przechodząc na angielski. Zaprzeczył. Potem rozmawiali o Warszawie. Pytała o zniszczenia i budowane dzielnice mieszkaniowe, a on dziwił się, że aż tak bardzo ją to interesuje. Piła sporo i podziwiał później, jak pewnie mimo to prowadziła swój biały wóz marki Alfa-Romeo.

Jechali we trójkę. On, Carla i Gellotti, który pojawił się w ostatniej chwili. Okazało się, że zupełnie zapomniał, że ich sobie wzajem przedstawił. Zrobił komiczną minę. – Nie szkodzi. Wydaje mi się, jakbym znała już tego pana bardzo dawno – rzekła wtedy Carla otwarcie, ale

bez uśmiechu.

Pojechali do Fregene poprzez Macarese. Czuł, że kręci mu się w głowie. Po rudawym, jakby lekko brązowym Rzymie kontrasty białych skał, niebieskiej, szmaragdowej wody były jakieś nieopisane.

W kawiarni na Piagga del Mondo pili tylko capuccino. Dopiero potem, kiedy Carla odeszła, żeby się przebrać, Gellotti zamówił coś więcej. – *Bella! Bellissima!* – wykrzyknął dostrzegając ją w kostiumie. Zbliżyła się od strony kabin i uśmiechem odpowiedziała na jego emfaticzny okrzyk. „To najładniejsza kobieta, jaką widziałem kiedykolwiek w życiu” – pomyślał Werner chłodno.

Potem pojawiła się na stole butelka maraschino i nie przyznał się im, że nie kosztował tego likieru nigdy. Rozmawiali. Dowiedział się, że Carla jest jednym z najbardziej wziętych architektów w Rzymie. Nie krył zdziwienia, gdyż nie mógł jej sobie jakoś wyobrazić pochylonej nad rajzbretem.

– Ma w każdym razie najładniej urządzone mieszkanie, jakie widziałem – ciągnął Gellotti wywracając oczyma po swojemu. – A jeśli stać ją na takie mieszkanie, to domki jej projektów muszą mieć powodzenie. Ludzie teraz niechętnie płacą za coś, co nie jest warte pieniędzy. Zauważył pan?

Śmiała się przerywając mu swoim, wypowiedanym gardłowo *It isn't true* kilka razy, lecz widział, że paplanina grubasa sprawiała jej przyjemność. Teraz dopiero zaczął przyglądać się jej twarzy.

Spotkali się niespodziewanie na wzgórzu Gianiculum dwa dni później i właściwie od tego wieczora przestał oddzielać swój czas w tym mieście. Pamiętał, że było już na tyle ciemno, iż jasno iluminowane, złote posągi konnych jeźdźców na szczycie mauzoleum króla Emanuela Drugiego były wyraźnie widoczne. Przyglądał się chwilę Kapitolowi, gdy wtem zwrócił uwagę na jasny, wydłużony kształt samochodu, który stał opodal w cieniu gęstego platana. Nie zauważył go dotąd, toteż uczuł się naraz jakby okradziony z tej chwilki intymności, o jaką w Rzymie było trudno. Zawracając w stronę chodnika musiał minąć intruza. Samochód był pusty. Podeszedł być może nieco bliżej, niż to wynikało z istotnej potrzeby.

– *Che cosa, signore?* – rzucił nagle kobiecy głos od strony drzewa. A więc tam krył się kierowca.

– *Niente* – odparł speszony nie poznając jej jeszcze. Roześmiała się. – *So you do speak italian after all* – rzekła podchodząc bliżej. Pocałował jej rękę na powitanie i pojął, że chyba ją to zdziwiło. Nie był w stanie powiedzieć, czy ucieszył się ze spotkania. Onieśmiała go jej wieczorowa toaleta. Zresztą nie bardzo wiedział, o czym mówić z taką jak ona. Powiedziała,



że uciekła z jakiegoś nudnego przyjęcia. Zawrócili oboje trochę bezradnie w to miejsce, gdzie stał sam przed chwilą.

– Okropne to jest. Jak mogli zbudować takie szkaradzieństwo? – spoglądała w stronę Kapitolu.

– Co?

– To mauzoleum Emanuela Drugiego.

– Och, i my mamy coś takiego w Warszawie – rzekł jakby w formie pocieszenia. Wyczuwał, że i ona była skrępowana. Naturalność, z jaką odpowiadała na żartobliwe zaczepki Gellottiego dwa dni temu na plaży, zniknęła. Zaproponowała, że odwiezie go do hotelu, a on przystał na to z rezygnacją. Nie przepadał za towarzystwem zbyt ładnych kobiet, gdyż – szczerze mówiąc – nie uważał siebie za atrakcyjnego partnera. Tego wieczora miał zresztą w planie samotny spacer od Piazza Colonna poprzez via del Corso i gdyby jeszcze nie był zmęczony, to dalej aż do Piazza Venezia.

Nie pamiętał już, o czym zaczęli rozmawiać w samochodzie, lecz nagle zrobiło się przyjemnie. Uzależnienie pasażera auta od kierowcy najsilniej wyczuwalne jest w ciemnościach. To widocznie było mu potrzebne. Zbyt mało było w tym mieście miejsc bez znaczenia. Już wkrótce przestał wiedzieć, gdzie się znajdują. Odpoczywał. Smugi świateł innych samochodów przekreślały ulice, wydobywały z ciemności jakieś domy, ruiny podobne do skał i place. Nie pytał. Jej ręce leżące na kierownicy poruszały się łagodnie. Nagle zaczął zbyt intensywnie myśleć po polsku, aby silić się na przełożenie tego wszystkiego na angielski. Był jej wdzięczny, że milczy także. Zatrzymali się. Zobaczył oświetlone wejście.

– Co to jest?

– Cafe „Tazza d'oro”. Był pan tu?

– Nie.

– Dobrze. Na to liczyłam. Bardzo trudno jest znaleźć u dojrzałego mężczyzny chwilę, kiedy robi coś po raz pierwszy. Nie sądzi pan?

Pierwsze miejsce, jakie zwiedzili razem. Zapamiętał spiętrzone worki po obu stronach wejścia do niedużej salki, mocną kawę i jej oczy. W ciągu następnych dni było tych miejsc coraz więcej: ruiny i nowe osiedla, pałace i kościoły. Tylko oczy pozostawały te same – wilgotne, lśniące.

– Masz za duże oczy – powiedział jej, gdy po zwiedzeniu szklanego Palazzo di Nervi siedzieli naprzeciw siebie w „Ristorante” Crossettiego na Zatybrzu. Próbował po raz pierwszy w życiu *frutti di mare* popijając je tanim winem godnym kieszeni stypendysty, a o nazwie brzmiącej jak tytuł piosenki.

– Ktoś powiedział kiedyś, że moje oczy to oczy dla dwojga – uśmiechając się dotknęła jego zegarka.

– Kto to był?

– Nieważne. Był – zrobiła dłonią ów okrągły gest, który – wiedział już o tym – u jej rodaczek wyrażał wszystko. – To polski zegarek?

– Nie, rosyjski – znowu jedno z tych pytań, jakie zadawała na przeróżne tematy z najprawdziwszym zaciekawieniem.

– Naprawdę? To oni też robią zegarki?

– Jak to „też”?

– Nie tylko sputniki?

– Nie tylko – pozwolił na oględziny obserwując jej palce. Były długie. Zapytał, czy gra na fortepianie. Wtedy właśnie powiedziała, że właściwie (użyła angielskiego *actually*) mógłby ją odwiedzić.

– Zagram ci coś Chopina albo Czajkowskiego. Niedawno kupiłam nowego Steinwaya. Sprawdź, czy coś wart.

Nie patrzyła mu w oczy. Milczał chyba przez ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, aby jej palce uciekły. Zrobiło mu się głupio. Zapytał, kiedy mógłby przyjść.

– *Domani. Senta!* – zwróciła się zaraz do kelnera zamawiając jakąś nową potrawę, której potem nawet nie tknęła.

To było – wrócił do pokoju i spojrzał na zegarek – wczoraj. Do końca „dzisiaj” i tego jej obiecanego „domani” brakowało tylko piętnastu minut. Wiedział, że jego sekundowe wahanie u Crossettiego było dla niej nie do zniesienia. Nie namyśla się słysząc zaproszenie takiej kobiety. Minął pierwszy dzień, w którym się nie widzieli.

Zapalił światło i usiadł w piżamie przy stole. Papier listowy był pod ręką. Nie myślał. Pierwsze dwa słowa napisał odruchowo. „Hanulitku Kochany”. To było najłatwiejsze. Zwykle, zdrobniałe imię żony wyglądało jednak, jakby napisał je w obcym języku. Uczuł lęk, bo pojął, że nic więcej nie napisze. Sięgnął po papierosa. „Ta Carla to zwykła zarozumiała dziwka. Zwykła dziwka” – pomyślał szukając zapalek. Znalazł paczkę w spodniach ubrania wiszącego w szafie, gdy zadzwonił telefon. Zdobył się jeszcze na zwolnione nonszalancko zapalenie papierosa, ale drżały mu palce.

– To ja – usłyszał w słuchawce. – Czekam na ciebie w samochodzie na dole. Czy masz trochę czasu?

Pizza stojąca pomiędzy nimi na stole przypominała swym kształtem ogromny

pomidorowożółty tort, lecz smak miała ostry, pikantny. Po którymś kieliszku polskiej wódki, którą Carla kupiła niewątpliwie specjalnie dla niego (początkowo go to rozśmieszyło, później uczuł coś w rodzaju rozczulenia), ascetyczna twarz siwego pana spoglądającego na nich z portretu w złożonych ramach nad kominkiem, rozpogodziła się wyraźnie.

– *Mio padre, avvocato di Genua* – powiedziała o nim, kiedy przeszli do tego pokoju z salonu. Głos miała wtedy poważny i godny. Dźwięczały mu jeszcze w uszach chopinowskie preludia zakończone odegranym fortissimo polonezem As-dur. Dostroił się do jej tonu dość łatwo i początkowo rozmawiali na tematy niezwykle doniosłe. Zdaje się, że próbował jej udowodnić, iż Polska należy do najlepiej informowanych krajów świata. Ona zaś mówiła z ogromną powagą, że jej zdaniem z kapitalizmu i komunizmu połączonych razem powstanie kiedyś niewątpliwie jakiś najbardziej dogodny ustrój społeczny dla całej ludzkości.

Salon, w którym grała, utrzymany był w stylu Ludwika XV. Złożone, ozdobnie rzeźbione foteliki i krzesła rozrzucone były ze staranną niedbałością w jego rogach. To nie była jej wina, że kiedy poprosiła go, aby zgasił górne światło, a zapalił tylko kinkiety na ścianach, przypomniało mu się jego hotelowe wnętrze.

W „kominkowym” pokoju, będącym czymś pośrednim pomiędzy gabinetem a pracownią, było zdecydowanie przyjemniej, a ciemne, weneckie umeblowanie harmonizowało z jej urodą.

– Jesteś piękna – powiedział, kiedy pochylona nad stołem próbowała odkrajać dla niego nowy kawałek włoskiego przysmaku. Uśmiechnęła się.

– Jestem szczęśliwa – odparła z prostotą kierując na niego spojrzenie. Podniósł się stojąc tuż za nią. Widział teraz, zarys jej szyi i śmieszne, prawie dziecinne loczki za uszami.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem – odwróciła się nagle, tak że stali teraz bardzo blisko zwróceniem twarzami do siebie. Zbliżył wargi do jej ust, lecz jej nie pocałował. Gdzieś, w drugim pokoju zadźwięczał naraz dzwonek telefonu. Nie drgnęła. Trwali tak chwilę czując własne oddechy. Dostrzegł kilka piegów wokół jej nosa. Nie wiedział dotąd o ich istnieniu. Była coraz bliższa. Uśmiechnął się wskazując trzymany przez nią wciąż jeszcze nóż. Musiała zrozumieć, że prosi ją, aby dalej przygotowywała jego porcję, bo odrzuciwszy nóż w sam środek stołu położyła nagle głowę na jego piersi. Czarne, niemal granatowe włosy miał teraz tuż pod brodą. Pachniały.

Później oboje świadomi już jakiegoś niewypowiedzianego przyzwolenia wrócili do rozmowy, ale tylko na krótko. Zaczęła opowiadać o szkole, której projekt robiła dla prowincjonalnego miasteczka. Podobno budynek miał stanąć na stromym stoku góry i to było

trudne. Potem on wspomniał o polskich problemach związanych z budową szkół „tysiąclecia”. Słuchała z zaciekawioną.

– Pokaż mi plany tej twojej szkoły – poprosił. – Nie, pokaż mi swoją pracownię.

– Więc co chcesz właściwie zobaczyć? – Zatoczyła się lekko wstając. Stanowczo polska wódka była dla niej zbyt mocna.

– Wszystko.

– Anna się zdziwi, że chodzimy po całym domu. Nie będzie jej się to podobało.

– Kto to jest Anna?

– Moja służąca. Jest starą i straszną dewotką.

– Rozumiem – usiadł znowu.

– Nic nie rozumiesz – roześmiała się głośno, „po włosku”. Wyobrażam sobie jej minę, jak ciebie zobaczy. Bardzo chcę, żeby ciebie zobaczyła. Zejdziemy specjalnie wewnętrznymi schodami. Tam jest jej pokój.

Pozwolił się prowadzić. Smukłe palce były niespokojne w jego dłoni.

– Tu będziemy spali – powiedziała po prostu uchylając lekko jedno z mijanych drzwi. Podobało mu się to. Chciał zajrzeć, lecz nie pozwoliła. Willa była większa, niż przypuszczał. Schody zdawały się nie mieć końca. Pomyślał jednak, że mogłyby być jeszcze dłuższe. Miała gorące usta.

– Mio tesoro – szeptała tuląc się do niego coraz mocniej.

– Czy tam mieszka ta twoja Anna? – szepnął wskazując brązowe drzwi na końcu korytarza.

– Nie. Tam są takie strasznie brzydkie, zagracone pokoje.

– Chcę je zobaczyć.

– Nie.

– Chcę zobaczyć także, jak wyglądają twoje brzydkie pokoje.

Ustała. Kiedy przekreśliła kontakt, dostrzegł, że stara się nadać swej twarzy sztucznie zagniewany wyraz. „Jest cudowna” – pomyślał nie rozglądając się prawie po mijanym wnętrzu, lecz patrząc na nią. Pokoje miały układ amfiladowy. W następnym, do którego weszli, stały przysadziste fotele przykryte białymi pokrowcami.

– Wszystko stąd trzeba będzie wyrzucić i zaprojektować coś nowego. Rozmawiałam już z tapicerem. Czy widziałeś wstrętniejsze story od tych? Zupełnie bez stylu. Po prostu ordynarne szmaty.

Spojrzał we wskazanym kierunku i nagle skoczył w stronę okna przewracając krzesło, które znalazło się na drodze. Nie mylił się, Wzór był ten sam: zielono-niebieskie kwiaty i

różowe, kręte linie przenikały się nawzajem we wszystkich kierunkach. „Suknia Hanki wisi u niej w oknie” – pomyślał z jakimś bezmiernym zdumieniem czując, że w tym momencie zawaliło się wszystko. „Jak Hanka nazywała te linie? Łodygi? Tak, łodygi. Mówiła, że są lilaróż”.

Usłyszał głos za plecami. Odwrócił się. Obca, piękna kobieta spoglądała na niego z zaciekawieniem. Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech, zdobywając się jednocześnie na jakąś uwagę mającą wytłumaczyć swoje dziwne zachowanie. Pytała go o zdanie, jak ma to wszystko urządzić w przyszłości. Cena oczywiście nie odgrywała żadnej roli.

Powiedział, że chyba jednak ze względu na układ i kształt okien, nowoczesne, proste umeblowanie byłoby najodpowiedniejsze, a nawet zdobył się na szersze, praktyczne uzasadnienie swej rady.

Wrócili do stołu opodal kominka, nie zauważeni przez służącą. Widocznie stara miała jednak silny sen. Carla była wyraźnie rozczarowana. Teraz on pił więcej, opowiadając jakieś brednie o polskiej kuchni. Marzył o samotności.

Była zbyt dobrej klasy, aby przejmować inicjatywę, czy nawet okazywać, że dziwi ją jego zachowanie. Ta noc niewątpliwie utwierdziła ją w przeświadczeniu, że Polacy to bardzo osobliwi i nieobliczalni ludzie.

Miał nigdy nie oglądać jej sypialni. Wyszedł przed świtem pomimo lejącego deszczu i nie pozwolił nawet odwieźć się samochodem. To był koniec.

Zadzwonił do niej z hotelu.

## Sława

Ten chłopak wszedł i przystanął tak jak inni w drzwiach pierwszej sali, szukając miejsca. Miał jajowatego kształtu głowę, a cienkość jego szyi podkreślała przedziwnie czarna koszula. Krawat palił się na niej jasną krechą w kolorze jajeczniczy. To zestawienie barw przypominało mi kogoś, kogo nie lubiłem w przeszłości. „Wyrósł pewno ostatnio i zeszcupłał. Mama mu mówi, aby się forsownie odżywał” – pomyślałem przelotnie o przybyszu, widząc przeguby jego rąk, wystające daleko z rękawów marynarki. Lubię młodych ludzi, których zarys brody i karku świadczy o nadchodzącej męskości. Właściciel żółtego krawata wydał mi się niemowlęco bezradny i niemal groteskowy. Nigdy nie widziałem go w naszym klubie. Zresztą, czy „naszym”? Ja także byłem w nim gościem. Zauważyłem, że oczy Teresy przesunęły się po stojącym w przejściu młodym człowieku obojętnie. Widać dostrzegła krawat, bo zerknęła na mnie z wyrazem łobuzerskiego porozumienia. Zaraz potem uśmiechnęła się i uczułem znów jej udo przy swoim. Wszystko było dobrze. Wciąż jeszcze nie byłem stary. Kochała mnie najładniejsza dziewczyna na tej sali. A jeżeli nie kochała, to była na tyle inteligentna, aby udawać to bezbłędnie. Sam nie wiedziałem, co bym zresztą wolał – przemyślane udawanie czy też diablo prymitywną autentyczność uczucia.

Młody człowiek w czarnej koszuli przedefilował jeszcze przed nami z wysuniętą szczęką. Po czym znalazł gdzieś widać miejsce, bo zniknął z pola widzenia. Jeden z młodzieńców przy moim stoliku mówił coś właśnie o Beckettcie. „Nie mówi, tylko zabiera głos – przeszło mi przez głowę. – Sam jestem temu winien”. Istniałem wśród tej grupy dorodnych, błyskotliwych, młodych ludzi jako „twórca”. Sam byłem autorem tego mitu. Dałem im do czytania jakieś opowiadanie. Zmogła ich chyba potęga drukowanego słowa. Umiałem już reżyserować te rzeczy. Teraz wypadało obnosić własną godność oraz zaszczytny tytuł wakacyjnego kochanka Teresy. Jej odwaga była większa. Mieszkała tu stale, a ja wyjechać jednak musiałem. Była chyba ze mnie zadowolona. Ja też – z niej. Lubię kobiety okazujące publicznie swą przynależność do mężczyzny. Ona to chyba wyczuła. Szczerze mówiąc, oszałamiała mnie wręcz niekiedy swoją znajomością rzeczy. Miała dwadzieścia lat.

Z Becketta „przeskoczyli” na narty. Mówił Adam. Śmiali się teraz donośnie, szczerze, całą

piersią. Teresa także. Zapytałem ją, czy jeździ na nartach. Spojrzała ze zdumieniem. – Oczywiście. Przecież brała udział w zawodach. Czy nie wiedziałem? – Wypadalo skłamać. Uprzytomniłem sobie, że wszyscy mówią z tęsknotą o śniegu. Wyglądało to tak, jakby wciąż na niego czekali, a lato było jedynie okresem przejściowym do czegoś nieopisanego, wspaniałego. Znow się śmiali z jakiegoś wspomnienia. Tak nie potrafią się śmiać mieszkańcy dolin. Ponownie stałem się człowiekiem z „innej przegrody”. Pianista zatrudniony etatowo w Klubie „Orbisu” na sezon letni zasiadł do swego warsztatu pracy. Grał bez wycucia, płasko jakoś i o wiele za głośno. Teraz pili kawę. Wszystko było tu oczywiste i wynikające z istniejących warunków i możliwości. Nie grał – mówili o francuskim teatrze. Gra – piją kawę. „Teraz nie czas na to” – szepnęła Teresa, kiedy pocałowałem ją po raz pierwszy. Byliśmy wtedy w górach na wycieczce. Sami. Tuż obok omszałe głązy pnące się w górę środkiem potoku. Sceneria bajkowa wręcz i cudownie przychylna. Nie. Ona myślała chyba wtedy o kilometrach czekającego nas marszu. Rozebrała się niespodziewanie w mojej hotelowej łazience i już tak weszła do pokoju. To było zbyt szybko. Za bardzo w „swoim czasie”.

Pianista uciał nagle i wstał. Zawsze kończył w ten zaskakujący sposób każdy ze swych mikrokoncertów. Wtedy podszedł do niego chłopak w czarnej koszuli i żółtym krawacie. Etatowy muzyk skinął głową i chudy chłopak zajął jego miejsce. Już na pierwszy dotyk klawiszy wszyscy spojrzeli w jego stronę. Wszedł od razu. Niespodziewanie znalazł się z tym swoim graniem w samym środku nastroju wszystkich znajdujących się na tej sali. Nie znam się na jazzie, lecz w tych przeskakujących, kakofonicznych akordach odmierzanych synkopą rytmu ukazał się on sam, jakiś ogromnie nagi i autentyczny. Wtedy zupełnie nie proszony i bez żadnej zapowiedzi zaczął śpiewać. Głos miał słaby, nieproporcjonalny do uderzeń palców. „Zdumieli się słuchacze” – pomyślałem o swych sąsiadach, widząc ich twarze. Ja sam zacząłem go rozgrzeszać z szalonego krawata, znajdować jakieś proporcje ekstrawagancji. Pianino otaczał już krąg drgających rytmicznie słuchaczy. Przeważały dziewczęta. „Ćmy” – pomyślałem z niespodziewaną złością. Zazdrościłem im wszystkim młodzieńczej naturalności, z jaką objawiały swój zachwyty. Grał coraz lepiej. Uprzytomniłem sobie, że nie był już ani trochę śmieszny. Doszedłem ponadto do wniosku, że trudno byłoby mi wyobrazić go sobie w innym zestawie kolorów. – Może się podobać – rzuciłem do Teresy. Nie odpowiedziała. Zdawać by się mogło, że nie ma jej przy naszym stoliku. Jedynie palce zagięte jakoś kurczowo, wybijały bezgłośnie rytm granej melodii.

– Ten krawat jest chyba jakiegoś klubu – powiedział jeden z moich towarzyszy. Więc już i dla nich stał się czymś oczywistym, jeśli nie koniecznym. Roześmiałem się. Wtedy Teresa wstała nagle i podeszła do pianina. Nie wróciła już. Wychodząc skinąłem jej głową, lecz nie

byłem pewien, czy to zauważyła.

Widziałem ich nazajutrz na ulicy. Szli objęci, jakby znali się od lat. On miał ten sam krawat i fioletową koszulę. Odprowadzały ich spojrzenia i szepty.

Doszedłem do wniosku, że nie było zestawu kolorów, który mógłby stać się dla niego nieodpowiednim. Taki jak on mógł sobie pozwolić na wszystko.



## Pod słońce

Maciejowi Słomczyńskiemu – Joe

Alexowi

Jego głowa miała kształt stożka, jak dach kryty słomą. Urok tkwił w brzydocie. Tego lata uzmysłowiłam sobie właśnie, że dość już miałam mężczyzn puszących się urodą manekinów przenoszonych z jednej wystawy na drugą.

Jego piegi były, jak nie odkryte gwiazdy. Powiedział, kiedy się skarżyłam: „sadze spadają z nieba dlatego, że słońce świeci dzisiaj zbyt mocno i spaliło jedną chmurkę”. Zapragnęłam liczyć konstelacje rozsiane na jego twarzy. Jeszcze tego samego dnia oddałam mu się i zapadłam znów w kolorowy zamęt tasowanych kart, jaki widzę zawsze, kiedy mam gorączkę lub kiedy dzieje się właśnie to. Działo się dobrze. Było występnie i gnuśnie. Sypiałam do dwunastej. W obecnym życiu nie ma miejsca dla odalisek, więc to był ten czas, który – wiedziałam – wspominać będę cały rok. Aż do następnych wakacji. Zawsze wstydzę się gospodyń. Za bardzo przypominają matkę. Ta traktowała mnie jak kogoś stojącego o wiele niżej od niej samej. Wszystko było jasne i nie wymagało tłumaczeń. W geście, jakim podawała mi co rano szklankę mleka, było morze pogardy. Wiedziałam jednak, że to zazdrość, i byłam szczęśliwa. Nie znoszę bab.

Słońce stawało się coraz mocniejsze i przenikało wszystko. Nigdy nie zdejmował koszuli. Stawałam się nieznośna. Wiedziałam, że ma wątle, piegowate plecy i barki. Nienawidziłam go za to, że się wstydzi. To wzmacniało jakoś mój świat, ten, który przy nim i dzięki niemu stawał mi się obcy. Jeden z plażowych drągali zaczął się do mnie zalecać. Trzasnęłam go w gębę za wszystkich, którym ulegałam do tej pory. Wtedy powiedział coś o indyku. Poczulałam narastający we mnie powiew głupoty. Stawałam się idiotką.

Świat cały winien poznać prawdę ciała mego kochanka. Zamarzyłam o wyzwaniu, o pokazaniu mu całej mojej pogardy.

Zaczęłam go dręczyć, naśmiewać się, to znów błagać jęklwym, denerwującym głosem. Opierał się długo i głupio.

Kiedy uległ wreszcie, dostrzegłam uśmiechy na otaczających nas twarzach. Czułam zadowolenie z własnej odrębności. Opalał się tego dnia długo, wystawiając ku słońcu zapadłą

klatkę piersiową. Był karykaturalnie brzydki i pociągający. Lubiłam jego słowa. Przestawał mi się podobać niezwykle powoli. Jednak nadszedł ten dzień, kiedy stał mi się obcy. Wyjechałam wkrótce potem.

Dopiero rok później dowiedziałam się, że umarł. Być może, wiele kobiet zmuszało go do tego samego. Ta choroba nie znosi słońca.

## Wielki występ

Szedłem jak zwykle tą stroną, gdzie są księgarnie. Przystawałem, choć zawsze lubię udawać pośpiech. Tego dnia było trudno. Chodniki powlekała warstwa topniejącego śniegu. Zresztą doszedłem do wniosku, że był w tych moich postojach pewien cel. Sylwetki zgrabnych, mijających mnie kobiet jakoś specjalnie pikantnie odbijały się w szybach antykwariatów. Tu tkwił cały, najpełniejszy smaczek. Niepokój i spokojna mądrość poźółkłych foliałów. Płochosc i powaga. Podglądałem. Niektóre mówiły, rzucały najzwyczajniejsze zdania. Staralem się dorozumiewać reszty. Napuszone tytuły ksiąg traciły wtedy sens. Wlokłem się w kierunku kościoła. Ewa powiedziała, że nie ma dzisiaj czasu. Wiedziałem, że to się kończy. Bałem się pustego mieszkania. Może stąd mój brak pośpiechu. Ta dziewczyna była dla mnie bocianim gniazdem służącym do wypatrywania nieznanych lądów. Gotowała też nie najgorzej.

Za rogiem uderzyłem w wiatr. Tutaj trzeba było uważać. Placyk miał kształt nieregularny i nigdy nie wiedziałem, czy przechodzę go prawidłowo. Samochody gnały jak szalone. Zobaczyłem Zaneckiego. Jechał swoim. Znowu cholernie bolesna świadomość własnej niezaradności. Tacy sami jak on wymijali mnie co chwila. Ewa marzyła o elektrycznej maszynie do szycia. Absurdalna myśl: „to dlatego, że nie miałem za co jej kupić”. Bzdura.

Człowiek krzyknął nagle. Było coraz ciemniej i widziałem wyraźnie jego sylwetkę na parapecie oświetlonego okna na trzecim piętrze szarej kamienicy. Tam były biura. Głos miał nieprzywykły do takiego forte. Powtórzył: – Ludzie, uciekajcie! Uwaga!

Musiał już mieć z sześćdziesiątkę. I ileś tam chmur papierosowego dymu przepuszczonych przez tchawicę.

Poszedłem za innymi, przelaząc niezdarnie przez zwały śniegu zgarnięte na kraj chodników. „Zwariował i skoczy” – pomyślałem z nadzieją. Dla innych też się coś działo. Może czekali na to samo. To miasto przeżyło powstanie. Zapotrzebowanie dramatów? Nie rozumiałem. Zwlekał. Grupa stojących pod jego domem rosła. Teraz kierował już swoje rozkazy bardziej osobowo: – Panienska z koszykiem! Niech panienska uważa! – Wychylił się. Miał coś w ręce. To była zwykła szczotka na długim kiju.

– Śnieg chce zrzucić – zwrócił się do mnie mój sąsiad. Ludzie byli sobie bliscy jak przy wypadku. Rozczarowałem się. Więc nie skoczy. Dostrzegłem biały nawis nad jego głową. Tłum był już tak duży, że samochody musiały się zatrzymać. Stały w długim sznurze. Uczulem zadowolenie, że okazały się naraz tak uległe.

Człowiek w oknie nie spieszył się. Pokrzykiwał teraz coraz rzadziej. Za to ruchy miał zwolnione, pełne namaszczenia. Pojąłem. To była jego ostatnia szansa. Przez moment widziałem starą, zmęczoną twarz. Już za rok nie potrafiłby „stworzyć tłumu sobą”. Teraz on był najważniejszy. Milicjant też patrzył.

– Jak to gruchnie! Jak Boga kocham! – mówił jakiś studenciak za moimi plecami. „Gruchnie” – pomyślałem z nadzieją. Czekaliśmy. Stary człowiek zerknął w dół. Tak aktorzy obserwują nieraz widownię w teatrze przez otwory w kurtynie. Przed przedstawieniem.

– Uwaga! – krzyknął jeszcze raz, a był to – sądzę – jego ostatni okrzyk na tej ziemi słyszany przez tłum. I chyba pierwszy. Sięgnął ręką. Śnieg obsypał się bezgłośnie białym pyłem.

Rozeszliśmy się w milczeniu. Człowiek na parapecie zamknął okno i zniknął na zawsze.

## Spacer

Owsiane płatki na mleku były wstrętne. Małgosia jadła, łykając pospiesznie, tak aby kleista masa pozostawała w jej ustach jak najkrócej i zaraz ruszała w dalszą drogę. Kiedy jednak nabierała na łyżkę grudkę zbitych jak nieforemne kluski drobinek, czuła, że gardło kurczy się jej z obrzydzenia, a oczy nabiegają łzami.

Na stole stał słoik z marmoladą, a po błyszczącej pokrywce przechadzała się powoli duża, czarna mucha z gatunku tych, które wpadają nieraz przez otwarte okno i odbijając się o ściany, wypełniają pokój przeraźliwym bzyczeniem.

Dziewczynka nie odrywała od niej oczu. Nie rozumiejąc zupełnie nagłych zwrotów i przemarszów dziwnego stworzenia, zapominała o wszystkim, nawet o spacerze, na który czekała przecież niecierpliwie cały tydzień.

Była niedziela. Z otwartych okien w mieszkaniu naprzeciwko dochodziły dźwięki radia, a pan Klonczonek za ścianą widocznie znowu coś naprawiał, gdyż słychać było, jak uderza młotkiem. W chwili kiedy uderzył wyjątkowo głośno, tatuś uniósł głowę znad papierów, które porozkładał na stole z drugiej strony słoika.

– Cóż ty, cały dzień masz zamiar przesiedzieć nad tym talerzem?! Jeśli za dwie minuty nie będzie wszystko zjedzone, nie idę na spacer! – powiedział ostro, patrząc z zimną obojętnością w wytrzeszczone oczka.

Małgosia przestraszyła się. „Dwie minuty to na pewno bardzo niewiele. Tatuś nie pójdzie. Na pewno nie pójdzie” – myślała w popłochu, łykając chłodną, galaretowatą masę, w jaką zamieniły się płatki.

Głowa ojca, pochylona znowu nad papierami, trwała w bezruchu i tylko pióro, czarny, błyszczący soplek, biegało po kartce papieru. Mucha zeskoczyła z pokrywki na kwadratową plamę słońca przylepioną do obrusa. Małgosia połknęła resztkę oślizłego kożucha, który zasłaniał namalowaną na talerzu buzię uśmiechniętej dziewczynki.

– Już zjadłam! – wykrzyknęła z triumfem, uderzając łyżką w dno talerza. – Tatusiu, już zjadłam!

Krótkie nóżki zakołysały się w powietrzu. Niepokój zniknął. Mama w sukni z wycięciem

na ramionach weszła do pokoju. Dziewczynka spojrzała na nią z zachwytem. „Wygląda najśliczniej ze wszystkiego” – pomyślała i uśmiechnęła się.

– Jest już jak sito. Dosłownie rozłazi się w rękach. – Mamusia nie patrzyła na nią zupełnie.

– Co, co? Aha, suknia!

Tatuś nagłym ruchem podniósł się i począł nerwowo zbierać papiery. Oczy miał czerwone. Pewno znowu pracował w nocy.

– Idziemy? – zapytał krótko, nie podnosząc głowy.

– Udajesz, że nie słyszysz, co? Zapomniałeś już o wczorajszej rozmowie?!

– Mam gdzie wszystkie wczorajsze rozmowy. – Ojciec podciągnął krawat i obrzucił swoje oblicze w lustrze uważnym spojrzeniem.

– Dureń!

Przekreślony klucz w drzwiach szczęknął i mama wyszła na korytarz. Schodzili po wytartych, nierównych stopniach w milczeniu. „Tatuś zapomniał włożyć sandały” – przeszło przez głowę Małgosi.

Na drugim piętrze, tuż obok odbitego na ścianie tynku w kształcie starego krasnoludka z długą brodą, idący pod górę człowiek splunął na schody. Ślina przylepiła się z kłaśnięciem.

– Nie mogłeś zwrócić mu uwagi?

Mamusia idąca kilka stopni niżej puściła rączkę Małgosi.

– Że co?

– Jak to, że co? Przecież nie pluje się na schodach.

– Ja się nie nadaję do reformowania świata. Zostawiam to tobie. – Tatuś uśmiechnął się ironicznie.

– Ty się do niczego nie nadajesz. Nawet na ciebie mógłby napluć, a nie kiwnąłbyś palcem.

Mama poprawiła włosy i wyszła na ulicę. Małgosia próbowała naśladować jej ruch lewą ręką, ale bez powodzenia.

– Czy ty zamkniesz wreszcie gębę, czy nie! – krzyknął ojciec. Jakiś pan przechodzący obok obejrzał się. Mama przyspieszyła kroku.

– Ty chamie! Wydaje ci się, że zakrzyczysz wszystko to, co przegrałeś w życiu! Gdyby nie dziecko, wiedziałabym dobrze, co robić!

Minęli sklep komisowy. Na wystawie tego cudownego sklepu mieszkała piękna lalka zamykająca oczy. Niestety teraz zasłaniała ją duża, brązowa tektura i kraty.

– O, skowronek!

Czerwono-żółty autobus przejechał szosą i zniknął za zakrętem. Kiedy przestał warczeć, Małgosia usłyszała znowu świergot płynący wprost z nieba. Podniosła głowę, wypatrując

małej kuleczki zawieszanej wysoko, wysoko nad domami.

– Kiedy ściągnąłem cię pijaną z kolan Ostrowskiego, nie nazywałaś mnie chamem. Wtedy to ja byłem Stefankiem, słodkim chłopczykiem, prawda?...

Tatuś odskoczył. Czarny, błyszczący w słońcu samochód przemknął obok prawie bezgłośnie. Zawsze bardzo wiele aut jechało szosą, lecz tego przedpołudnia szum motorów był szczególnie częsty. Mamusia ścisnęła rączkę Małgosi tak mocno, że ta omal nie krzyknęła z bólu.

– Jesteś podły! Boże, jaki ty jesteś podły i głupi!

Dłoń mamusi drżała. Oczy jej zrobiły się ciemne, ogromne. Małgosia uczuła lęk i przytuliła się do jej uda całym ciałem.

– Czy sądzisz, że za tę jedną rzecz mam ci płacić całym swoim życiem?!

Dwie ciężarówki wyładowane drewnianymi skrzyniami przejechały tuż obok zielonej żabki, która nieporadnymi skokami starała się przedostać na drugą stronę szosy. Małgosia odwróciła głowę, bo znowu usłyszała warkot motoru. Zielona podróżniczka znajdowała się już jednak w bezpiecznym miejscu. Dziewczynka odetchnęła z ulgą. Nie słyszała tego, co powiedziała mama.

Tatuś zatrzymał się nagle. Twarz miał zmienioną.

– A kto chciał tego wszystkiego, ja?! Czy nie wywiązywałem się ze swoich obowiązków, nie harowałem nocami, aby zdobyć pieniądze?!

Mamusia odwróciła się.

– Ty wywiązywałeś się?! W ciągu tych sześciu lat nie miałam z tobą jednego jasnego dnia, rozumiesz?! Życie pędziło obok, a ja tkwiłam w tym twoim nędznym świątku, słuchając wiecznych skarg i żalów. Początkowo nudziłeś mnie tylko, a potem nauczyłam się nienawidzić!

Ojciec starał się zapalić papierosa. Stał i patrzył teraz zmrużonymi oczyma. Małgosia chciała zerwać mały, niebieski kwiatek rosnący tuż obok kamiennego słupa, lecz nie potrafiła uwolnić dłoni z uścisku maminych palców.

– Tak, więc dobrze! Powiem ci teraz wszystko. – Wargi taty wykrzywiły się w jakimś strasznym uśmiechu. – Zdradzam cię. Zdradzałem cię w czasie całego naszego małżeństwa. Przy całej swojej dawnej praktyce byłaś jednak zbyt naiwna. A ja dość miałem twojego ciała pachnącego zawsze tym, co jadłem na obiad i czym przesiąknięta była cała nasza nora. Inne kobiety potrafiły mnie docenić, a nie kosztowały mnie ani grosza! Sądzę, że teraz będziesz wiedziała, co robić. Na dziecko oczywiście będę dawał.

Tatuś odwrócił się. Szedł teraz szerokim, spokojnym krokiem w kierunku zakrętu.

Mamusia chwytła powietrze nierównym, przerywanym oddechem. Patrzyła za nim oczyma pełnymi łez.

– Tatusiu! – krzyknęła Małgosia wyrwawszy rączkę i pobiegła środkiem szosy w kierunku wzgórza, poza którym znikła już ukochana sylwetka w zielonej koszuli.

– Gosiu! Gosiu!

Dziewczynka usłyszała wołanie matki i głos jej kroków. Stała niezdecydowanie. Szara taśma szosy, białe słupy, domy w oddali oblane promieniami słońca, wszystko to wirowało, kłębiło się w jej oczach pełnych bezradnego przerażenia i niepewności. Przeróżliwy pisk hamulców samochodu, który wypadł z miejsca, gdzie szosa wygięta łukiem kryła się za niewysokimi krzakami, był jak huk wystrzału.

Gruby mężczyzna wychodzący z niebieskiego auta miał twarz bladą i błyszczącą od potu. Wykrzykiwał i machał rękami.

Małgosia stojąca na tle srebrzystego zderzaka zdawała się być małą, nieopisanie kruchą figurką z porcelany.

Dwoje ludzi patrzyło na siebie struchlałymi źrenicami.



## Anonim

Panie Redaktorze.

Przeczytałem ten pański *Wielki występ*. Jakiś gość zapomniał widać i zostawił to pismo w moim wozie. Miałem jak raz trochę czasu. Przede mną stało coś z dziesięć „Merców”. Jaki człowiek pojedzie wtedy „Fiatem”? Każdy lubi nowość. Więc przeczytałem. I niech pan nie myśli, że zaraz będę pana chwalił. Odwrotnie. Nie podoba mi się to, co pan napisał.

Zobaczył pan tego starego w oknie, zrozumiał pan, co chce zrobić, to i nietrudno było o tym napisać. To tak jakby aparatem fotograficznym: pstryk i człowiek gotów. U nas to opisują niektórzy ludzie (pan też tak), jak ich załatwia lekarz ubezpieczalni – bez badania.

Ja jestem 1927 rocznik. Życie znam, bo w czasie wojny handlowałem samogonem. To tak jak uniwersytet. Sprzedawałem tę truciznę różnym ludziom. Powie pan: drań, Polskę rozpijał. Może i racja. Tylko że moja matka przez pięć lat, całą okupację chorowała na raka. Nie, nie chorowała. Umierała pięć lat. Wpierw tłukłem głową o ścianę. Jęczała równomiernie, przy każdym oddechu. Można było tym czas mierzyć. Sam kupiłem jej pierwszą butelkę. Śmierdziało. Trzeba było karmelem zaprawiać. Potem piła już bez tego. Pieniądze szły. I tak zacząłem handel tym świństwem. Przestała jęczeć. Jak przyjeżdżałem z towarem do domu (jeździło się pod Piotrków), to był już tylko zapach. Spała. Zresztą nie wiem, czy to był sen. Podniosłem jej głowę i przytykałem szyjkę butelki do warg. Jedni kochają własne matki więcej, drudzy mniej. Dla mnie była i matką, i ojcem, i wszystkim tym, co sobie ludzie opowiadają o własnych dziadkach. Urodziłem się jako nieślubny. A ona – służąca – żyła tak, że nikt nigdy nie powiedział na mnie – bękart. Już się teraz nie podpiszę pod tym swoim listem. Nie mogę. Mam troje dzieci, one nic nie wiedzą. Jak żona jest na mnie zła, to mówi, że im powie wszystko. Ona jedna wie. Niedobra jest. Do niedawna myślałem, że musi tak być, jak jest, że nie może być inaczej. Ludzie mówią – „domek mają ładny, dzieci zdrowe, ona gospodarna, to co im do szczęścia brakuje”. Nie powiem, zarabiam jako tako. Dom zbudowałem niezły, fakt. Tylko niedobrze dowiedzieć się, że jest na świecie wiele różnych szczęść. Nie tylko jedno. To tak jak z typami maszyn. Uśmieje się pan ze mnie, ale ja, niemłody przecie, zrozumiałem dopiero niedawno, że wsiadłem do wozu, który mi nie „leży”,

że cały czas przez te piętnaście lat okłamywałem sam siebie, że jadę w dobrym kierunku, a było zupełnie inaczej.

Dorożkarskie konie miały z boku na oczach takie skórzane łatki, żeby interesowały się tylko tym, co jest przed nimi. Niczym innym. Ja już ujechałem za daleko. Nic się nie da zmienić. Tylko boli. Jestem dla rodziny jak ten taksometr, co wybija cyferki. Pieniądze, pieniądze... Wiem, że byłbym z tym szczęśliwy, gdyby to była TA kobieta. Wtedy mógłbym tłuc kamienie i nie prostować karku całymi dniami.

Bo i ja – widzi pan – miałem dzień wielkiego występu. Jak tamten w pana opowiadaniu. Mógłby pan o tym łatwo napisać. Zwykła sprawa. Pojechali do Kazimierza. Jedli obiad. Śmiali się, bawili, zbierali kwiaty. A potem na pewno spali ze sobą. Tak to wyglądało. Tylko było zupełnie inaczej. To była moja kobieta. Naprawdę moja – ta, co mi była przeznaczona przez Boga, naturę i wszystko inne. Spotkałem ją, tylko za późno. Ona też spała się z innymi. Wiem, że kiedyś czekała na mnie, wyglądała na ulicę. A potem zaczęła się niepokoić, że już nie przyjdę, że może w ogóle mnie nie ma. I zrobiła to – skłamała innemu.

Nie widziałem jej nigdy przedtem. Wsiadła do mojego wozu przy „głównym”. Zapytała o jakiś adres, a ja zobaczyłem w lusterku jej twarz. Zupełnie jakby poraził mnie prąd. Potem rozmawialiśmy, a mnie się zdawało, że mówię same głupstwa. Wiedziałem, że wiozę za plecami cały świat. Jechałem ostrożnie. Mówiła coś o Rzeszowie, o sobie. Słuchałem. Nigdy nie słuchałem tak nikogo. Wysiedliśmy na Starym Mieście i dotknąłem jej ręki. Popatrzyła na mnie badawczo, niby żartobliwie, ale tak naprawdę, to jakoś strasznie poważnie. Zamilkłem. A potem wszystko było jak sen. Może pan wierzyć albo i nie. Wiem, że to, co piszę, wygląda na wielką bujdę. Sam, jak o tym myślę, to wydaje mi się, że to był chyba kto inny. Nie ja. Zapragnąłem pokazać jej cały świat. Nie. Nieprawda. Jak to trzeba uważać na słowa. Chciałem cały świat zobaczyć z nią razem. Nie dziwiliśmy się już niczemu. Ani ona, ani ja. Miała coś ważnego do załatwienia w jakimś ministerstwie. Po to przyjechała. (Mówiła tak jakoś śpiewnie-zabawnie). Nic nie załatwiła. Pojechaliliśmy do Kazimierza. Przelatywały deszcze, to znów wychodziło słońce. Chmury były takie jakieś zwariowane. Chodziliśmy po tym mieście. Wszystko było zielono-biało-niebieskie. Czerwone też. Jabłka leżały na ulicach. Pachniało nimi. To rajski wąż nam je dawał na każdym kroku. Nie ulegliśmy pokusie. Pojąłem z przerażeniem, że tę stojącą obok mnie kobietę zdradzałem dotąd z własną żoną. Nie mówiliśmy o naszych rodzinach. W ogóle coraz mniej było słów. Baliśmy się siebie chyba coraz więcej. I coraz bardziej byliśmy szczęśliwi.

Zresztą nie wiem, czy to było właśnie tak. Nie wiem. Nic dzisiaj nie wiem. Uciekła już w Warszawie na ulicy. Czekałem jak głupi do północy w tym samym miejscu. Nie znam jej

nazwiska. Nawet jej nie pocałowałem. Bała się. Była mądrzejsza ode mnie. Wiedziała, że nie starczy nam już sił, aby budować wszystko na nowo. Rozumiem. Tylko jest coś, że nie przestaję o niej myśleć. Ten dzień spędzony z nią musi mi już wystarczyć – wiem na pewno – do końca życia. I to jest straszne. I po to napisałem to wszystko. Nieważne jest, kiedy ktoś wchodzi na parapet swego okna i krzyczy. Ważne jest potem jego milczenie.

Z poważaniem – kierowca taksówki

## „Navigare necesse est!”

Mice Larson

A pomyśleć, że utwierdziłem się już, prawdę mówiąc, w arcyzarozumiałym przeświadczeniu, że wszystko, co mógłbym jeszcze przekazać jako pisarz, we mnie samym zawarte, że wystarczy mi już do końca życia wspomnień, goryczy, barwności dawnych, aby to, com przeżył, co moim udziałem się stało, teraz tylko spokojnie odtwarzać z pamięci. Sobie samemu, jak zawsze, nadawać imiona coraz to innych bohaterów. Że mogę, nie ruszając się z miejsca, „uruchamiać” wspomnienia, wskrzeszać przygody pradawne nawet, by przetwarzać je później w fikcję literacką.

Nic podobnego. Myliłem się. Jakoś wyjątkowo dojmująco łupnęło mnie to moje uczestnictwo w rejsie pisarskim Baltic Waves. W okresie od 27 lutego 1992 do 10 marca tegoż roku, sporej grupie pisarzy, wywodzących się z krajów basenu morza Bałtyckiego, dano szansę uczestniczenia w roboczo-poznawczym rejsie wiodącym morską szlakiem od Gdyni poprzez Lubekę, Kopenhagę, Visby, Sztokholm, Helsinki, a zakończonym w Tallinie. Może jako przedstawiciel starszego pokolenia Polaków, skazanego na zagładę już na początku swego istnienia, szczególnie „bajkowo” odbierałem całą tę, praktyczną przecież, wzniosłość przymusowego kontaktu kilkuset ludzi odrębnych, jak tylko odrębnymi pisarze być mogą, niezwykle trudnych dla samych siebie, w swych marzeniach nawet.

W życiu moim często drobne czy też najbardziej spektakularne i dramatyczne wydarzenia zamknięte zostają prędzej czy później innymi wydarzeniami, stanowiącymi zawsze coś w rodzaju klamer. Można by to porównać do obrazów cierpliwie oczekujących, niejednokrotnie latami, na uzupełnienie ram. Boków ram przybywa z czasem. Poszczególne płótna zdają się czekać odłożone do lamusa, gdy nagle dzieje się i rusza z kopyta: nowe wydarzenie, najdziwniejsze często, staje się kolejnym „bokiem” – elementem ramy i przylegając do poprzednich „boków” sprawia, iż obraz zostaje zamknięty, „oprawiony”.

Tak wiele się w tej naszej Europie przenika. Bywamy „spowinowacani” nie tylko z racji intymnej natury powiązań różnych pięknych pań z bardziej od innych przedsiębiorczymi panami, lecz także poprzez kupieckie gildie, czy też przyjaźnie intelektualnej natury.

W roku 1946 razem z gromadą podobnych do mnie wojennych połamańców – chłopaków i dziewczyn, odremontowaliśmy wspólnymi siłami wrak statku-barki wydobyty z dna doków wiślanego portu, a później – płynąc nim do Gdańska i Gdyni – wystawialiśmy operę (!) *Flis* Stanisława Moniuszki. Niekiedy mrowie ludzi obserwowało z brzegów nasze występy. Jakże wzruszały wtedy płynące ze sceny polskie słowa i pieśni. Byłem impresario tego teatru, a później stałem się kimś w rodzaju kapitana i zszedłem na ląd w Krakowie jako ostatni z załogi. A całe to wydarzenie nie byłoby godnym uwagi, gdyby nie fakt, iż ostatni występ Teatru na Wiśle odbył się latem 1946 roku niemal dokładnie w tym samym miejscu, gdzie w roku 1992 w Gdyni zacumował statek „Baltic Waves”. Wówczas, tuż po wojnie, całe nadbrzeże było jeszcze pokryte drutem kolczastym, a opodal falochronu wystawał z wody ogromny kadłub zatopionego krążownika „Gneisenau”. Napisałem o tej cudownie romantycznej eskapadzie wojennych niedobitków w powieści pt. *Znak życia*.

W roku 1962 byłem już siedem lat po debiucie pisarskim i cieszyłem się z wydania swej kolejnej książki, a także jako narciarz i aktywista Polskiego Związku Narciarskiego współorganizowałem FIS w Zakopanem. Wspaniały śnieg, Tatry, urok tego miejsca i sportowych zmagani sprawiły, że działałem jak w transie, aż wtem, już pod koniec mistrzostw, niespodziewanie łapię potężną gripę i ląduję w szpitalu. Rozpacz, ale – jak to się mówi – niepełna, gdyż dba o moje zdrowie cudna dziewczyna – Joanna. Wszystko to bardzo istotne dla tej opowieści: nasze z Joanną zbliżenia miłosne, początek trwającej po dziś dzień przyjaźni z ówczesnym wiceprezesem FIS-u, znakomitym niegdyś szwedzkim narciarzem i twórcą „Biegów na orientację” Björnem Kjellstömem i jego żoną Käthi. Björn i Käthi wyjeżdżają. Żegnamy się ze łzami w oczach. (I jak tu nie wierzyć w „miłość od pierwszego wejrzenia”). Smutek. W owych czasach, zamkniętych szczelnie granic, tego rodzaju wyjazdy stawały się czymś wręcz tragicznym. O ile pamiętam, wkrótce potem Joanna zniknęła nagle. Odtworzyłem sobie później w myślach, że już w górach wspominała o ewentualności opuszczenia Polski. Uprzytomniłem sobie także, iż pożegnała się ze mną jakoś inaczej po jednym z naszych spotkań – ostatnim. Tak. Nadchodziły złe czasy dla przedstawicieli jej nacji w PRL-u. Niepojęte! Działo się to po Holocauście! Moja dziewczyna wspominała co jakiś czas, niemal obsesyjnie, o konieczności odcięcia się od wszystkiego, co stanowiło jej polskie istnienie. Teraz jakby zapadła się pod ziemię. Było mi nieopisanie gorzko i boleśnie. „Antysyjonistyczne” wystąpienie pierwszego sekretarza partii Wiesława Gomułki w 1968, potwierdziło – niestety – słuszność decyzji Joanny. Jej śladem poszło wielu.

Protestowałem jak inni, pisałem o tragicznych relacjach żydowsko-niemiecko-polskich w swoich książkach, filmach i sztukach teatralnych. Szły lata. Z racji polityczno-ekonomicznych

wyemigrowali obaj moi synowie i słaby mam z nimi kontakt. Australia daleko, nie tylko w swym geograficznym usytuowaniu. Staram się, jak potrafię, nie działać jedynie jako „strażnik grobów” oraz jedyny opiekun swej sędziwej Matki. Piszę zatem, walcząc ze zwątpieniem na miarę swych sił. Jakimś cudem na 10 tysięcy metrów wciąż jeszcze czas mam nie najgorszy i dalej, jak przed pięćdziesięciu laty, bez rowerowych wycieczek nie wyobrażam sobie życia. „Chyba dlatego, że jeszcze nie zramolałem do reszty, zamustrowano mnie i uznano godnym uczestniczenia w tym niesłychanym rejsie optymizmu i wiary w ludzką mądrość” – pomyślałem przechadzając się po gdyńskim nadbrzeżu portowym, gdzie równo przez 46 laty zacumował „mój” teatralny statek – wówczas – choć nie byliśmy tego świadomi – stanowiący protest nas, młodych przeciwko śmierci i zwątpieniu.

I teraz pointa – klamra, jak wolisz, drogi czytelniku. Już mówiłem w czasie sympozjum literackiego w Sztokholmskim Domu Kultury, że właściwie jest ona nazbyt dopowiedziana, „za dobra” (pisarze wiedzą, co mam na myśli), aby można ją było wykorzystać literacko. Dlatego cały ten tekst z literackim zapisem nie ma, jak widzisz, nic wspólnego. Zdania niezborne, oceny egzaltowane, słowem zgrzebność ogólna i chropawość.

Posłuchaj i wyobraź sobie sceneryę: efekt pracy szczecińskich dokerów, – statek „Konstantin Simonow”, mający na swym pokładzie międzynarodowe, pisarskie gremium, zawinął do kopenhaskiego portu. Wiatr porywisty, zimno. Uroczę, bezpośrednio spotkanie w zatłoczonym lokalu Stowarzyszenia Duńskich Literatów, jak też pewna liczba spełnionych toastów sprawiła, że razem z Jerzym Ordanem, pisarzem z Torunia, już wkrótce na ulicach stolicy Danii, straciliśmy kompletnie rozeznanie, gdzie jesteśmy. Mało, przyznam się szczerze, że nie mieliśmy nawet pojęcia, już tak czysto po żeglarsku ujmując sprawę, gdzie północ lub południe, a więc jak skierować swe kroki, by dojść do pałacu królewskiego, nie mówiąc już o dotarciu do pisarskiej „Wieży Babel” na wodzie. Nasze ambicje były jednak wielkie i... – przyznaję – dysproporcjonalne do umiejętności, gdyż postanowiliśmy o nic nie pytać żadnego z przechodniów i gapiąc się załawionymi od wiatru oczyma w łopoczącą w naszych dłoniach mapę (zachowywała się jak żagiel) próbowaliśmy coś tam z niej jednak wyczytać. I tak to trwałoby zapewne bez końca, gdyby nie pytanie zadane w najczystszej polszczyźnie przez elegancką panią, która zatrzymała się nagle tuż obok.

– Może ja potrafiłabym panom pomóc?

Piękna kobieta, rodzimy język, objawienie chęci pomocy, to było zbyt wiele. Odrzuciliśmy globtroterskie ambicje.

I kiedy tak nieznajoma pani z kolegą Ordanem z Torunia wyszukiwali i wskazywali coraz to nowe punkty na szarpanym wiatrem planie miasta, rozpoznałem ją nagle, a to

uprzytomnienie uczułem jakoś najpierw w sercu, a dopiero później jego sygnały przeniknęły do mej świadomości. To była Joanna. No i cóż tu rzecz? Po chwili i ona mnie rozpoznała. Przytuliliśmy się do siebie i ucałowali. Spieszyła się bardzo. Wypowiadając pospiesznie informacje o sobie (przypominały meldunki z frontu, nadawane krótkofalówką), wymieniliśmy wizytówki. Ot – konwencjonalny rytuał dwojga inteligentów żyjących w krajach rejonu Morza Bałtyckiego. Nasze prawdziwe uczucia?... Trudno mi o tym... Głęboko to wszystko tkwi w człowieku. Nic nie ginie.

– Nieprawdopodobne! Nie do uwierzenia! – oczy Jerzego Ordana rozwarte były szeroko. – Z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa, nie da się waszego spotkania zamknąć w żadnej proporcjonalnej wyliczance: Jedna szansa na milion, jedna na dziesięć milionów... W ciągu ilu lat nie widzieliście się, ani nie mieliście oboje ze sobą kontaktu?

– W ciągu trzydziestu.

– W takim razie to metafizyka! – wykrzyknął Pomorzanin.

– Widocznie żeglujecie się po wzburzonych morzach także po to, aby metafizycznych mocy doświadczać w życiu.

*Zaiste – navigare necesse est!*